

Sylvia Plath

w Nowym
Jorku
lato 1953

ELIZABETH WINDER

Spis treści

Karta tytułowa OD AUTORKI WPROWADZENIE TYDZIEŃ PIERWSZY.
Euforia WCZEŚNIEJ TYDZIEŃ DRUGI. Utracone złudzenia TYDZIEŃ TRZECI.
Alienacja TYDZIEŃ CZWARTY. *La Femme* NUMER SIERPNIOWY
NASTĘPSTWA EPILOG PODZIĘKOWANIA BIBLIOGRAFIA INNE ŹRÓDŁA
SPIS ZDJĘĆ I ILUSTRACJI Karta redakcyjna

Sylvia
Plath

w Nowym
Jorku
lato 1953

ELIZABETH WINDER

przełożyła Magdalena Zielińska

WYDAWNICTWO MARGINESY

Pain, Parties, Work: Sylvia Plath in New York, Summer 1953

Dla Medory

*Masz dwadzieścia lat. [...]
Dziwny obrazek w szafce za łazienką:
uczta, zwierzę i landrynka.*

*sylvia plath, dzienniki 1950–1962,
14 listopada 1952*

*Wczoraj w nocy śniła mi się Marilyn
Monroe, była niby wróżką-matką chrzestną.
Na jakimś spotkaniu z publicznością,
to spotkanie z Eliotem na pewno będzie
podobne. Powiedziałam, ledwie powstrzymując
łzy, jak wiele dla nas znaczy ona i Arthur
Miller, mimo że oczywiście nas nie znają.
Zrobiła mi doskonały manikiur. Nie umyłam
przedtem głowy i zapytałam ją o dobrych
fryzjerów, bo gdziekolwiek chodzę, zawsze
narzucają mi okropną fryzurę. Zaprosiła
mnie do siebie na święta, obiecując nowe,
kwitnące życie.*

*sylvia plath, dzienniki 1950–1962,
4 października 1959*

OD AUTORKI

Sylvię Plath pochłaniała materialna kultura jej czasów. Wbrew krzywdzącemu wizerunkowi cierpiącej artystki znajdowała przyjemność w strojach, makijażu, czasopiśmie i jedzeniu. Sylvia była bardzo towarzyska — pracowała społecznie, należała do wielu stowarzyszeń, chodziła na wykłady, przyjęcia i potańcówki. W wieku dwudziestu lat postrzegała się raczej jako część grupy rówieśniczej niż samotną jednostkę.

Bez biustonoszy, szminek i spódniczek w szkocką kratę nie da się zrozumieć Sylvii — uczestniczki i zarazem wytworu lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku w Ameryce.

W Nowym Jorku wraz z pozostałymi dziewiętnastoma dziewczętami mieszkała i pracowała w Barbizonie, żeńskim hotelu. Gdy słuchałam wspomnień tych kobiet o czerwcu 1953 roku, zdałam sobie sprawę, że trudności, jakich doświadczała Sylvia, nie były wyjątkowe. Wpisywały się w znacznie większy problem — polegający na byciu ambitną i ciekawą świata dziewczyną w tamtym czasie.

WPROWADZENIE

Sylvia Plath popełniła samobójstwo, zatruwając się gazem. Miała trzydzieści lat, na zawsze więc już pozostanie trzydziestolatką, która upinała długi warkocz dokoła głowy niczym brązową koronę. Jej cera zrobiła się bledsza z powodu bezsenności i angielskiej pogody — panowała wtedy zima stulecia. Było najzimniej od czasu, gdy za króla Jerzego zamarzała Tamiza.

To jednak będzie opowieść o czym innym, o innej Sylvii. Nie o mroźnym lutym 1963 roku, lecz o czymś, co wydarzyło się dziesięć lat wcześniej, podczas rekordowych upałów pewnego tropikalnego lata. Przed mokrymi ręcznikami i becikami. Przed dziećmi i książkami. Przed Londynem, przed Devon i smutnym brązowym warkoczem. Przed kubkami mleka, chlebem z masłem i taśmą izolacyjną. Przed tlenkiem węgla i domową czarną magią piekarnika. Zanim stała się ikoną, zanim została Lady Łazarz, była po prostu studentką college'u z Nowej Anglii odbywającą staż na Manhattanie.

Szczegóły związane z samobójstwem Sylvii zaowocowały dziesięcioleciami upraszczających opinii o niej samej i o jej pisaniu. Ta książka to próba odczarowania zbanalizowanego wizerunku Plath jako dręczonej przez demony artystki. To opowieść o pełnej energii młodej kobiecie u progu dorosłego życia. O artystce, którą pociągała zarówno jasna, jak i ciemna strona, która miała nienasycony apetyt na nowe doświadczenia i zdobywanie wiedzy i która nie obawiała się tego, co może przynieść jej los. O tym, jak Nowy Jork poraził ją swoim morderczym pięknem. O wrażliwej i wesołej osobie, która kochała i zakupy, i czytanie książek. Ta Sylvia ma blond włosy, ciemną opaleniźną, jedną walizkę, kilku ukochanych, dwie czarne sukienki i bilet do Nowego Jorku. Od 1 czerwca 1953 roku wraz z innymi dziewiętnastoma studentkami zaczęła staż na Madison Avenue jako gościnnie redaktorka magazynu o modzie „Mademoiselle”.

o

Wiosna 1953. Aldous Huxley eksperymentował z meskaliną w zachodnim Hollywood. Odkryto szczepionkę na polio i wreszcie zdobyto Mount Everest. Umarł Stalin, a Elvis Presley ukończył szkołę średnią. Królowa Elżbieta II przygotowywała się do koronacji w opactwie Westminster. John Kennedy i Jacqueline Bouvier zdecydowali się ujawnić swój związek i ogłosili zaręczyny. W Tangerze William S. Burroughs pisał *Nagi lunch*.

W domu w Wellesley w stanie Massachusetts Sylvia Plath pakowała halki, sukienki, spódnice i nylonowe pończochy. Wybierała się do Nowego Jorku.

SYLVIA
PLATH
W NOWYM
JORKU

REDAKTORKI GOŚCINNE:

Ruth Abramson

Margaret Affleck

Nedra Anderwert

Candy Bolster

Betty Jo Boyle

Ann Burnside

Malinda Edgington

Laurie Glazer

Gloria Kirshner

Dinny Lain (Diane Johnson)

Carol LeVarn

Grace MacLeod

Madelyn Mathers

Eileen McLaughlin

Neva Nelson

Sylvia Plath

Del Schmidt

Anne Shawber

Laurie Totten

Janet Wagner

REDAKTORKI „MADEMOISELLE”:

Betsy Talbot Blackwell (redaktor naczelna)

Cyrilly Abels (sekretarz redakcji)

Marybeth Little (redaktorka, opiekunka College Board)

Margarita Smith (redaktorka działu literatury)

Gigi Marion

Kay Silver

Geri Trotta

Polly Weaver

Marzyłam o Nowym Jorku i jadę tam.

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
15 maja 1952

TYDZIEN
PIERWSZY.
Euforia

BARBIZONETKI

Jej pokój był wielkości sporej szafy: beżowe ściany z kasztanowym wykończeniem, ciemnozielony dywan, narzuta w paprocie obszyta falbaną w róże — jak w lesie u Królowy Śnieżki. Niski, obity zielonym materiałem fotel, biurko wciśnięte tuż przy łóżku. Nad łóżkiem wisiał głośnik, z którego — po przekręceniu gałki — rozbrzmiewała muzyka klasyczna. Z jednej ze ścian wyrastała też biała emaliowana umywalka, przydatna do przepierki białych bawełnianych rękawiczek. (Wkrótce w każdym oknie powiewały wilgotne rękawiczki, niczym maleńkie białe flagi).

Barbizon znajdował się u zbiegu Lexington Avenue i Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy — dwadzieścia trzy piętra w ciepłym różowym odcieniu cegły ze zdobieniami. Pokój Sylvii wychodził na wschód. Uwielbiała widok z okna — Third Avenue El, nowy budynek ONZ. Mogła nawet zobaczyć kawałek East River. Nie zamykała okien przez cały miesiąc. Mały jak pudełko pokój oznaczał wolność.

Począwszy od 1940 roku, hotel Barbizon stanowił schronienie dla wybitnie uzdolnionych młodych i ślicznych Amerykanek. (Sylvia, podkreślając egzotykę tego miejsca, w *Szklanym kloszu* ochrzciła je Amazonką). Początkujące aktorki, pisarki, redaktorki i modelki rozkwitały, ale i więdły między różowymi ścianami hotelu. W siedmiuset maleńkich pokojach panował wilgotny i klaustrofobiczny klimat. Dziewczęta z Barbizonu kipiały ambicją i lękiem, gorliwie dążąc do poziomu jego najsłynniejszej rezydentki, Grace Kelly.

Pamiętam mój przyjazd do Barbizonu, meldowanie się w recepcji i poznanie kilku dziewcząt, które przyjechały w tym samym czasie. Wszystkie były przyjaźnie nastawione, ale powściągliwe, jakbyśmy chciały zatrzymać entuzjazm dla siebie. Być może dlatego, że nie do końca wiedziałyśmy, czego oczekiwać, wobec tego lepiej było powstrzymać się od chichotania albo wybuchów emocji.

laurie totten

Hotel Barbizon reklamował się jako zrzeszenie „ambitnych, wyróżniających się młodych kobiet”. Pochwalali to zarówno rodzice, jak i agencje modelek. Pod wieloma względami przypominał żeński klasztor dla bogatych — obowiązywały herbatki, cisza nocna i przyzwoitki. Dziewczęta, które wracały podpite lub w godzinach ciszy nocnej, dostawały upomnienia.

Mimo to pobyt w hotelu dla kobiet takich jak Plath był niczym słodka niewola. Czar tego miejsca nie polegał na grach w brydża czy randkach w Stork Club.

Sylvia i pozostałe dziewczęta z Barbizonu nosiły pasy wyszczuplające, stożkowate biustonosze, czółenka na obcasie i pończochy ze szwem. Grając w badmintoną czy stukając na maszynie, wciąż zachowywały pozory wyrafinowania — chciały eksponować kobiecą naturę sukienek i torebek. Cel był jasny: czuć się oraz wyglądać elegancko i nieskazitelnie niczym biała rękawiczka. Był rok 1953 — cztery lata przed tym, jak Audrey Hepburn udowodniła w *Zabawnej buzi*, że mól książkowy może być sexy.

Dwudziestoletnia Sylvia Plath trochę przypominała modelkę Sunny Harnett. Czytywała Joyce'a. Skupiała się na pisaniu. Czasami wsiadała w pociąg i jechała do Brookline na podwieczorek ze swoją donatorką Olive Higgins Prouty. Sylvia przybyła do Nowego Jorku po zapaleniu zatok, nawale spotkań towarzyskich w Yale i nagród za osiągnięcia w nauce. Desperacko pragnęła przekuć akademickie sukcesy, opublikowane wiersze i spotkania z Ligą Bluszczową w coś bardziej namacalnego. Po raz pierwszy opuszczała Nową Anglię. Potrzebowała alchemii Nowego Jorku — tych konkretnych różowych ścian, tych uroczystych lunchów — odrobiny rzadkiego minerału, który przemieni jej życie w złoto.

Sylvii spieszyło się do dorosłości, ale nie jej jedynej. W 1953 roku określenie „młoda dama” oznaczało, że Plath i dziewczęta z jej pokolenia były przede wszystkim damami, a przy okazji — tak się złożyło — młodymi.

KTÓRA Z WAS JEST DZIEWICĄ?

*Już wtedy byliśmy takimi osobami,
na jakie miałyśmy wyrosnąć.*

neva nelson

Kilka dekad przed ostatecznym zamknięciem w 2001 roku magazynu „Mademoiselle” podziwiany był za swój rozmach i słynął z publikowania prozy Trumana Capote’a, Williama Faulknera, Tennessee Williamsa i Flannery’ego O’Connora. (Sylvia Plath, zapalona czytelniczka magazynu, opisywała go w swoim dzienniku jako „intelektualny magazyn o modzie”). Typowa dziewczyna „Mademoiselle” była wykształcona, nastawiona na robienie kariery i dość obyta. W ten sam weekend mogła obejrzeć zarówno sztukę Arthura Millera, jak i mecz footballowy drużyny Yale. Chodziła na zakupy, na tańce, pracowała społecznie i jednocześnie miała wybitne osiągnięcia w nauce. Według słów magazynu „idealnie pasowała do college’u, kariery i koktajli”. Prawdopodobnie planowała zamążpójście, ale nieco później niż jej rówieśniczki — w liceum obywatela się bez narzeczonych.

Program staży dla młodych redaktorek został zapoczątkowany w 1939 roku. Oferował studentkom pracę nad niezwykle popularnym numerem uczelnianym. Co roku w czerwcu zespół redakcyjny „Mademoiselle” wybierał dwadzieścia dziewcząt, zapraszał je do Nowego Jorku, umieszczał w hotelu Barbizon i płacił im normalną pensję. Każdego roku do konkursu zgłaszały się tysiące dziewcząt — każda chciała być stażystką. Staż polegał na pracy, ale także na chodzeniu na przyjęcia, do teatru i na pokazy mody. Poznawało się osobistości takie jak Hubert de Givenchy, E.B. White czy Marlon Brando. W 1953 roku program przeżywał rozkwit, a dla kogoś tak pochłoniętego literaturą jak Plath był czymś najlepszym, co mogło się przydarzyć.

Sylvia poczuła ulgę, gdy okazało się, że Laurie Totten zakwaterowano w pokoju obok. Choć w rodzinnym Wellesley Laurie mieszkała kilka ulic dalej, obie po raz pierwszy spotkały się dopiero kilka tygodni wcześniej.

— Rozmawiałyśmy przez telefon, pamiętam, że odwiedziłam ją w domu i poznałam jej matkę — wspomina Laurie. — Mieszkała bardzo blisko mnie, dzielił nas zaledwie krótki spacer. Pamiętam też, jak siedziałyśmy na łóżku w pokoju na piętrze, rozmawiając o wielkiej przygodzie i korzyściach z tego doświadczenia. Duże wrażenie zrobiła na mnie informacja, że Sylvia wygrała konkurs na opowiadanie magazynu „Seventeen”, w którym ja także wzięłam

udział, choć bez efektów. Bardzo jej współczułam, bo jako mała dziewczynka straciła ojca. — Sylvia polubiła trzpiotowatą artystkę Laurie i natychmiast uznała ją za przyjaciółkę. — Mama miała zamiar odwiedzić mnie do Nowego Jorku — opowiada Laurie. — Zaproponowałyśmy Sylvii, by do nas dołączyła, ale z jakiegoś powodu w ostatniej chwili zdecydowała się jechać pociągiem. Czułam się przy niej swobodnie, nie było mowy o jakiegokolwiek dominacji jednej nad drugą. Jakiś czas przed naszą wyprawą do Nowego Jorku rozmawiałyśmy o tym, pod jaką postacią chciałybyśmy się odrodzić. Ja chciałam być wilkiem, bo prawie nikt ich nie rozumie, chociaż wcale nie są tak wielkie i niebezpieczne, jak się powszechnie uważa. Sylvia wybrała mewę.

Tego samego wieczora w pokoju Grace MacLeod Sylvia poznała pozostałe stażystki. Grace, którą niebawem mylić będą z Zsą Zsą Gabor i która stała się nieoficjalną gospodynią grupy. Elegancką Madelyn Mathers, której ojciec wynalazł prototyp nawigacji GPS, i Nevę Nelson z San Jose, która kilka miesięcy wcześniej brała udział w zajęciach z geologii na terenie Doliny Śmierci — w miejscu przeprowadzania ostatnich testów bomby wodorowej. (Na jednej z fotografii widać nawet, jak opalona Neva beztrudno odrzuca liczącą dwa tysiące lat radioaktywną rybę niczym otwartą ostrygę). Poznała także Eileen McLaughlin, wygadana i zdolną modystkę.

— Wciąż pamiętam te parsknięcia, nosowy śmiech, gdy udała się jej celna uwaga — powiedziała Neva w wywiadzie.

Glorię Kirshner, która w wieku dwudziestu czterech lat miała już męża i małego synka i codziennie dojeżdżała pociągiem z Bronxu. Oraz Janet Wagner z Kansas, którą niebawem miała odkryć Eileen Ford z Agencji Modelek Forda i która pojawiać się będzie w „Vogue” i „Glamour” do późnych lat sześćdziesiątych.⟨1⟩ Nedra Anderwert to niewątpliwie jedna z „paryskich modelek”, podziwianych przez Sylvię w pierwszym liście do domu. Miała ciemne błyszczące włosy i duże kocie oczy. Gładko zaczesana, z wyraźnie podkreślonymi oczami i ustami, Nedra była zawsze gotowa do zdjęć i zarazem niezwykle fotogeniczna — marzenie fotografa.

— Nigdy nie włączała się w nasze rozmowy — wspomina Neva. — Przysłuchiwała się z opuszczoną głową, bo ciągle szkicowała — przeważnie buty. Rysowała je bez końca, bardzo fantazyjne, z miękkiego aksamitu i ozdobione klejnotami. Dla nas stanowiły tylko część stroju, dla niej szansę na zrobienie fortuny. Szkoda, że nie mogła nosić zaprojektowanych przez siebie butów. Wyprzedzała swój czas. To ona pokazała nam bardzo miękkie pantofle marki Capezio — właśnie wchodziły na rynek i były zbyt drogie, bym mogła sobie na nie pozwolić. Pamiętam, że znalazła mi wygodne szpilki z brązowej satyny, bo moje czarne skórzane strasznie mnie obcierały.

Sylvia — podobnie jak śliczna i tajemnicza Nedra — uwielbiała buty.

Zwłaszcza francuskie. Zakochiwała się w sklepikach obuwniczych przy Rue de la Paix w Paryżu, opisywała „delikatne czerwone czółenka, pomarańczowe balerinki, szaroniebieskie półbuty i złote sandały”^{<2>}. (Po latach od Nowego Jorku będzie wołała Paryż i lemoniadę w „małych modnych barach”). Gdyby była bogata, pozwoliłaby sobie na ekstrawagancję „posiadania szafy pełnej butów, tylko jeden czy dwa rodzaje: proste czółenka kaczuszki na przykład — we wszystkich kolorach tęczy”^{<3>}.

Sylvia miała dobre oko, jeśli chodziło o piękno — w dzienniku odnotowała kocie oczy Nedry i smukłe nogi, ale również spisała ją na straty jako zbyt wycofaną. Jak ktoś tak piękny mógł być nieśmiały? Wzajemna rezerwa spowodowała, że nie nawiązały przyjaźni, ale mimo to łączyło je wspólne miejsce zamieszkania. „Wspaniałe życie zaczyna się tuż po przekroczeniu progu pięknego hotelu Barbizon-Plaza przy Central Park South” — szczycono się w broszurze z 1953 roku. „Zaledwie parę kroków od sklepów na Piątej Alei, z wygodną salą barową czynną do pierwszej w nocy, centralnym systemem chłodzenia i indywidualnymi termostatami”. Jednakowoż hotel dla kobiet Barbizon wcale nie był tak wspaniały: w rzeczywistości termostaty nie działały, a przynajmniej nie te na piętnastym piętrze. Tak się złożyło, że w Nowym Jorku panowały wówczas rekordowe upały — we wrześniu temperatura miała dochodzić do trzydziestu dziewięciu stopni Celsjusza. Może i Grace Kelly była tu stałą bywalczynią — znaną z przemykania po korytarzach w samej bieliźnie — ale dla młodych dziewczyn hotel Barbizon stanowił tylko ładną noclegownię.

— Było bardzo, bardzo gorąco — wspomina Diane Johnson. — A w hotelu nie miałyśmy klimatyzacji. Anne Shawberg, Lin Edgington i ja siedziałyśmy w negliżu, licząc na jakiś przeciąg.

Neva zapomniała spakować piżamę.

— Mama przysłała mi ją dopiero w ostatnim tygodniu. Wieczorami rozmawiałyśmy ubrane w peniuary i koszule nocne. Ja nigdy w życiu nie miałam szlafroka. — Zarzuciła więc rozkloszowany zielony płaszcz — dwustronny, po jednej stronie wełniany, po drugiej gabardynowy — na koszulkę i nosiła go jak pelerynę.

Sylvia rzecz jasna od kilku miesięcy obmyślała swoją nowojorską garderobę, świetnie się więc wpasowała dwiema niebieskimi piżamami, nylonową koszulą nocną i pikowanym szlafrocikiem. We wpisie do dziennika z czternatego maja — a zatem na dwa tygodnie przed przyjazdem do Nowego Jorku — wyraża głęboki żal, że nie udało się jej zdobyć więcej przyjaciółek w Smith College. „Mieszkałam w pudełkach na piętrze, poniżej i w korytarzu, otoczona przez dziewczęta, które dużo myślą, mają podobne uczucia i razem z tobą tęsknią, ale nie chciałam ich rozwijać, ponieważ nie chciałam, nie mogłam poświęcić im czasu”^{<4>}. Przysięgła sobie, że w Nowym Jorku będzie towarzyska i na dowód tego zostawiała drzwi do

swojego pokoju w Barbizonie zawsze otwarte. Od pierwszego wieczora, który spędziła na pogaduszkach z Grace, Sylvia zmieniła hierarchię wartości: z nauki i pracy na zdobywanie doświadczeń i przyjaźni. Bardzo chciała pozyskać tu, w Nowym Jorku, przyjaciółki. Pragnęła być lubiana przez inne dziewczęta. I większość z nich uwielbiała towarzystwo Sylvii, podziwiała jej świeżą zdrową urodę i dostrzegała inteligencję.

Wracając do pokoju Grace. Wychodził na Sześćdziesiątą Trzecią Ulicę, przez co był najśloneczniejszym pomieszczeniem na piętrze. Natychmiast stał się więc nieoficjalnym miejscem spotkań dziewcząt. Tamtej nocy wszystkie stłoczyły się na małej przestrzeni, ale żadna nie chciała wyjść pierwsza. W pewnym momencie, koło pierwszej lub drugiej nad ranem, podzieliły się na niewielkie podgrupy, bardzo chciały poznać się bliżej i nawiązać pierwsze więzi. Aż jedna z nich rzuciła pytanie (zawsze znajdzie się ktoś taki): Która z was jest dziewicą?

Żadna nie podniosła ręki.

Było jasne, skąd pochodziłyśmy: zdradzały nas dialekty, stroje i uprzedzenia. Sylvia i Carol — „wschodnie inteligentki” — nazywały mówiącą nosową gwarą Janet Wagner, która chodziła do Knox College, „wieśniaczką” z Knoxville w Tennessee. Mnie, jako że się z nią trzymałam, przyklepiono tę samą etykietkę. Ze wszystkich dziewcząt to chyba właśnie Janet najbardziej skorzystała z miesięcznego stażu w magazynie i szybko stała się wyrafinowaną „mieszkanką wschodu”. Gdy jednak po raz pierwszy pojawiła się w Nowym Jorku, wtedy, w 1953 roku, daleko jej było do znawczyni mody. Zobaczyłam ją przy windach w długiej różowej babcinej sukience w kwiatki i w małym kapelutku, obklejonym na płasko jasnoniebieskimi kwiatami z jedwabiu, lawendą i goździkami. Uśmiechała się szeroko i zdobywała tym uśmiechem wszystkich, nawet te dziewczyny, które ją poniżały i wyśmiewały się z jej wyglądu albo akcentu. Jan po prostu nie dała się onieśmielić, stawiała im czoło, niwelując tym samym przewagę Ligi Bluszczowej nad naszymi małymi college’ami. Wszystkie docinki spływały po niej jak po kaczce, a ona rzucała tylko coś w stylu „chromolić to!” i robiła, co trzeba, żeby przetrwać w bezwzględnym świecie mody w Nowym Jorku.

neva nelson

Biedna Sylvia należała do snobek z Ligi Bluszczowej. Była zażenowana, gdy dowiedziała się, że powtarzałam trzecią klasę. Nie wierzyła, że ktoś taki jest w stanie odnieść potem sukces. Ona wygrała konkurs w kategorii proza, a ja w kategorii literatura faktu, dlatego chcieliśmy się poznać. Mówiłam jednak ze środkowozachodnim akcentem, co ją ewidentnie rozczarowało. Sylvia uważała, że wszystko, co leży na zachód od Lake Placid, to już Dziki Zachód i automatycznie tego nie lubiła. Kochała Europę.

janet wagner

Pochodzę z małego miasteczka w Iowa. Sylwię to fascynowało. Była rozczarowana na wieść, że wychowałam się w mieście, a nie na farmie.

laurie glazer

- 1> Sylvia od razu przeważa Nevę i Janet Kowbojką i Wieśniaczką.
- 2> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, 27 marca 1956, opr. Karen V. Kukil, przeł. Joanna Urban i Paweł Stachura, Warszawa 2000, s. 542.
- 3> Tamże.
- 4> Tamże, 14 maja 1953, s. 177.

NOWE DZIEWCZYNY W MIEŚCIE

Przez całe lata pięćdziesiąte singielki tłumnie ściągały do Nowego Jorku. Towarzyszyły temu mieszane emocje. Tak czy inaczej, było to niezwykle zjawisko kulturowe, dziewczyny mieszkające w mieście bez rodziny czy męża budziły wielką ciekawość, żeby nie powiedzieć — chęć podglądactwa. W 1954 roku fotografka pracująca dla magazynu „Life” udokumentowała losy sześciu dziewcząt żyjących wspólnie w dwupokojowym mieszkaniu w Greenwich Village.

Na prowizorycznych stolikach stoją filiżanki z herbatą, obok tosty, dżem malinowy, popielniczki w kształcie liścia i paczki chesterfieldów. Dalej czarne bakelitowe telefony, pudła na kapelusze i korkowe tablice z przypiętymi zdjęciami gwiazd i modelek. Oprócz tego zardzewiałe grzejniki, oparta przy oknie gitara, bermudy i mokasyny, które nosi się na gołe stopy. Dziewczyny jadają na prawdziwej porcelanie, a następnie zakasują rękawy i biorą się za zmywanie. Włosy upinają metalowymi spinkami od Goody’ego. Na zakupy chadzają w płaszczach z wielbłądziej wełny, a do koszyków wkładają zupy Campbella, sok pomarańczowy, surowe kurczaki i ananasy. Są zawsze razem — czy to na zmianę malując się w łazience wielkości szafy, upijając się winem, jedząc obiad, czy w wojskowych piżamach pijąc wieczorem mleko — cała szóstka śpi na składanych łóżkach pod patchworkowymi kołdrami przywiezionymi z domów.

Była to złota era dziennikarstwa mody. Rosyjscy dyrektorzy artystyczni: Alexander Liberman w „Vogue” i Aleksiej Brodowicz w „Harper’s Bazaar” nadawali swoim magazynom odważny futurystyczny rys. (Ich projekty i kompozycje miały w sobie coś z klimatu rosyjskiego kina). Dzięki ekscentryczności naczelnej „Harper’s Bazaar” Carmel Snow i felietonistki „Vogue” Diany Vreeland świat mody mieszał się swobodnie z ludźmi pióra i awangardą.

Było w tym coś jeszcze, bardziej subtelna przynęta dla czytelników zainteresowanych zarówno przyszłością prozy, jak i nowym pudrem do twarzy ze sproszkowanych pereł. Zaczynało się przebudzenie modelek.

W warunkach powojennego dobrobytu w mgnieniu oka wyrastały nowe biurowce, a modelki dzięki takim fotografom jak Herman Landshoff stawały się elementem nowego miejskiego krajobrazu. <5> Dovimę, Dorian Leigh czy Suzie Parker pokazywano nie tylko w kontekście miejskim, lecz także w dynamicznych pozach: zasuważące zamek błyskawiczny ołówkowej spódnicy w jodełkę albo spoglądające przez ramię podczas przechodzenia przez Piątą Aleję. Były nowymi dziewczętami Nowego Jorku — z podwyższonym tętnem od nadmiaru nikotyny i kawy. Zalęknione i płochliwe, lecz bardzo w tym powabne, stały się nową twarzą

miejskiej kobiecości.

NEVA NELSON: Uroda to rzecz względna, więc na pytanie, czy Madelyn (Mathers) była ładna, odpowiedziałabym, że owszem, w nieco bardziej wystudiowany sposób niż Sylvia. Pamiętam jej szeroko otwarte oczy za wielkimi okularami w złotych drucianych oprawkach. Niezwykle blada, delikatna, niemal anemiczna — takie chucherko w zbyt luźnych ubraniach. Była przy tym bardzo samodzielna i z zaangażowaniem wykonywała powierzone jej zadania. Ona również została wezwana na dywanik za to, że nie zamieściła w tekście wszystkich reklam. Prawie rozplakała się z nerwów, że nie uda się jej wcisnąć już ani jednego słowa więcej. Następnie, ku swojej ogromnej uldze, znalazła rozwiązanie: nazwy kosmetyków wpisała pod zdjęciami. Jako gościnnie redaktor naczelna mogła wtedy zabrać się za obowiązki, którym nie poddały pozostałe dziewczyny. Jestem przekonana, że w ciągu pierwszych tygodni także Sylvii pomagała realizować powierzone jej zadania.

Tego typu zdjęcia oraz teksty o modzie dawały wrażenie naoczności i poufałości. Dreszcz mijającej chwili, przelotne rozpoznanie, gest, uśmiech. Modelki zdawały się wołać ze stron magazynów: „Zapraszamy, jesteśmy takie jak ty, my też przeglądamy się w witrynach, też chodzimy do pracy piechotą, nawet gdy pada”.

Dziewczyna w mieście stanowiła atrakcyjną alternatywę wobec żony i matki. Artykuły nie tylko inspirowały młode kobiety do osiągania sukcesów zawodowych, lecz także subtelnie pchały je ku odkrywaniu siebie. „Odwiedzaj stare kościoły” — zachęcał „Junior Bazaar”. — „Powłócz się w poszukiwaniu egzotycznego jedzenia, albo i bez celu, po prostu powęsz dokoła, zbadaj małe uliczki, posłuchaj, co dzieje się w okolicy”.

Nowy Jork zaczynał jawić się jako bezpieczne schronienie dla kobiet, które interesowało raczej bycie w pełni ukształtowaną osobą dorosłą niż żoną czy matką — taka wizja miasta skryształizowała się w pełni dekadę później, w *Śniadaniu u Tiffany’ego*. W 1947 roku „Junior Bazaar” opublikował artykuł Maeve Brennan zatytułowany *Nowy Jork — to zależy od ciebie*⁽⁶⁾. Brennan pisze w nim: „Zorientujesz się, że to, co w Nowym Jorku najbardziej nie do wytrzymania, stanowi jednocześnie o jego charakterze. Sprzeczności i anonimowość, pozorna obojętność wobec ciebie i innych — wszystko to sprawia, że miasto staje się bezpieczną przystanią dla każdego człowieka”. Tekst opatrzony jest zdjęciem przedstawiającym młodą kobietę na rozmazanym tle miejskiego zgiełku. Jej głowę wskazuje strzałka, a nad nią widnieje napis: „Bo sekret tego miasta polega na tym,

że stwarzasz je według swego uznania. To zależy od ciebie”.

5> Herman Landshoff zapoczątkował nowy styl w fotografii mody — „nową miejską kobiecość”. W 1953 roku dwukrotnie fotografował Sylvię Plath.

6> Maeve Brennan, *New York Is Up to You*, „Junior Bazaar”, wrzesień 1947.

TE UROCZE

Jest niezwykle urocza.

„time”, 15 kwietnia 1940

Na stronach „Mademoiselle” gościły dwa typy modelek. Pierwszy to kobieta dojrzała i wystudiowana, jak Dovima albo Dorian Leigh. Ma wyraziste, przyciemniane kredką brwi, grubą warstwę podkładu i czerwone, matowe usta. Nosi kapelusz, wyrafinowane fasony i charakteryzuje ją chłodny dystans. Można się przy niej poczuć jak niezdarna młodsza siostra. (Tak, naprawdę można się poczuć młodziej — wówczas jeszcze Ameryka nie stawiała młodości na piedestale. Modelki były dojrzałe, albo miały sprawiać takie wrażenie. Miały być bardziej panią Robinson niż jej córką Elaine). Te łabędzie piękności należały jednak do drugiej kategorii — to nie one przykuwały spojrzenia, a już na pewno nie spojrzenia Sylvii. W magazynach takich jak „Mademoiselle” czy „Charm” prym wiódł inny typ kobiety. Trzeba się jej było wręcz przyjrzeć jeszcze raz — być może przypominała tę brunetkę z piętra wyżej albo piękną siostrę twojego chłopaka? Była młodsza i nie nosiła kapelusza. Rozpuszczone włosy zaczesywała do tyłu. Szczupła tak jak Doriany i Dovimy, ale bez ich ostrych kantów. I zdecydowanie mniej wymalowana: o naturalnych brwiach i tylko delikatnie podkreślonych policzkach. Tusz do rzęs i eyeliner nakładała powściągliwie. Usta malowała lekko na amarantowo lub różowo, a nie na karminową czerwień Cruelli. Raczej nie założyłaby peleryny, płaszcz ani niczego, co przypomina zbroję. Jej sukienki często nie miały rękawów, co eksponowało smukłe (lecz na pewno nie atletyczne) ramiona. Jednak to, co najbardziej odróżniało ją od starszej, lepiej opłacanej siostry, to nonszalancja. Ta dziewczyna była wyluzowana. Mogła trzymać ręce w kieszeniach, lekko garbić się nad filiżanką kawy bądź trzymając torebkę. Mogła czytać książkę albo zapinać sobie właśnie bransoletkę.

Pisarka Mary McCarthy opisała ten rodzaj modelek jako klasykę „Mademoiselle” połowy wieku. Narzekała, że typowa modelka z dziecinną buzią, zadartym nosem, niskim czołem i wiecznie otwartymi ustami, jakby chorowała na migdałki, jest wręcz boleśnie infantylna. (Opis ten idealnie pasuje do wszystkich Twiggy, Edie i Penelop następnej dekady). McCarthy dorastała w czasach, gdy „Vogue” koncentrował się na krawiectwie paryskim — podczas wielkiego kryzysu było to niezwykle okrutne. W latach trzydziestych, zanim modeling stał się rodzajem kariery zawodowej, dziewczęta prezentujące ubrania miały więcej wspólnego z manekinami ze sklepów odzieżowych albo siedemnastowiecznymi

francuskimi lalkami. Były jak żywy obraz, *tableau vivant*, którego nie próbowało się naśladować ani nawet nie miało się na to ochoty.

„Urocze”, „miłe” i — przede wszystkim — „śliczne”, to coś częstokroć bardziej urzekającego niż „piękne”. Kotek z kłaczkiem na łebku jest nieskończenie bardziej czarujący niż idealnie wyczesany pers. „Chore na migdałki” dziewczęta z „Mademoiselle” może i nie miały onieśmielającego powabu Królowej Śniegu jak Dorian Leigh, ale coś innego, coś potężnego w mniej oczywisty sposób. Były młode.

Kiedy Sylvia kartkowała egzemplarz magazynu, widziała dziewczęta odbierające telefony, noszące książki, jeżdżące na rowerze — czyli robiące dokładnie to, co ona każdego dnia. Modelka z lśniąco włosami i w płaszczu z wielbłądziej wełny mogła być twoją współlokatorką. Mogła być tobą.

Czasem była, gdyż niekiedy dziewczęta z uczelni, jak choćby Barnard, Rice albo Cornell, pozowały do zdjęć do artykułów takich jak *Camele i Old Goldy* czy *Strój na cztery lata* zamiast zawodowych modelek. Tak naprawdę w 1952 roku uczelnia Sylvii — Smith College — przewija się przez cały sierpniowy numer uczelniany. Dziewczyny fotografowane w kampusie noszą garsonki z tweedu lub wełny czesankowej, mają proste spódnice — nieco luźniejsze niż ołówkowe, Sylvii ulubione.

Smith pojawia się w tym numerze „Mademoiselle” po raz drugi jeszcze na stronach o modzie, w artykule *Przy mężczyźnie noś czerwień*, prezentując studentki w czerwonych spódnicach i sukienkach. Częścią garderoby, która wywoływała największe wrażenie, był dżersej od Security — „marszczony na gumkach, tak by przylegał do ciała od szyi po biodra”. „Zawsze staram się mieć coś czerwonego” — powiedziała Marea Grace, studentka Smitha. Na następnej stronie wystąpiła kolejna studentka w taliowanej sukience bez rękawów (zapinanej z przodu na guziki) z czerwonego aksamitu Julliarda, z raczej nowoczesnym dodatkiem w postaci blad różowego dżersejowego kardiganu Lebanon.

Sylwię przypuszczalnie ośmielał widok studentek jej college’u tak wdzięcznie przedstawionych w „Mademoiselle”, zwłaszcza że sama uwielbiała czerwień. Na uczelniane koktajlowe lubiła wkładać czerwony pulower do białej wełnianej spódnicy. Na włosach nosiła czerwoną opaskę („dziś straciłam czerwoną opaskę, kochaną całą czerwienią mojego serca”⁷), miała także czerwone płócienne baletki z Paryża i mocno malowała usta na czerwony kolor. Tuż przed wyjazdem do Nowego Jorku kupiła czerwoną torebkę i pasujące do niej buty oraz nowy pas do pończoch, pończochy i szminkę — wszystko czerwone.

PAPIEROWE LALECZKI

Zamiłowanie Sylvii do strojów zaczęło się wcześniej. Jako mała dziewczynka robiła sobie papierowe laleczki oraz projektowała im całą garderobę: suknie

dzienne, spódniczki do tenisa i spiczaste staniki. Laleczki zmysłowe jak Rita Hayworth albo Veronica Lake. O długich falowanych włosach i krągłych biodrach, niczym u ikon lat czterdziestych, na których wzór powstały. Nosiły długie do ziemi przezroczyste peniuary i spódnice z rozcięciem. Sylvia miała wrodzone wyczucie kobiecej sylwetki. Laleczki uwodziły i przybierały pozy dziewczyn z plakatów, wyciągały pulchne złote rączki niczym tancerki z Rockettes. Szczęściary nosiły równie zalotne sukienki jak one, albo czarne sukienki koktajlowe i eleganckie garsonki. Na dzień świętego Patryka dostały szmaragdową suknię wciętą mocno w talię i obszytą koniczyną. Była też suknia Kleopatry wraz ze złotymi sznurowanymi sandałami i złotymi wstęgami krzyżującymi się na piersiach oraz diademem egipskiej księżniczki do noszenia na czole. Był strój Królowej Kier z przezroczystych róży i czerwieni, czarne przezroczyste spódnice, długie i dopasowane, zestaw Szwajcarska Mleczareczka z Alp z kusym gorsetem. Były haremki i stroje Josephine Baker: obcisły trykot w kolorze skóry z tropikalnymi owocami zakrywającymi biust. Były czarne gladiatorki wiązane aż na udzie. Wiele kostiumów projektowanych przez Sylvię pochodziło prosto z burleski, na przykład kostium policjantki, na który składała się granatowa rozkloszowana spódniczka mini oraz kobaltowe haltery wykończone mosiężnymi sprzączkami i guziczkami. Seksowne ubrania w stylu Bettie Page. A na święta — krótka czerwona sukienka stylizowana na kozacką, obszyta białym futrem i puchatymi białymi pomponikami.

7> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, 26 lutego 1956, dz. cyt., s. 205.

PIERWSZY KROK: UCZESTNICTWO W COLLEGE BOARD 8

Każdego roku „Mademoiselle” wydawało numer o ślubach, choć tak naprawdę był to pożegnalny gest wobec czytelniczek, które dopiero co wyszły za mąż. Zamążpójście, a nawet same zaręczyny stanowiły początek końca związku czytelniczki z tym magazynem. Życie wypełniało się zmywkami i dziećmi, więc kobiety przerzucały się na „Ladies’ Home Journal” albo „Good Housekeeping”. Zanim jednak pojawił się mąż, pieluchy i kuchnia, czytały o „wykształconym dżerseju, który nasiąknął manierami tweedu” albo o „sweterkach na wykłady, do pracy i na randkę” i „kostiumie pasującym każdej dziewczynie”. Czytały „biblię studentek college’u”, czyli coroczny numer uczelniany „Mademoiselle”, na którego okładkach występowały dziewczęta w kraciastych spódniczkach i lekkim makijażu. Został on stworzony dla modelowej czytelniczki — młodej i doskonale wykształconej. Powodem do dumy dla magazynu był bliski związek z odbiorczyniami. „Dla nich MLLE usiłuje być przewodniczką, filozofką i przyjaciółką, oferuje dobry gust we wszystkim, od mody po literaturę, od pielęgnacji po kompetentne porady dotyczące kariery, od filozofii i sztuki po rozrywkę i podróże” 9. Do College Board przystępowało siedemset pięćdziesiąt dziewcząt wyselekcjonowanych z uniwersytetów w całym kraju. Wejście do tej grupy było pierwszym krokiem do zdobycia stażu redaktorskiego w Nowym Jorku.

UMIEJĘTNOŚCI

(z podania o pracę złożonego przez Sylvię w „Mademoiselle”)

o

„Doskonała” zbieraczka szpinaku nowozelandzkiego. (Prawda).

o

sprawna kelnerka: „Potrafi balansować z tacami pełnymi *filet mignon*”. (Nieprawda. Sylvia była beznadziejną kelnerką, która upuściła wiele tac z tą potrawą).

o

Guwernantka i opiekunka do dzieci. (Prawda. Sylvia pracowała jako au pair u bogatej rodziny w Nowej Anglii, a ich dzieci były wymyte, nakarmione,

naczytane i szczęśliwe przez całe lato 1952 roku).

◦

„W miarę dobra” maszynistka. (Raczej prawda. Sylvia pisała na maszynie w szalonym tempie. Często w ramach przysługi przepisywała przyjaciołom dokumenty na swojej maszynie Olivetti).

◦

Autorka villanelli. (Francuskie i wymyślne? Prawda!).

Sylvia dołączyła do College Board podczas trzeciego roku studiów w Smith College — roku wypełnionego stresem, zapaleniami zatok, naukami ścisłymi i tabletkami na sen. Poza nauką zajmowała się także dziennikarstwem — współpracowała z popularnym czasopismem o modzie. Przez następne kilka miesięcy opisywała kampusowe trendy, politykę, gusta i styl. Było to zaszczytne zajęcie, ale i wyczerpujące. Oprócz tego miała problemy z chłopakiem, tęskniła za Europą i złamała nogę na nartach. W dodatku jej najlepsza przyjaciółka Marcia Brown zaręczyła się i wyprowadziła poza kampus, a pozostałe koleżanki przebywały na zagranicznych stypendiach. Cały kampus wydawał się spowity ponurą mgłą — zdarzały się próby samobójcze, aborcje, zniknięcia i pochopne zamążpójścia. Sylvia radziła sobie, robiąc kompulsywne zakupy w centrum Northampton. Przezroczyście bluzki, francuskie pantofle, czerwone kaszmirowe sweterki, białe spódnice, obcisłe czarne pulowery — kupowała stroje raczej na pokaz, a nie na uczelnię. Każda chciała zostać stażystką w „Mademoiselle”, ale Sylvia naprawdę potrzebowała tej posady — łaknęła zastrzyku splendoru, dzięki któremu wyrwałaby się z bagna. Do wiosny 1953 roku otrzymała od zespołu „Mademoiselle” tuziny listów, służbowych notatek i wytycznych — na perłoworóżowym papierze z nazwą magazynu wypisaną delikatną oliwkową czcionką. Zupełnie jakby korespondowała ze starszą, bardzo stylową, bardzo kochaną i bardzo śliczną przyjaciółką.

W kwietniu Sylvia dostała taki telegram:

**Z RADOŚCIĄ ZAWIADAMIAMY, ŻE WYGRAŁA PANI STAŻ
REDAKTORSKI. PROSIMY POZOSTAĆ DO DYSPOZYCJI MIĘDZY 1 A 26
CZERWCA.**

Wiadomość napisano na żółtym papierze, a podpisała ją Marybeth Little, redaktorka odpowiedzialna za College Board. Sylvia była przeszczęśliwa.

◦

„Mademoiselle” natychmiast zaprzęła stażystki do pracy, zlecając wywiad ze słynną osobą. Sylvia marzyła o rozmowie z J.D. Salingerem — uwielbiała *Buszującego w zbożu*, Shirley Jackson, Irwinem Shawem albo E.B. White’em (każda chciała zrobić z nim wywiad). Magazyn jednak zlecił jej irlandzką powieściopisarkę Elizabeth Bowen, z którą spotkała się dwudziestego szóstego maja w wyłożonej drewnem bibliotece poetki May Sarton w Cambridge, w stanie Massachusetts. Sylvia włożyła obcisłą zapinaną sukienkę, żakiet do kompletu i biały toczek. Dodatki jak zwykle dobrała subtelnie: charakterystyczną pomadkę w kolorze wiśniowej czerwieni, perłową bransoletę na prawym nadgarstku i delikatny zegarek na lewym. Obie panie miały na szyi trzy krótkie sznury pereł. Elizabeth Bowen podczas całego wywiadu paliła chesterfieldy, a popiół strzepywała na mały porcelanowy spodek — biały z obwódką w kolorze indygo.



Sylvia Plath podczas wywiadu z Elizabeth Bowen w domu May Sarton

8» Magazyn „Mademoiselle”, zapożyczając pomysł od domów towarowych, utworzył coś w rodzaju klubu dla stałych czytelniczek. Jego członkinie w kampusie traktowane jako trendsetterki i wyrocznie w sprawach stylu i manier pisywały dla magazynu „raporty” o życiu studenckim. Uczestnictwo w College Board dawało możliwość wzięcia udziału w konkursie o staż w „Mademoiselle” (przyp. tłum.).

9» Fragment z broszurki informacyjnej, którą otrzymywały wszystkie stażystki.

NASTĘPNY KROK: KOPCIUSZEK

Bycie jedną z dwudziestu zwycięzczyń miesiąca w Nowym Jorku z całego kraju to szansa na bezcenne doświadczenie zawodowe, a ja czuję się jak jakiś studencki Kopciuszek, którego matka chrzestna nagle wyskoczyła ze skrzynki pocztowej i zapytała: „Dokąd najpierw?”, a ja, Kopciuszek, odpowiedziałam: „Do Nowego Jorku”, wtedy ona mrugnęła okiem, machnęła laseczką i odparła: „Mówisz, masz!”.

*sylvia plath, letters home:
correspondence 1950–1962*

Sylvia miała pracować w biurze. Ale nie zajmowała się porządkowaniem notatek, doskonaleniem pisania na maszynie czy czytaniem opowiadań. Zamartwiała się strojami — obmyślała zestawy, planowała wydatki związane z ich kupnem, pisała o nich, tworzyła listy i chodziła na zakupy.

Cały rok pracowała nad zmianą swojego wizerunku prostodusznej dziewczyny z college'u. Rozumiała, że „bawełny, rozkloszowane spódnice na halce i studencki styl bycia” w Nowym Jorku wypadną niezwykle naiwnie. Sylvia chciała być twarda i miastowa. Do kosza z bufiastymi rękawkami, marszczonymi spódnicami i infantylnymi guziczkami! Miesiącami zatem kompletowała nylonowe bluzki, proste szare spódnice, obcisłe czarne sweterki i czarne czółenka na obcasie.

I słusznie. O ile bowiem Smith to dobrze wykarmione drogie konie wyścigowe, o tyle „Mademoiselle” to wymuskane drobne charty. Sylvia wiedziała, że po wielu godzinach spędzonych w biurze będzie zapraszana na premiery kinowe, sztuki, pokazy mody, eleganckie bale — a może nawet na moment stanie się modelką? Tak więc kupowała, planowała i przygotowywała się na „Mademoiselle” z właściwą sobie gorliwością — była elegancka, opanowana i olśniewająca.

27 kwietnia 1953 roku, zaledwie miesiąc przed rozpoczęciem pracy, robiła zakupy w butikach w Northampton przy Green Street, gdzie wydała w sumie osiemdziesiąt pięć dolarów. Kupiła czarną suknię z jedwabnego szantungu na cieniutkich ramiączkach i bolerko do kompletu. Suknia była cięta ze skosu i wysmuklająca — sporo odsłaniała i świetnie nadawała się na tańce. (Sylvia miała wąskie biodra i metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu — mało która sylwetka tak dobrze wygląda w wymagającym fasonie tego modelu). Druga suknia,

bez ramiączek, z dekoltem w serce, uszyta z biało-niebieskiej bawełny w prążki pasowała na lato i była bardzo dziewczęca. Zapinało się ją z przodu na białe guziki. Idealnie pasował do niej obcisły i krótki żakiet ze stójką inspirowaną owalną kolekcją Diora.

Nowe stroje uszczęśliwiły Sylwię. Dla niej lista zakupowa brzmiała jak wiersz. Na zakupy zawsze chodziła sama. Odpowiadało to jej rozważnej naturze i pozwalało przeżywać artystyczną radość, którą odczuwała za każdym razem, gdy obcowała z czymś pięknym — pijąc filiżankę ciemno palonej kawy, naciągając jedwabną pończochę czy układając owoce na paterze.

Ostatnim zakupem była suknia, którą z konieczności włożyła pierwszego dnia pracy: w meksykańskie wzory, z dekoltem w łódkę i opiętym gorsem z płótna w kolorze brązowo-biało-czarnym oraz z czarnym połyskującym skórzanym paskiem w talii.

PRÓBA GENERALNA

Na trzy tygodnie przed rozpoczęciem pracy w „Mademoiselle” Sylvia miała okazję posmakować Nowego Jorku podczas podwójnej randki z przyjaciółką z college’u Carol oraz dwoma chłopakami z Columbi. Wszystko zapowiadało się znakomicie. Chłopak dla Sylvii, Ray Wunderlich, był elegancki i opalony, ubrany w różę i żółcie. (Natomiast ten drugi „niski i łysiejący”). Sylvia czuła podekscytowanie i radość. Całą czwórką poszli na kolację do francuskiego bistro La Petite Maison, gdzie po raz pierwszy jadła ostrygi, które postawił jej Ray. W zachwyty wprawiały ją białe lniane obrusy i „przejrzysta niczym wino atmosfera”, a także błyskawicznie zabierający talerze kelnerzy. Smakowało jej czerwone wino, *filet mignon*, zielona sałata i mocna czarna kawa. Tego wieczoru Sylvia brylowała — zawsze to łatwiej, gdy tobie przypada atrakcyjniejszy chłopak. Po kolacji obejrżeli *Czarownice z Salem* i poszli na drinka do Delmonico, a potem rozmawiali i pili aż do piątej nad ranem. <10>

Ten weekend był jak cały niebiański sezon skompresowany do dwóch dni. Wszystko wydawało się niezwykle, niezapomniane — późny sobotni brunch, potem *Carmen* (jej pierwsza opera) i obiad w Gloucester House na Cape Cod, gdzie najadła się krabów, zupy z małży, przegrzebków i krakersów. Wymknęła się do teatru, by samotnie obejrzeć *Camino Real*, a następnie poszła z resztą na tańce. Noc skończyła się ostatnim kieliszkiem sherry wypitym u Raya na balkonie z widokiem na połyskującą rzekę. Ktoś włączył płytę z *Jeziorem labędzim*, a potem *Życie paryskie* Offenbacha i Sylvia jak zwykle została aż do rana.

Jeśli naprawdę była w euforii w czasie poprzedzającym jej staż w „Mademoiselle”, miała ku temu dobre powody. Przez dwa dni Ray nadskakiwał jej, zapraszając do francuskich restauracji, zabierając na spacer po mieście i okazując wytworną uprzejmość. Sylvia traktowała Nowy Jork jako eksperyment — sposób na weryfikację teorii dotyczących pracy, akademii i stylu życia. Miała dwadzieścia lat, właśnie zakończyła wyjątkowo męczący rok akademicki i przepełniały ją wrażenia z weekendu.

Do poniedziałku znalazła sobie nowy obiekt westchnień — Nowy Jork.

„Życie stało się cudownie proste” — pisała w swoim dzienniku — „kiedy nieśmiała forsycja zdecydowała się wreszcie rozkwitnąć i wybuchnąć wiosną w żółtych fontannach płatków. Chociaż mam do zapisania całe ryzy papieru, życie wzięło wreszcie niucha kokainy — słonecznych dni i słonego powietrza, więc wszystko wydaje się zmierzać ku lepszemu” <11>.

Już uwielbiała Nowy Jork.

10> Delmonico to najstarsza restauracja w Nowym Jorku — tam powstał

deser zwany *baked Alaska*.

11› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., s. 525.

MADISON AVENUE 575

Przy soku pomarańczowym i kawie nawet zarodek samobójstwa jest jakby jaśniejszy.

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
14 maja 1953

1 czerwca 1953 roku. Pierwszy dzień. W kawiarence na parterze Sylvia wypiła sok owocowy, zjadła jajko, dwa tosty i popiła kawą — wydała pięćdziesiąt centów. Jadła z apetytem, bo śniadanie było jej ulubionym posiłkiem. Kiedy jednak zakładała biało-niebieską prążkowaną sukienkę, dostała krwotoku z nosa i musiała się przebrać w tę z meksykańskimi wzorami. Dla kogoś tak drobiazgowego jak Sylvia to katastrofa.

W „Mademoiselle” dano zawczasu jasno do zrozumienia, że od stażystek oczekuje się noszenia rękawiczek, stonowanych kolczyków, eleganckich kapeluszy, a białe obuwie jest absolutnie zakazane. A więc poplamiała krwią nową sukienkę, choć jeszcze nawet nie zaczęła pracować! Musiała jej wystarczyć meksykańska, może i ładniejsza, ale nie tak idealna na tę okazję.

Nie wszystkie dziewczęta były przeczulone na punkcie ubrań. Pierwszego dnia Janet Wagner wparowała do biura w biało-niebieskiej sukience w kratę, białym kapeluszu i... białych butach. „Nikt w całym Nowym Jorku nie założyłby białych butów — wspomina Janet — ale ja to zrobiłam i to z dziką satysfakcją”.

Sylvia wyszła z kafejki, minęła kioski sprzedające gazety, słodczyce i papierosy. Zdała sobie sprawę, że już się spociła. Szła Sześćdziesiątą Drugą Ulicą obok ebenistów i sklepów z antykami. Skręciła w Park Avenue, mijając kobiety w chłodnych pastelach i cartierze. Wreszcie dotarła na Madison Avenue. Po drugiej stronie ulicy, pod redakcją „Harper’s Bazaar” Diana Vreeland i Carmel Snow wsiadały do taksówek. Modelki przebiegały obok w obcisłych żakietach, rozkloszowanych spódnicach, sandałkach na wysokim obcasie i abstrakcyjnych kapelusikach.

Codziennie w drodze do pracy Sylvia spotykała oszałamiająco wytworne kobiety. Tamtego roku modne ulice Nowego Jorku rozkwitały tęsknotą za belle époque. Cristóbal Balenciaga ze swoimi turniurami, krynolinami, gorsetami i szeleszczącymi halkami był u szczytu sławy. Podobnie jak dziewiętnastowieczni krawcy, znał się na kroju i szyciu, a jego wyrafinowana technika odzwierciedlała ówczesne zapotrzebowanie na elegancję. W 1947 roku Christian Dior zaprojektował wystylizowaną ultrakobiecą sylwetkę pod nazwą New Look. Po

wojnie usztywniane staniki, mocne wcięcia w talii i falbaniaste spódnice uderzały kobietom do głowy jak butelka szampana wypita na pusty żołądek. Do uszycia sukienki w stylu New Look trzeba było wielu metrów materiału — co za rozrzutność po ascezie wojennych lat! W czasie wojny oszczędzały na perfumach i nie chodziły w pończochach — niektóre nawet rysowały sobie czarne kreski z tyłu nogi, imitując szew. Teraz europejscy projektanci tacy jak Balmain, Balenciaga i Dior zaczęli tworzyć kolekcje prêt-à-porter do kupienia w amerykańskich domach towarowych. (Suknia Diora kosztowała około tysiąca dolarów, ale tania amerykańska kopia zaledwie dwadzieścia cztery dolary i dziewięćdziesiąt dziewięć centów). Można było pójść do Saksa albo Bloomingdale'sa i kupić dokładną imitację sukni „Palomita” Diora, z takim samym dekoltem w łódkę, przylegającą górą ozdobioną złotą nicią, dżetami i koralikami. O ile ten przerysowany i hiperkobiecy styl komuś odpowiadał.

DANDYSI

Moda męska w połowie XX wieku inspirowała się kolorowym upierzeniem samców, stawiając na jedwabne garnitury, lny i sybarycki wdzięk. Były to ubrania projektowane dla mężczyzn, którzy nie muszą pracować. Ci nie nosili fryzur na jeża. Sylvia już wtedy zaczęła się odwracać od obdartych Myronów i „noszę-to-co-kupi-mi-mama” Dicków. Ray Wunderlich ubrany w odcienie różu, limonki i melona doskonale wpasowywał się w wizerunek nowego dandysa połowy wieku.

Nie można było wyjść do miasta bez kapelusza. Należało wyglądać jak młoda dama... wliczając białe rękawiczki.

ann burnside

Każdego dnia musiałyśmy wyglądać jak damy — wymalowane, wystrojone i zawsze z przyzwoitką. Oczywiście koniecznie w kapeluszu, żeby przyćmić starsze redaktorki.

diane johnson

Zgodnie z instrukcją „Mademoiselle” wszystkie dwadzieścia stażystek zebrało się w lobby koncernu wydawniczego Street and Smith, w zapachu farby drukarskiej, styraksu i pasty do butów. Ściany i stolarkę w lobby pomalowano na złoty mat, podłogę zaś pokryto różowo nakrapianymi kafelkami, które miały przypominać marmur. Mężczyźni w garniturach wypełniali stoiska z gazetami i stanowiska do czyszczenia butów uspokajającym zgiełkiem. Redakcja magazynu

znajdowała się na szóstym piętrze.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy po opuszczeniu windy, był schowek gospodarczy. Wiadro i mop stały równo przy drzwiach. (W końcu Neva włożyła je do środka, żeby nie witały jej każdego ranka). Pokoje redakcyjne urządzone w kolorach ciemnozielonym i różowym oraz obwieszane lustrami pachniały cyprysowo szamponem Halo. Marybeth Little powitała dziewczęta i rozdała im perłoworóżowe kartki ze spisem najważniejszych rzeczy. Miała dwadzieścia cztery lata, była w ósmym miesiącu ciąży i prezentowała się świeżo i ślicznie w odprasowanej czarnej trapezowej sukience z białym kołnierzykiem oraz w czarnych czółenkach z odkrytą piętą. Wyglądała modnie, zachowywała się jak osoba obyta i zrelaksowana. Stażystki natychmiast ją polubiły. Była tam także Polly Weaver<12>, zachwycająco ciepła kobieta ze — podobnie jak Sylvia — Smitha. Cyrilly Abels, sekretarz redakcji i zwierzchniczka Sylvii, dość szorstka osoba o szerokich znajomościach, była na ty z Dylanem Thomasem. Równie ocytana okazała się redaktorka literatury pięknej Margarita Smith, kobieta o sarnich oczach, która bała się wind i — tak się złożyło — była także siostrą Carson MacCullers.

Niektóre redaktorki wydawały się wyniosłe i perfekcyjne niczym orchidee. Ich blade upudrowane twarze odstawały od nastoletniej opalenizny Sylvii. Kilka z nich miało własne służące, które każdego dnia prasowały im pończochy. Używały perfum takich jak Youth Dew czy Shalimar. Redaktorka działu mody Kay Silver jadała obiady z Gretą Garbo i jej „przyjacielem”. Garbo niemal kroїła mu mięso.

o

ANN BURNSIDE: Podziwiałam wszystkie te kobiety w kapeluszach. Moja zwierzchniczka Gigi Marion była redaktorką w dziale mody, kobietą tuż po czterdziestce, wysoką, szczupłą i elegancką. Ubierała się w czerń lub biel. Nie onieśmiała, ale prawdę mówiąc, do serdecznych też nie należała.

o

Na biurkach walały się zapałki ze Stork Club, buty od Ferragamo i kapelusze ozdobione sztucznymi jagodami. Biuro naczelnej Betsy Talbot Blackwell przypominało ciemnozielony las — nazywała je swoim buduarem, a w biurku trzymała zapasy wódki i lodu.

Każdy pokój miał odrębną klimatyzację, która jednak nie działała właściwie, więc redaktorki po prostu ją wyłączały. (Czerwcowy upał zamienił zielono-różowe lobby w coś w rodzaju śmiercionośnej szklarni). Pomimo spiekoty, szaleńczego harmonogramu prac, wyczerpującej nowości tego wszystkiego — a może właśnie z tych powodów — wśród stażystek „The Millies” tamtego rocznika nie widać było

śladu zmęczenia. Tak jak Sylvia, wszystkie funkcjonowały na adrenalinie.
Byłyśmy zachwycone pracą w „Mademoiselle”.

gloria kirshner

To była naprawdę wielka rzecz.

laurie glazer

12› Polly Weaver w latach siedemdziesiątych stanie się aktywistką ruchu wyzwolenia kobiet.

„UWIERZ W RÓŻ” BETSY TALBOT BLACKWELL, 1955

*Nie ośmieliłabym się nie wstać
z krzesła, gdyby Betsy Talbot
Blackwell weszła do pokoju.*

ann burnside

Na redaktor naczelną Betsy Talbot Blackwell mówiło się po prostu BTB. W latach dwudziestych jeszcze jako podłotek obwiązywała sobie klatkę piersiową bandażem. Teraz była dojrzałą wielką damą o pulchnych zarumienionych policzkach. Nosiła sukienki w czarno-białe kwiaty, a szeroki kołnierz okalający dekolt w łódkę i wykończony czarną rypsową wstążką obramowywał jej szyję i okrągłe ramiona. Miała na sobie perły. Neva wspomina ją jako „wystrojoną jak na podwieczorek w towarzystwie dam”.

o

LAURIE TOTTEN: Każde jej pojawienie się powodowało nagłe ożywienie w towarzystwie. Ta matrona, rzeczowa i modna, choć ubrana zachowawczo, miała w sobie coś matczynego, ale raczej była z niej matka surowa, która rządziła w domu i nie tolerowała żadnych głupot. Nie malowała się zbyt mocno, a ciemne włosy do ramion czesała w fale.

o

JANET BURROWAY: BTB weszła w czarnej sukni i krótkim perłowym naszyjniku, z baaardzo długą fifką, którą trzymała tak jak później Audrey Hepburn. Powiedziała nam tylko, że dostałyśmy niezwykłą szansę i dodała: „W tym sezonie wierzymy w róż”. Może i byłam niedoświadczona, ale nawet mnie wydało się to komiczne.

o

Tamtego dnia BTB jak zwykle przysłała z długą czarną lufką, odpalając jednego papierosa od drugiego. Wygłosiła mowę, w której przestrzegала dziewczęta, by o sobie dbały — „najpierw zdrowie, potem uroda” — a następnie przypomniała im, jakimi są szczęściami. Na pudełkach jej zapalek widniał monogram — inicjały w kobaltowym kolorze na platynowo-srebrnym tle, płaski nowoczesny bezszeryfowy krój pisma. Miała ważnego męża prawnika (już drugiego, Jamesa Madisona Blackwella III), niezwykle atrakcyjnego syna, który

okropnie się jąkał, i kamienicę przy Piątej Alei 1170.

JANET BURROWAY: Wiele osób paliło wtedy papierosy. Nie zwracało się na to uwagi. Po prostu tak już się przyjęło, że palono w biurze. Ja nie paliłam, ale dym mi nie przeszkadzał, poza tym zakładałam, że to element wyrefinowanej atmosfery. Kilka osób miało lufki. Ta, której używała BTB, była długa i wymyślna, a przez to wręcz odpychająca.

Betsy Talbot Blackwell, córka dramatopisarza, pracowała jako konsultantka do spraw mody u Lorda & Taylora. Chodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice, gdzie redagowała szkolną gazetę. Jeszcze przed osiemnastką awansowała na asystentkę redaktora działu mody w „Charm”. Była niezwykle pomysłowa. Na zawsze zmieniła historię mody, wymyślając tak zwane metamorfozy. Zaczęła od zaproszenia pielęgniarki Barbary Phillips z Bostonu na zakupy na Manhattanie i całkowitą zmianę wizerunku. Według artykułu w magazynie „Time” z 1940 roku: „Siostra Phillips zrobiła «Mademoiselle» taki rozgłos, że Betsy szybko przekształciła ten wyczyn w konkurs dla brzydkich dziewcząt. Spośród tysięcy fotografii smutnookich kaczątek, wybierała jedną, następnie odsyłała ją do domu jako łabędzia o filmowej urodzie” <13>.

Idea przeistoczenia najzwyczajszej dziewczyny w modelkę przysporzyła czasopismu wiele popularności wśród młodych kobiet. To było coś zupełnie nowego, tak odmiennego od skostniałego „Vogue” (a nawet od „Harper’s Bazaar”, którego redaktor naczelna Carmel Snow zawsze albo jechała do Paryża, albo stamtąd wracała, żyjąc dzięki francuskim ciastkom, martini i zastrzykom z witaminy B). BTB wymyśliła specyficzny ton starszej, mądrzejszej siostry: i ty możesz stać się szykowna, nawet jeśli cię nie stać na Balenciagę albo wypadu do Biarritz.

W tamtych czasach „Vogue” był magazynem dla wyrefinowanych kobiet, „Mademoiselle” zaś dla dziewcząt. A jednak to redaktorki narzucały nam bezwzględność wersję kobiecości.

diane johnson

Stworzenie przez BTB w 1939 roku numeru uczelnianego było po prostu logicznym następstwem, dużo bardziej zresztą ambitnym. Byle idiotkę można przecież wystroić i pomalować, ale jak zapewnić jej prawdziwą karierę w modelingu? Kiedy w sierpniu wydano pierwszy numer uczelniany, w ciągu miesiąca sprzedaż podskoczyła o sto tysięcy egzemplarzy.

Betsy Talbot Blackwell zdecydowanie wyprzedzała swój czas. Za parę lat to właśnie ona jako pierwsza opublikuje Glorię Steinem i Betty Friedan. W 1946 roku zatrudniła zadeklarowanego geja Leo Lermana, po tym jak pojawiła się na jednym z jego słynnych przyjęć. Tak wygląda jego wpis do dziennika poświęcony pierwszemu spotkaniu z BTB:

Na ogniście czerwonej sofie siedziała w kapeluszu mała pulchna kobieta o cętkowanej twarzy — kobieta o ptasich oczach, której stopy nie mieściły się w przyciasnych butach. Miała w sobie coś przykuwającego uwagę, jakby z tej postaci w średnim wieku, raczącej się alkoholem, wyglądała bardzo młoda dziewczyna. Spoglądając w półmrok, zapytała: „A ty to kto?”. „Marlena Dietrich” padła odpowiedź, a słowa te zawisły w próżni. Marlena zerwała się i zaczęła opróżniać popielniczki. Truman i Tennessee ledwie powstrzymywali śmiech. Trillingowie, Van Vechtenowie, Dorothy Norman, John Latouche dodatkowo podgrzewali atmosferę. Całe towarzystwo natychmiast wpakowało się do środka, skupiając się na Betsy Talbot Blackwell, redaktor naczelnej „Mademoiselle”, tej małej kobiecie siedzącej na sofie. <14>

(W rzeczywistości BTB wynajęła prywatnego detektywa, aby obserwował Leo).

Przy Madison Avenue 575 Leo określano jako „redaktora w czarnym garniturze”.

— Był dandysem i bywalcem — wspomina Ruth Abramson, z którą blisko się przyjaźnił. — Zabierał mnie na wiele przyjęć, podczas których czułam się na swój sposób wyróżniona.

Leo kreował trendy, a jego legendarne przyjęcia opisywano na stronach o stylu życia w „Vanity Fair”, „Vogue” czy „Harper’s Bazaar”. Krągły, brodaty i wesoły przypominał Świętego Mikołaja, tyle że w świetnym garniturze.

Jednak Sylvia jako gościnnie sekretarz redakcji nie miała możliwości zaprzyjaźnienia się z osobistościami takimi jak Leo. Także i Leo nie uznał jej za pokrewną miłośniczkę ludycznych rozrywek. Gdy we wrześniu 1971 roku pytano go o Syvię, odparł tylko: „Była wycofana i nieśmiała... jak to poetka”.

13> *Success in Fashion*, „Time”, 15 kwietnia 1940.

14> *The Grand Surprise: The Journals of Leo Lerman*, opr. Stephen Pascal, Alfred A. Knopf, 2007, s. 74.

KAWIOR I KRÓLOWE

BTB robiła wrażenie na Sylvii, ale jeszcze bardziej imponowała jej Cyrilly Abels, sekretarz redakcji i bezpośrednia zwierzchniczka Sylvii podczas miesięcznego stażu. Z obiema paniami jadła lunch w pełnym przepychu hotelu Drake na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Restauracja Drake Room miała fantazyjny sufit w stylu belle époque, stylizowany na rozgwieżdżone niebo, sześciu barmanów i otwarty bufet z przystawkami. Była niezwykle kulinarnym wprowadzeniem w Nowy Jork — miejscem słynnym ze steków, kaczki w sosie pomarańczowym i pieczonego kapłona. Sylvia uwielbiała tutejszą elegancję: bogate, wytworne wnętrza, sherry i szum plotek. Z przyjemnością pochłaniała wielką sałatkę szefa (jej ulubioną).

ANN BURNSIDE: Jedyne, co nadawało się do jedzenia, to kawior w kryształowej misie i może jeszcze kilka krakersów na drugim końcu stołu. Sylvia siedziała po mojej prawej stronie. Natychmiast przysunęła do siebie kawior i wyjadła łyżką całą miskę. Byłam zaszokowana i zażenowana jej zachowaniem, ale Sylvia albo nie zdawała sobie z niczego sprawy, albo miała to gdzieś. Cyrilly Abels pewnie myślała, że Sylvia ma wiele do zaoferowania i przypisała to zachowanie jej ekscentryczności. Ja natomiast nigdy nie widziałam niczego bardziej niegrzecznego ani lekceważącego wobec innych. Z pewnością się tym wyróżniła. Później nie umiałam już w niej znaleźć niczego pozytywnego. Nie chciałam, by ktoś nas razem widział — przecież znów mogła wyciąć jakiś numer. Później dowiedziałam się, że jej wuj prowadził firmę cateringową i że była przyzwyczajona do zjadania jedzenia na przyjęcia — to była dla niej norma.

Po powrocie do Street & Smith Eileen Neva i Sylvia rozmawiały w windzie, porównując swoje wrażenia. Eileen wyrwało się pierwszej:

— Nie jest to zbyt wytworne.

— Najdziwniejsza zbieranina, jaką w życiu widziałam — doprecyzowała Sylvia.

ZBYTKOWNE JEDZENIE

Dla kogoś tak znanego z nienaganych manier jak Sylvia zachowania społeczne albo wywołujące gniew były nie do pomyślenia. Po prostu uwielbiała jeść, tak jak uwielbiała inne rzeczy: kaszmir, kawior, piwo — wszystko. Uwielbiała kolory, a w swoim dzienniku opisywała żółcienie zupy kukurydzianej, sałatkę z tuńczyka z majonezem, olśniewający odcień żółtka, niebieskozielony refleks

w otwartej ostrydze.

Sylvia kochała sałatkę z jajkami i rukwią wodną u Childa, a jednocześnie potrafiła ni stąd, ni zowąd zamówić potrawkę z podrobów. Kawior był dla niej po prostu jeszcze jedną rzeczą do zjedzenia. Pewnego lata, gdy w domu studenckim w Cambridge dzieliły się z koleżankami obowiązkami kuchennymi i zaopatrzeniowymi, Sylvia wydawała dziewięćdziesiąt pięć procent swojego tygodniowego budżetu przeznaczonego na jedzenie, by kupić wyrafinowane przyprawy. Kapary, pasta z anchois i słoiki z ziarnistą musztardą francuską. I przede wszystkim orzechy włoskie, którymi obficie posypywała każdemu sałatki, płatki z mlekiem, jogurty czy owoce.

Neva zadała ostateczny cios:

— BTB jest jak irlandzka praczka.

Uważała, że to komplement odnoszący się do mało wybrednej postawy życiowej i etosu pracy. Niestety BTB — która od razu się o tym dowiedziała — nie odebrała tego w ten sposób. Tak Neva, jak Sylvia zostały pilnie zawezwane do „buduaru”.

Pod wpływem gniewu pulchna i kwiecista BTB przemieniała się z doktora Jekylla w pana Hyde’a. Najpierw zabrała się za Nevę.

— Masz szczęście, że tu jesteś! — wrzeszczała. — Byłam przeciwko twojej kandydaturze... Jesteś tu jedynie z litości. — A co gorsza dodała: — Twoja ciężka praca nie oznacza, że masz talent.

— A ty — warknęła, wirując wokół Sylvii, aż perły latały — jesteś tu tylko dzięki twej matce. Gdyby nie sprawdzała twojej pisaniny, nie byłabyś w stanie złożyć ani jednego zdania.

Niczym współczesna Hydra BTB miała niezwykle zmysł podpowiadający jej, jak ranić. Neva dorastała w sierocińcu w Montanie. W szkole średniej mieszkała samotnie w pokoju hotelowym w Los Angeles i zarabiała, prowadząc własną audycję w radiu. Jako samozwańcza „zawodowa zwyciężczyni konkursów” Neva przystąpiła do pierwszego z nich (organizowanego przez producenta mleka skondensowanego), gdy miała dziesięć lat, gdyż bardzo chciała dostać jakąś pocztę na adres sierocińca. Czy BTB wiedziała o dzieciństwie Nevy? Z pewnością wiedziała o Sylvii i o tym, że Aurelia Plath była nauczycielką. Musiało ją zabolec nazywanie jej abnegatką przez kogoś, kto właśnie sam pochłoniął cały kawior. I tak w swojej łaskawości podczas lunchu nie skomentowała tego ani słowem.

Łagodnie ujmując, był to upokarzający początek. Neva szlochała. Madelyn Mathers, przypadkowy świadek tej sytuacji, starała się udawać, że nie wie, o co chodzi. Sylvia przez kilka sekund siedziała w milczeniu, a potem wybiegła i zamknęła się w łazience. Jej łkanie słychać było aż na korytarzu. BTB prawie nie

bywała w redakcji, więc Sylvia, która doceniała znaczenie pierwszego wrażenia, obawiała się, że nie dostanie szansy na rehabilitację. Jednak najgorsze, co mogło się wydarzyć tego popołudnia, dopiero je czekało. Każda stażystka miała mieć zrobione zdjęcie portretowe do rubryki Zawód i Przyszłość. Neva Nelson została poproszona jako pierwsza.

Sesja ta zaskoczyła wszystkie dziewczęta. Błada i zapłakana Neva, choć ubrana w prostą, szykowną, czarną sukienkę z ażurowym wykończeniem, miała wątpliwości co do swojego stroju. Na szczęście nie malowała mocno rzęs, więc nie rozmazała się dramatycznie. Na zdjęciu wygląda bardzo modnie, ma włosy obcięte na boba, kloszowaty kapelusz i ani śladu łez, które nadal musiała powstrzymywać.

Sylvia za to wciąż płakała w łazience, spuchniętą czerwoną twarz próbowała doprowadzić do porządku, korzystając tylko z kranu i chusteczki. Z ulgą, że najgorsze już minęło, Neva wślizgnęła się do łazienki, by jej pomóc. Wreszcie Sylvia wyszła i wręczono jej rekwizyt, z którym miała zapozować do zdjęcia — czerwoną różę. Jakimś cudem udało się jej w miarę wiarygodnie uśmiechnąć, ale z tego wszystkiego kwiat trzymała do góry łodygą.

To doświadczenie je przygnębiło. Fotograf Herman Landshoff łaził dokoła ze swoim aparatem i się przechwalał.

— Skupiał się wyłącznie na sobie — wspomina Ann Burnside — i wyjaśniał, że jest delikatnym stworzeniem, przywykłym do najlepszego sprzętu i najlepszych modelek, a teraz musi pracować w strasznych warunkach.

— Dziś uznałabym go za zabawnego — powiedziała Neva — ale wówczas nie było mi do śmiechu.

Sylvia czuła się pokiereszowana obiektywem fotografa i tyradą BTB. Staż w „Mademoiselle” to dla myślącej dziewczyny przygotowanie do życia w wielkim świecie. Każda z dwudziestu dziewcząt przyjechała tu radosna i pełna nadziei niczym panna młoda. Zaś po jednym dniu Sylvia czuła się jak ścierka do podłogi. Jeśli to miał być test, to go oblała.

Sesja fotograficzna trwała aż do wieczora. Sylvia rozpakowała się i wyczerpana zjadła późną kolację w kawiarni na dole. Wkrótce napisze list do swojej nauczycielki ze szkoły średniej i mentorki Wilbury Crockett, w którym przyzna: „Zawiodłam panią”. Jej suknia wizytowa przyjechała tego wieczora.



Sylvia pierwszego dnia w „Mademoiselle”, zaraz po tym, jak skończyła płakać

WIŚNIE NA ŚNIEGU

*Nie ma brzydkich kobiet,
są tylko leniwe.*

helena rubinstein

Drugi dzień to przede wszystkim pokaz mody w Roosevelt Hotel na rogu Madison i Czterdziestej Piątej Ulicy. Dziesięć stażystek zostało wybranych, by zaprezentować charakterystyczne dla „Mademoiselle” spódniczki w kratkę i niebieskie bluzki — między innymi Sylvia. W innych okolicznościach bardzo by jej to schlebiało i cieszyłaby się z tego, gdyż dobrze się czuła w swoim ciele. <15> Upokorzenia poprzedniego dnia dały jej jednak tak w kość, że przekonała Nevę, by ją zastąpiła. Ubrane w kraciaste spódniczki praktykantki musiały przez cztery godziny pozować niczym manekiny, podczas gdy zawodowe modelki paradowały po wybiegu w sukniach, pelerynach i plisowanych spódnicach. Sylvia nie przepadała za szkolnymi spódniczkami i błękitnymi bluzkami, więc cieszyła się miejscem na widowni.

o

NEVA NELSON: Według mnie Sylvia nigdy nie chciała uczestniczyć w pokazach mody i dołączyć do grupy „głupich modelek”, choć określano ją mianem „seksownej blondynki”. Była dość przybita (na skraju łez) harmonogramem pierwszych kilku dni. Początkowo wyznaczono ją do wzięcia udziału w pokazie w Roosevelt Hotel, ale gorączkowała się, że nie jest w stanie zrobić tego i zdążyć z pracą. Tak więc zastąpiłam ją w ostatniej chwili.

o

Po pokazie „Mademoiselle” fundowała lunch w Grand Central’s Oyster Bar. Słynęli z potrawki z homara, a codziennie łowione ryby uchodziły za najświeższe w mieście. (Lunch składający się z całego homara kosztował mniej więcej trzy i pół dolara). Sylvii podobały się krzątanina i gwar, sufit wyłożony płytkami ceramicznymi, mężczyźni w garniturach i kapeluszach pochłaniający homary i koktajle, słonawy, syreni zapach baru z surowymi rybami, połączony z wonią torów kolejowych. Potem nadszedł czas na metamorfozę w znanym salonie Richarda Hudnuta. Sylvia z przyjemnością skorzystała z mycia i suszenia włosów, ale odmówiła drastycznej zmiany długości.

W salonie Richarda Hudnuta moją fryzurą zajął się najlepszy wówczas

stylista Enrico Caruso. Najpierw bacznie mi się przyglądał, a następnie energicznie zaczesał mi włosy na jedną stronę, powtarzając z seksownym błyskiem w oku: „Czesz się assymetrycznie”. Cesałam się tak potem przez większość życia.

neva nelson

Miałam bardzo długie włosy, mogłam na nich dosłownie usiąść... Niektórzy fotografowie z „Mademoiselle” nawet robili im zdjęcia, ale chyba się nie ukazały w magazynie.<16>

gloria kirshner

Kapelusze nigdy tak do końca Sylvii nie pasowały. Była wysoką kobietą o regularnej owalnej głowie i jak wiele innych nie pozbyła się studenckiej awersji do kapeluszy, które wydawały się jej zbyt wymyślne. Sylvia stawiała na naturalność, zdrową świeżość, bardziej kalifornijską niż nowojorską. Lubiła szale, opaski i swobodne fale okalające małe toczki i woalki.

DIANE JOHNSON: Stałe redaktorki rzeczywiście nawet przy biurku siedziały w nakryciu głowy. Byłam modelką prezentującą kapelusze i bardzo mnie cieszyło, gdy zorientowałam się, że wyglądam w nich bardzo dobrze. Kazano nam je nosić każdego dnia, na ulicy, w redakcji itd. Sylvia Plath miała wyjątkowo niekorzystny, spłaszczony na czubku toczek — wciąż mam przed oczami to coś przychepione do jej tak twarzowego pazia.

Sylwię prawdopodobnie bardziej interesowały techniki maskowania nosa, który uważała za zbyt kartoflany. Choć ogólnie była zadowolona ze swojego wyglądu, wciąż narzekała na nos, który nawet pewnego razu w dzienniku nazwała pękatą ciekącą kiełbasą. Niemal nie rozstawała się z czarną puderniczką, prezentem od matki. Pełne usta malowała szminką Revlona w odcieniu Wiśnie na Śniegu — co bardzo współgrało z aktualnymi wówczas trendami.<17> Wyniki pewnej ankiety przeprowadzonej w 1950 roku ujawniły, że 98 procent kobiet używa szminki, a tylko 96 procent myje zęby. Sylvia Plath robiła jedno i drugie — była znana ze swojej schludności i intensywnie czerwonych ust.



Janet Wagner w salonie Richarda Hudnuta

CZERWONA SZMINKA

Wiśnie na Śniegu marki Revlon (ciemna różowawa czerwień)

Czerwony Kapturek marki Max Factor (klinicznie potwierdzono, że „kusi wszystkie wilki”)

Bravo marki Revlon

Wyrazista Czerwień marki Max Factor

Ujrzyj Czerwień marki Max Factor

Jazz marki Helena Rubinstein

Usta w latach pięćdziesiątych były wyraźne i mocno obrysowane. Polecano używać dwóch lub nawet trzech odcieni szminki: ciemniejszą czerwień na dolną wargę, jaśniejszą, lżejszą na górną i odrobinę jasnego błyszczyku na środek. Mimo szkarłatnych ust (które wyglądały jak maki, gdy je wydymała) preferencje Sylvii co do makijażu zupełnie nie zgadzały się z wystylizowanym, mocno zarysowanym wizerunkiem tamtych czasów. Od matowej pudrowanej perfekcji wolała słonawą opaleniznę i nigdy nie sięgała po ołówek do jasnobrązowych brwi. Nie zachowało się żadne zdjęcie, na którym Sylvia miałaby wyraziście podkreślone oczy.

NEVA NELSON: Jeśli chodzi o różnice w wyglądzie wynikające z miejsca pochodzenia stażystek, to byłam zaskoczona nie tyle ich strojami, co właśnie makijażem. Gdy w 1957 roku powróciłam do Nowego Jorku jako pracownica telewizji ABC, zapytałam jedną dziewczynę, dla której tam pracowałam: „Jesteś z Filadelfii, prawda?”. A ona odparła „Tak, skąd wiesz?”. Powiedziałam jej, że poznałam po makijażu. Miała jaskrawe, dokładnie obrysowane konturówką usta i kontrastującą z nimi białą, mocno wypudrowaną twarz, ciemne kreski na powiekach i błyszczące puszyste włosy. Przypominała mi koleżankę ze stażu Eileen McLaughlin — jej styl był rozpoznawalny nawet po czterech latach.

Trendy dotyczące pielęgnacji i urody w połowie ubiegłego wieku stawiały na jasną skórę. Do podkładu używało się Angel Face firmy Pond, płynnego Touch & Glow Revlonu z lanolitem czy Pan-Cake Maxa Factora. Sylvia jednak nie posiadała wysublimowanej cery, określanej jako delikatna czy porcelanowa, choćby nawet miała to być porcelana nieszkliwiona. Jej skóra zbyt świeciła się na zdjęciach. Na taką cerę mówiono, że jest woskowa albo że przypomina mokry celofan. Była promienista, miodowa, jak u Lolity po zbyt wielu pucharkach lodów i drinkach. Na pewno w niczym nie przypominała English Rose Bentleya ani Creme Puff Maxa Factora.

Sylvia nie miała ochoty rozjaśniać skóry, wręcz przeciwnie, uwielbiała się opalać. Może i to był jej nałóg, ale należała do tego typu ludzi, którzy naprawdę wyglądają ładniej opaleni na brązowo. Uważała (i słusznie), że wówczas jej twarz wydaje się bardziej kanciasta. Każdego lata zakładała więc wiązaną na karku górę od kostiumu, smarowała się oliwką dla niemowląt, padała na leżak i smażyła brzuch na kolor przypieczonego tostów. Nosiła krótkie spodenki, które eksponowały

jej długie brązowe nogi. Uwielbiała pocić się na słońcu, które rozjaśniało jej włosy i brązowiło skórę. Nienawidziła tego, że Nowy Jork zmienił jej karnację na chorobliwie bladą. Według Sylvii pisanie wiązało się z opalaniem: „Muszę być opalona, brązowa na całym ciele, wtedy oczyści mi się skóra i będę się lepiej czuła. Powinnam napisać powieść, tomik poezji, opublikować opowiadanie w «LHJ» [«Ladies’ Home Journal»] i «NY» [«New Yorker»], wtedy znikną pory i będę promienna. A pieprzyk będzie niezłośliwy” <18>.

2 czerwca 1953 roku nawinęła włosy na wałki z gąbki i bawełnianej szmatki. Na skroniach wsuwkami upięła sobie dwa loki. Do późna w nocy pisała na maszynie szkic artykułu pod tytułem *Poeci kampusu*. Nazajutrz czekał ją trzeci dzień w tym mieście.

URODA

Jakiś czas później Sylvia i The Millis odwiedziły Maison de Beauté Heleny Rubinstein przy Czterdziestej Dziewiątej Zachodniej Ulicy. Małeńki salon usytuowany w kamienicy z brunatnego piaskowca był bardzo elegancki, Helena urządziła go w ciemnoniebieskich aksamitach. Dym, skóra, makijaż — wszystko w ostrym świetle. Dokoła roilo się od kamer, a Mark Snow robił zdjęcia. Helena jak zwykle miała na sobie czerwienie i purpurę oraz ociekała biżuterią. Siedziała na krześle i wyglądała jak jakiś szalony ptak.

Sylvia, Laurie i pozostałe dziewczęta w gustownych strojach i eleganckich czółenkach usadowiły się wokół niej. W rękach trzymały notatniki i rozglądały się, jakby były na safari i obserwowały lamparty oraz pумы w ich naturalnym środowisku. We własnej dżungli.

Helena Rubinstein miała wówczas osiemdziesiąt trzy lata. (Jej mąż ksiązę Artchil Gourielli-Tchkonja był dwadzieścia cztery lata młodszy).<19> Opowiadała o nowej linii kosmetyków Youth Line, których składnikiem były świeże lilie zbierane bladym świtem przez zakonnice w Saint-Paul-de-Vence, kremy i mikstury zawierały zaś ludzkie łożysko i surowe jaja. Ni stąd, ni zowąd Helena przerwała. Przyglądała się dziewczętom. Światło późnego popołudnia uwydatniało strukturę ich twarzy. Mark podszedł z aparatem. Nagle Helena szybko wyjęła czerwoną szminkę w odcieniu o nazwie Life i namalowała sobie na twarzy kreski niczym rany cięte dokładnie w tych miejscach, na które padało światło.

— Pamiętam, że Sylvii opadła szczęka — powiedziała Laurie. — Obie byłyśmy przerażone. No ale w końcu to Helena Rubinstein. Wiedziała, co robi.

Wszyscy — fotograf, stażystki, Gigi i Kay oraz cały zespół „Mademoiselle”

— wystraszyli się Heleny, która z kolei wystraszyła się dziewcząt. Ładne czy brzydkie, nieważne, uświadamiały jej okrutnie, że utraciła młodość. Choć wiedziała, jak podkreślić kości policzkowe.

Co za upiorna, niezwykła i kosztowna scena. Sylvia była zachwycona.

15› Trzy lata później Sylvia wystąpi jako modelka prezentująca jednoczęściowe kostiumy kąpielowe dla magazynu „Varsity” w Cambridge.

16› Gloria zaplatała długie włosy w warkocze, które upinała wokół głowy niczym koronę. Jej fryzurę podpatrzy Sylvia pod koniec swojego życia.

17› Tego lata bardzo popularnym odcieniem był również Koronacyjny Róż — 2 czerwca 1953 roku koronowana została królowa Elżbieta II. Był to drugi dzień Sylvii w Nowym Jorku.

18› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 7 stycznia 1959, s. 446.

19› Umrze dwa lata później. Ona przeżyje go o kolejną dekadę.

OWIECZKI

Dlaczego nie noszę butów na obcasie... Czy dlatego, że na płaskich wyglądam jak smarkula? Jestem młodziutka, naiwna, dziecinna, emocjonalnie jak szesnastolatka. Moje reakcje są zbyt oczywiste, jestem nadpobudliwa.

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
20 września 1952

Na sto trzydziestej dziewiątej stronie numeru uczelnianego opublikowano czarno-białe ziarniste zdjęcie — ujęcie z lotu ptaka przedstawiające dwadzieścia kobiet ustawionych w kształcie gwiazdy. Trzymają się za ręce i mrużąc oczy, patrzą w górę. Wszystkie noszą spódnice w kratkę, błękitne bluzki i małe toczki. Sylvia stoi u szczytu gwiazdy. Zdjęcie zostało zrobione o poranku trzeciego czerwca — w trzecim dniu pobytu Sylwii na Manhattanie.

O dziewiątej rano wszystkie stażystki zgłosiły się do sali konferencyjnej, gdzie czekały już na nie charakterystyczne wełniane spódnice w kratkę, pastelowo niebieskie bluzki i kapelusiki. Po szybkiej zmianie strojów w łazience kraciaste stadko wpakowano do taksówek i zawieziono do Central Parku — na miejsce sesji fotograficznej. Już wtedy temperatura wynosiła około trzydziestu czterech stopni — trzydzieści cztery stopnie Celsjusza w wełnianych ubraniach i kapelusikach. Co gorsza, fotografował je Herman Landshoff — ten zmanierowany gość z poniedziałku.

— Godzinami ustawialiśmy się w kształt gwiazdy — powiedziała Ann Burnside. — Fotograf był okropnie wymagającym perfekcjonistą. Redaktorka mody [Kay Silver] wciąż biegała między fotografem, który stał na mostku, a naszą dwudziestką czekającą na ceglany tarasie poniżej i ciągle poprawiała a to toczek, a to przesuwała czyjaś rękę o dwa centymetry. <20>

Laurie Totten także była niezadowolona.

— Większości z nas nie podobała się ani spódnica, ani bluzka, a już na pewno nie idiotyczny kapelusik bez ronda. Pamiętam, że wiało i na niektórych ujęciach nasze bluzki wyduły się i wyglądałyśmy jak napompowane. To pewnie wina kierunku wiatru, albo tego, gdzie stałyśmy.

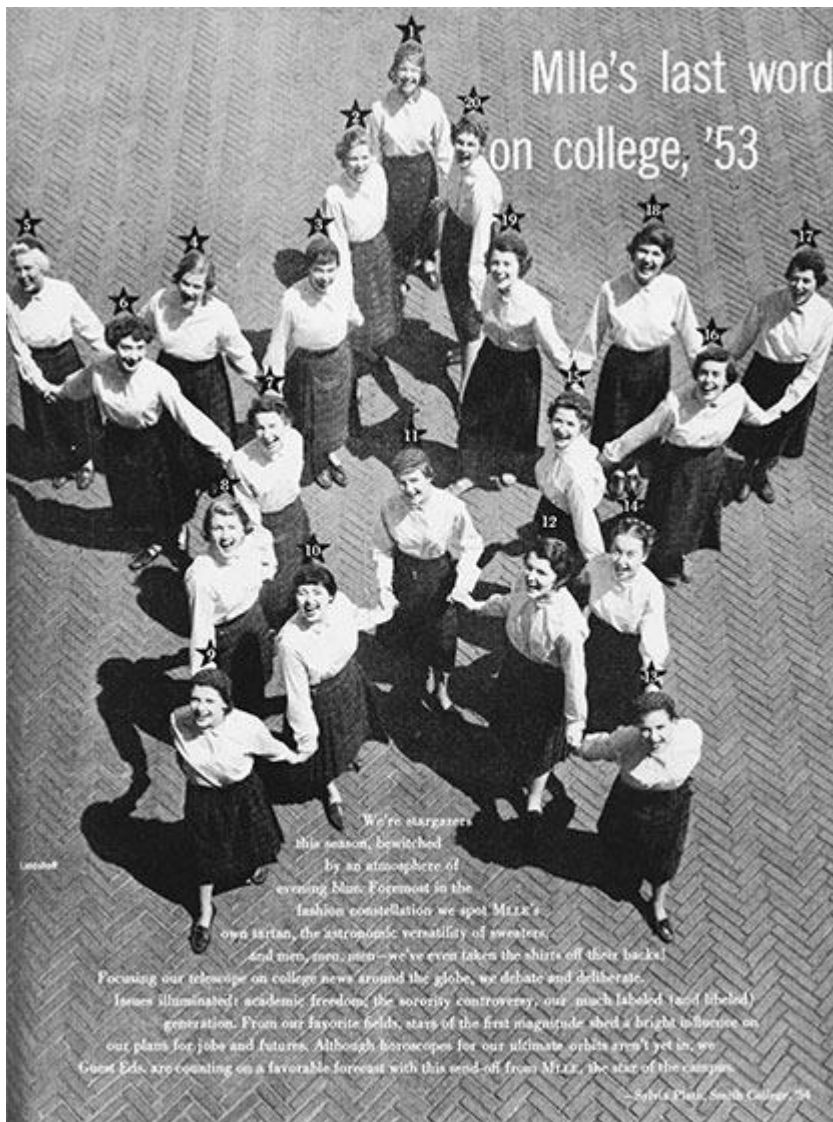
Pomijając już nawet gorący wiatr i wzdęte bluzki, dziewczynom nie podobało się, że prowadzi się je po Central Parku w kraciastych spódniczkach. Sylvia uznała ten ubiór za szczególnie upokarzający. Czujne oko nie mogło pominąć kontrastu między eleganckimi czarnymi garsonkami ekipy „Mademoiselle” a jej własną nadętą wiatrem błękitną bluzką. Magazyn najpierw

obiecował miejskie przygody, a tymczasem ona, po tym jak zrujnowała się na czarny szantung, który nieużywany marniał w Barbizonie, miała na sobie skarpetki do kostek i kapelusik.

Celem tej sesji było rzecz jasna uchwycenie „swobodnego studenckiego stylu”. Jednak pod maską swobody dziewczyny w obcisłych pasach elastycznych spływały potem. Niektóre pasy robiono z dziurkowanej gumy, żeby umożliwić skórze oddychanie, co jednak nie zapobiegało przywieraniu gumy do ciała niczym przyssawka. Nie miały w sobie nic z ponętneho dezabilu — nie sprawiały wrażenia, że da się je kiedykolwiek zdjąć.

JANET WAGNER: Moja spódnica była chyba za szeroka w pasie, więc do sesji spięto mi ją szpilkami. Później oddałam ją krawcowej do poprawek. Panował upał, ale myśmy się świetnie bawiły, ustawiając się w gwiazdę i uśmiechając do obiektywu. Lubiłam tego fotografa. Zapomniałam, jak się nazywał, ale miał siwe włosy i wiem, że przyjechał do Ameryki po wojnie z jakiegoś europejskiego kraju.

Sesja ciągnęła się do późnego popołudnia. Pod koniec dnia rozdźwięk między trzpiotowatymi, beztroskimi stażystkami a rzutkim zespołem „Mademoiselle” kłuł w oczy.



Tamtego wieczoru, już w hotelu Barbizon, Sylvia napisała tekst, który miał towarzyszyć „gwiazdnemu” zdjęciu. Zawiedzione oczekiwania nie wpłynęły negatywnie na jej świeży język — opisała ten dzień jako światowy i wesoły. Tekst⁽²¹⁾, wydrukowany małym stopniem pisma, brzmiał tak:

W tym sezonie to my wypatrujemy gwiazd, oczarowane wieczornym błękitem. W konstelacji mody dostrzegamy charakterystyczny tartan „Mademoiselle”, astronomiczną różnorodność sweterków i wielu, naprawdę wielu mężczyzn, których nawet pozbawiłyśmy koszul! Ustawiamy teleskop na wiadomości z college’ów z całego świata i debatujemy, deliberujemy. Rzucamy światło na: wolność akademicką, kontrowersje wokół bractw żeńskich i nasze zaszufadkowane (niesłusznie) pokolenie. Z innych, ulubionych obszarów: gwiazdy pierwszej wielkości wpływają na nasze plany zawodowe i na przyszłość. Choć horoskopy dotyczące docelowych orbit nie są jeszcze dla nas gotowe, my,

redaktorki na stażu, liczymy na korzystną prognozę i żegnamy „Mademoiselle” — gwiazdę kampusu.

ANALIZA

Trzeciego czerwca Sylvia otrzymała od Polly Weaver notatkę napisaną na maszynie na różowym papierze „Mademoiselle”. Była to analiza jej własnego charakteru pisma wykonana przez profesjonalnego analityka Herry’ego O. Teltschera. W jednej kolumnie wypisano mocne strony, w drugiej słabe:

o

mocne strony: Wysoka radość z wykonywanej pracy. Wycucie formy, piękna i stylu przydatne w branży modowej i wystroju wnętrz. Pragnie osiągnąć.

słabe strony: Ogarnięta powierzchownością, koturnowe zachowanie, sztywność poglądów.

o

Sylvia nie była na to przygotowana. Nie uprzedzono jej, że odręczne pismo zostanie przeanalizowane, a teraz trzymała w dłoniach ocenę swojego charakteru wykonaną przez kogoś zupełnie obcego. (Kilka miesięcy wcześniej Polly Weaver zwróciła się listownie do wszystkich praktykantek z prośbą, by napisały odręcznie o tym, czego mają się nadzieję nauczyć przez miesiąc, który spędzą w Nowym Jorku). Mimo że próbki pisma pozyskano w nie do końca uczciwy sposób, zamiłowanie Sylvii do autoanalizy przyćmiło oburzenie, jakie czuła wobec metod zastosowanych przez „Mademoiselle”.

„Wycucie formy, piękna i stylu przydatne w branży modowej i wystroju wnętrz” — jakże mile widzianym potwierdzeniem były te słowa. Sylvia, choć ogólnie dość pewna swoich umiejętności literackich, nie zdobywała równego uznania w dziedzinie sztuk wizualnych. W „Mademoiselle” dziewczyny od „wizualnych” otaczano podziwem, a „literatki” w jaskrawo oświetlonej Celi tępiły krótkie paznokcie na maszynie do pisania. Potwierdzając wyczulenie Sylvii na piękno, Herry O. Teltscher uznał jednocześnie jej miejsce w popularnym magazynie o modzie.

Na szczęście Sylvia nie była świadoma zakulisowego poruszenia. Najwyraźniej Herry O. Teltscher wystosował list do Betsy Talbot Blackwell, w którym ostrzegał, że jedna z jej stażystek jest na skraju załamania nerwowego.

— Gdy po raz pierwszy usłyszałam tę pogłoskę — powiedziała Neva Nelson — pomyślałam o Carol LeVarn, bo ona zawsze zdawała się wyobcowana. Teraz rozumiem, że przeżywała wówczas żalobę po śmierci taty. Gdy zapytałam o to Madelyn, dyskretnie wskazała Sylvię. A ja westchnęłam z ulgą, że nie mnie. Madelyn się roześmiała, bo miała poczucie humoru — jej też ulżyło, że nie chodzi o nią.

20› *The Scent of Roses*, „Washington Post”, 29 kwietnia 1979.

21› *Last Word*, „Mademoiselle”, sierpień 1953, s. 139.

WCZEŚNIEJ

DZIECIŃSTWO

Urodzona 27 października 1932 roku w Bostonie. Jej matka Aurelia Schober pochodziła z Austrii, ojciec Otto Plath — z Niemiec. Aurelia, dwadzieścia jeden lat młodsza od męża, była jego studentką. Ojciec wykładał niemiecki oraz entomologię, a specjalizował się w trzmielach. Tyczkowata i chuda Austriaczka miała pociągłą twarz i duże, głęboko osadzone, podkrążone oczy. On był wysokim, spokojnym mężczyzną o ładnym profilu.

— Za dwa i pół roku od teraz oczekuję syna²² — obwieścił żonie Otto, gdy trzymał w ramionach urodzoną parę minut wcześniej córeczkę Sylwię.

Warren urodził się 27 kwietnia 1935 roku. Spóźnił się o dwie godziny.

Po jego narodzinach Plathowie przenieśli się do Winthrop w Massachusetts, małego miasta nad oceanem, w pobliżu dziadków Sylvii ze strony matki. Schoberowie byli bardzo austriaccy i bardzo czytani. Królowały historie o cesarzu Franciszku Józefie, czytanie na głos, długie wieczory przy fortepianie i austriackie ciastka. Uwielbiali Sylwię, która spędzała w ich domu nad brzegiem oceanu w Point Shirley nawet po kilka tygodni. Numer telefonu Schoberów — Ocean 1212-W — stał się tytułem jednego z najsłynniejszych tekstów prozatorskich Sylvii. *Ocean 1212-W* to podmorska rozmowa syren, rozgwiazd, wodorostów oraz rodziny i Starego Świata. To Frank Schober nauczył Sylwię pływać. Zabierał ją na spacer po plaży, podczas których wyjaśniał pochodzenie łacińskich nazw roślin i zwierząt, a także maleńkich stworzonek żyjących w oczkach wodnych w nadmorskich skałach. Skąd inaczej wiedziałyby, jak dbać o chorą rozgwiazdę w słoiku po dżemie wypełnionym wodą?

Pierwsze słowa malutkiej Sylvii brzmiały: „widzie” — widzę. Od samego początku wykazywała talent do języka i projektowania. Gdy była małą dziewczynką, jej największy skarb stanowiła kolekcja kolorowych, błyszczących płytek ceramicznych. Bawiła się nimi całymi godzinami, układając z nich na podłodze w kuchni najróżniejsze kształty. Pewnego dnia Aurelia ze zdziwieniem dostrzegła, że Sylvia ułożyła z kafelków obrazek Tadź Mahal.

W wieku dwóch lat uczyła się czytać. Gdy zaś skończyła osiem, była już publikowaną poetką. Jej wiersz o konikach polnych ukazał się w „Boston Herald”. Uwielbiała świerszcze, a ich odgłosy ją kołysły.

◦

Otto zachorował w 1939 roku. Stracił na wadze i pobladł. Nie mógł jeść, kaszlał i z trudem wchodził po schodach. Po pracy ziemistoszary padał na kanapę. Był typem hipochondryka unikającego jak ognia lekarzy. Wierzył, że ma raka płuc

— przyjaciel właśnie na to zmarł. W jego przypadku nie był to jednak rak, a cukrzyca, którą dałoby się leczyć, gdyby odpowiednio wcześniej zwrócił się do lekarza. Zmarł nocą 5 listopada 1940 roku, półtora tygodnia po ósmym urodzinach Sylvii.

Aurelia wspomina: „Poczekaliśmy do następnego ranka, by powiedzieć dzieciom. Dzieci jak zwykle szły do szkoły. Najpierw weszłam do pokoju Warrena. Tak cicho, jak tylko potrafiłam, powiedziałam mu, że cierpienia Tatusia się skończyły, umarł we śnie i teraz odzyskał już spokój. Warren podniósł się, mocno mnie przytulił i płacząc, zawołał: «Mamusiu, jak się cieszę, że jesteś młoda i zdrowa!». Następnie czekało mnie trudniejsze zadanie — poinformowanie Sylvii, która już czytała w swoim łóżku. Przez chwilę patrzyła na mnie surowo, wreszcie odparła oschle: «Nigdy już nie odezwę się do Boga!». Powiedziałam jej, że jeśli woli zostać dziś w domu, to nie musi iść do szkoły. Jednak spod kołdry, którą nakryła się wraz z głową, doszedł mnie stłumiony głos: «Ale ja chcę pójść do szkoły». Po lekcjach przyszła do mnie z zaczerwienionymi oczami i wręczyła mi kartkę. Chwiejnymi literami napisała na niej słowa: «OBIECUJĘ, ŻE NIGDY JUŻ NIE WYJDE ZA MAŻ. Podpisano: _ _ _ _ _». Podpisałam bez zastanowienia²³, przytuliłam ją, a potem dałam szklankę mleka i ciasteczka. W kuchni przysunęła swoje krzesło do mojego, westchnęła jakby z ulgą i opierając się o moje ramię, jadła i piła z apetytem. Po czym szybko wstała i rzeczowym tonem powiedziała: «Poszukam Davida i Ruth», jej przyjaciół z sąsiedztwa”²⁴.

Po śmierci Ottona Aurelia i Sylvia stały się sobie niezwykle bliskie. Chodziły razem na koncerty — Bizeta, Beethovena, Ravela, Griega, Rossiniego i Wagnera. Jeździły na Massachusetts Music Festival do Needham i do Bostonu na symfonie czy na operetkę *Mikado*. „Między Sylwią a mną istniała — jak między mną a moją mamą — pewnego rodzaju psychiczna osmoza, która czasem była cudowna i kojąca, a innym razem stanowiła niepożądane naruszenie prywatności”²⁵.

Choć śmierć Ottona położyła się cieniem na dzieciństwie Sylvii, należało ono raczej do szczęśliwych. Skautki, liściki z zasuszonymi fiołkami, masaże ramion, zabawa w telepatię, krówki ciągutki, *Przeminęło z wiatrem* — książka oraz film. Po latach opíše to tak: „Po dzieciństwie, w którym przyzwyczajano mnie do cudownego świata bajek za siódmą górą, świata wróżek i królewien, małych książąt i ich róż, wruszających misiów i kłapouchych osiołków, świata pogańsko uosobionego, świata czarodziejskiej różdżki, [...] — oto śliczne dziecko (które jest tobą), lecące po nocnym niebie w pudle z niemi matki, Gryzelda w swoim płaszczu z piór, stąpająca boso, z Kukułką u boku, w oświetlonej lampionami krainie kiwających głowami Mandarynów, Uroczą w swoim ogrodzie ze zwinnymi duszkami kwiatów, wszystko to znałam, czułam, wierzyłam w to”²⁶.

Było w niej też coś ze świętej Teresy z Lisieux — zbieranie muszli sercówek

oraz wodorostów, rozmawianie z syrenami. Mała wrażliwa poganka z opadającym na plecy blond warkoczem.

22› Sylvia Plath, *Letters Home: Correspondence 1950–1962*, red. Aurelia Schober Plath, New York 1975, s. 12. (W polskim wydaniu tej książki dokonano sporych skrótów, stąd jeśli cytat pochodzi z wersji polskiej, wpisuję adekwatne odniesienie bibliograficzne, jeśli nie, zostawiam odwołanie do wersji oryginalnej, przyp. tłum.).

23› Po latach Sylvia miała wyrzuty sumienia na myśl, że być może z tego powodu Aurelia nie znalazła już innej miłości i towarzysza życia.

24› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 25.

25› Tamże, s. 32.

26› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 12 listopada 1950, s. 41.

WYCIECZKA TERENOWA

Pod koniec listopada 1947 roku Sylvia wraz z innymi dwunastoma nastolatkami z grupy przy kościele unitariańskim wybrała się na wycieczkę terenową do więzienia Charles Street Jail w Bostonie. Właśnie skończyła piętnaście lat i wnioskuje z jej późniejszego wpisu w dzienniku, wycieczka ta była atrakcją roku.

Wpis (niebieskim atramentem, z tęczami nabazgranymi na marginesach) jest chłodny, pełen spostrzegawczych uwag i pozbawiony ocen — niemal jak dokument. Sylvia odnotowała wszystko: pięści owinięte taśmą baseballową, cele ze ścianami obitymi gąbką i szczelinami służącymi do podawania chleba i wody, bieloną wapnem kaplicę z zakratowanymi oknami. Eleganckiego więźnia o ksywie Malutki i jego napięte mięśnie. Morderców, bandytów i stręczycieli oczekujących na proces. Sylvia miała wówczas ledwie piętnaście lat, ale pisała z wystudiowaną nonszalancją korespondenta wojennego. W jej opisach pojawia się tu i ówdzie splendor i dowcip. Najbardziej podobały się jej prostytutki. Smukłe kobiety w wyświechtanych sukienkach, błyszczące platynowo blondynki w różowej satynie, piękne krągłe dziewczęta z czarnymi włosami obciętymi na pazia.

Więźniowie także dostarczali emocjonującego dreszczyku. Według Sylvii byli uprzejmi i pociągający. Jeden spodobał się jej aż tak, że zakręciło się jej w głowie. Był złodziejem samochodów, który napada na kierowców. Ich spojrzenia się skrzyżowały, gdy szła do kaplicy protestanckiej. Miał na sobie biały sweter i Sylvia uznała go za zdecydowanie najprzystojniejszego skazańca w tym więzieniu.

Zwiedziła kuchnię, gdzie więzienny kucharz właśnie upiekł setki bochenków chleba. Widziała naczynia z wodnistym sosem jabłkowym stojące na stole. Zajrzała do magazynu, gdzie leżały brudne worki ziemniaków i mrożone mięso.

Wycieczka zakończyła się w nieoczekiwany sposób, co zostało entuzjastycznie i szczegółowo opisane. Otóż Sylvia odwiedziła młodego włamywacza, który — według niej — miał „nad podziw wytatuowane ramiona” oraz „zachwycającą celę”. Oprócz pryczy i radia znajdowała się tam ułożona przez więźnia z setek zapalek delikatna katedra. Najpierw opalił oba końce każdej zapalniczki, a potem skleił je ze sobą. Mała katedra była wysoka na ponad sześćdziesiąt centymetrów — ozdobił ją koronkowymi wzorami, zbudował duże okna i iglicę w gotycykim stylu. Efekt witraży osiągnął za pomocą kawałków kartek wyrwanych z kolorowych magazynów. Następnie człowiek ten uniósł kruchy jak opłatek dach, odsłaniając wewnątrz wypełnione miniaturowymi ławkami kościelnymi, obitymi czerwonym materiałem, ołtarz i „dwie malusieńkie złote świece”. Kunsztowność

katedry zrobiła na Sylvii wielkie wrażenie. Uznała, że więzień jest dobrze wychowany i poruszyło ją to, z jaką dumą prezentował swoją pracę. Złożył całej grupie świąteczne życzenia, wycieczka się skończyła i odwiedzający opuścili więzienie, by wrócić do domu.

CIEKAWOSTKI

Pewnego razu przegrała trzy dolary w Monte Carlo.

Między 1 czerwca a 31 sierpnia 1949 roku była na sześćdziesięciu siedmiu randkach.

Uwielbiała Marilyn Monroe, nie znosiła Brigitte Bardot ani *Lolity*.

Pisząc odręcznie, nigdy nie łączyła liter.

W Ameryce pijała czarną kawę, za to w Europie wołała białą.

Potrafiła przyrządzić tylko jedną rzecz — tort czekoladowy. Z proszku.

Chciała wyjść za prawnika i mieszkać na Manhattanie.

Kiedyś przygarnęła bezpańskiego kota i nazwała go Niżyński ze względu na grację, z jaką się poruszał.

Pachniała wodą z mydłem, szminką i szamponami Halo.

Raz kupiła płaszcz przeciwdeszczowy z powodu różowej podszewki — „bo nie miałam dotąd nic różowego”.

Chciała, by jej dzieci zostały poczęte w oceanie.

Ulubionym zapachem były perfumy Tigress marki Fabergé. Pachniały bursztynem i aldehydami, a butelka miała zakrętkę pokrytą futerkiem.

SŁOWNIK WIEKU DOJRZEWANIA

BABSKIE PISMA — Sylvia dorastała, czytając magazyny w rodzaju „Ladies’ Home Journal”, „Mademoiselle”, „Harper’s Bazaar”. Wszędzie w domu leżały sterty magazynów Aurelii. Jako szesnastolatka Sylvia bardzo chciała opublikować coś w „babskich pismach”.

BIUSTONOSZ W ZEBRĘ — Jeszcze nie jej. Zdarzy się to dopiero w Nowym Jorku.

CZYSTOŚĆ — Sylvia była zawsze nienaganna, czasem wręcz aż za bardzo. W swetry wszywała potniki, a paznokcie malowała przezroczystym lakierem. Czarnym pisakiem pisała „Sylvia” na buteleczkach lakieru do paznokci. Wszystko u niej było zadbane, dziewczęce i utrzymane we wzorowej czystości, czy to sypialnia, czy lśniący paż.

DYM — Czternaście lat. Szkolny autobus. Bob, starszy kolega, powoli puszczal kółka z dymu w stronę Sylwii. Tytoń pachniał waniliowo. Sylvia była w siódmym niebie i opisała to w swoim dzienniku.

DZIENNIK — „Dziennik na rok 1945 — koniec wojny — był ostatnim dziennikiem z datowanymi stronami. Sylvia poprosiła, by co roku na Gwiazdkę dawać jej kolejny dziennik, ale bez dat, gdyż «kiedy nadchodzą ważne chwile, jedna strona nie wystarcza»”**<27>**.

FARTUCH — Kiedyś przyszyła trzy guziki po lewej stronie fartucha.

FRYZURA NA PAZIA — Falująca korona z naturalnymi miedzianymi pasemkami od słońca. Sylvia przeżyła uzasadnione załamanie nerwowe, gdy w 1947 roku fryzjer zbyt krótko obciął jej włosy. Była przekonana, że włosy i nogi to jej największe zalety.

GRY — Karty, najchętniej w „Go Fish”.

◦

HOT DOG — Pewnego piątku, 13, w 1945 roku Sylvii przyśnił się koszmar, w którym goniły ją wielka pianka marshmallow i hot dog. Zilustrowała to na marginesie dziennika przy odpowiedniej dacie.

◦

JAZZ — Lubiała Louisa Armstronga, który śpiewał „głosem chropowatym od smutku”:

Samolotem obleciałem cały świat,

Tłumiłem rewolucje w Hiszpanii,

Odkrywałem północny biegun bez map,

Ale z tobą mi się wciąż nie udaje.

◦

JEDZENIE — Sylvia była w tej kwestii dość prostolinijna i przywiązywała znaczenie do świata zmysłów. Opiekana kanapka z kremowym serem i oliwkami. Późnoletnie uczyty, na które składały się steki, botwina, kukurydza w kolbie oraz brzoskwinie polane śmietanką. Fanta. Karmelki Sugar Babies.

◦

KALENDARZE OSOBISTE — Jej terminarze pełne są notek sporządzonych czerwonym atramentem: poniedziałek, 11 czerwca — umyłam włosy, wtorek, 12 czerwca — zapomniałam umyć włosy.

◦

KINO — *Destination Tokyo* i *Two Girls and a Sailor*. Zachwyty nad Vanem Johnsonem, June Allyson i Jimmim Durantem.

◦

KRÓL — Adlai Stevenson.

◦

KWIECIEŃ — Miesiąc, który działał na Sylwię ożywczo.

o

„MADEMOISELLE” — We wpisie do dziennika z roku 1944 Sylvia opisuje deszczowy dzień spędzony w domu. Użyła wtedy magazynu „Mademoiselle” jako scenografii w zabawie papierowymi laleczkami. Już na co najmniej dziewięć lat przed stażem w tej gazecie złączyła „Mademoiselle” ze światem papierowych lalek, zabawy i seksapilu. Choroby i deszczowe dni spędzała na zabawie laleczkami pod stołem lub na uważnym czytaniu artykułów takich jak *List otwarty do mężczyzny obciętego na jeża*.

o

mały książę — Sylvia uwielbiała Saint-Exupéry’ego i *Małego Księcia*. Sama nawet trochę przypominała francuskiego księcia swoimi blond lokami, różą i nieposkromioną ciekawością.

o

MIŁOŚĆ — Sylvia zakochiwała się w swoich przyjaciółkach z łatwością i na zabój — dużo mocniej i szybciej niż w chłopakach, z którymi umawiała się na randki. Najprawdziwsze przyjaźnie nawiązywała z osobami, przy których mogła być całkowicie szczerą, wbrew oczekiwaniom „grzecznego” społeczeństwa. Sylvia szukała przyjaciół wśród osób bezpośrednich, prostolinijnych, niezależnych i nieprzejmujących się opiniami innych.

o

MŁODY LORD FAUNTLEROY — Przezwiśko nadane przez Sylię jednemu z wyjątkowo nudnych adoratorów.

o

NIEZAPOMNIANE — Napisany na maszynie dokument zawierający spis randek z 1949 roku, z gwiazdkami oznaczającymi: * niezapomniana chwila, ** niezapomniany chłopak.

o

NOTATNIKI — Czasami rysowała tęcze na brzegach notesów Moleskine. Jej dzienniki są pełne kolorowych szkiców cebulek tulipanów, między kartki wciskała różowy papier do origami obwiązany wstążką, arkusze z nutami z lekcji gry na fortepianie, wycinki z gazet z wystrojonym młodym Hirohito w okularach, rysunki kobiet z powieści klasy B, wizytówkę w różę z napisem „Sylvia” wykonanym niebieskim długopisem.

o

OCZY — Najmocniejszą cechą charakterystyczną Sylvii było jej żywe zainteresowanie innymi i dar obserwacji. Po ojcu odziedziczyła bezpośrednie spojrzenie, dodatkowo była w tym niepoohamowana.

PAPIEROSY — Kupiła paczkę papierosów, by zaimponować chłopakom wystającym na Wellesley Square. Udawała, że pali, a potem wyrzuciła niedopałek do kanału. Przez następny tydzień miała poczucie winy.

PLAŻE — Małże i omułki były jej pierwszymi zabawkami.<28>

PRACA — Jako dziecko i nastolatka Sylvia wielokrotnie szkicowała swoją matkę. Rysunki pokazują Aurelię zniszczoną i umęczoną — w szmizjerce i chuście na głowie, leżącą bez sił na leżaku albo na klatce schodowej z twarzą w dłoniach. Z zapadniętymi policzkami, mokrym mopem, załzawioną, a w tle kot wywracający wiadro z mydlinami.

PREZENTY POD CHOINKĘ — Granatowa spódnica baleriny, czerwony sweter zrobiony na drutach ścięciem warkoczowym, koronkowa bluzka w stylu dziewczyny Gibsona, dwie pary nylonów z pajęczynowym splotem, srebrne pantofelki Kopciuszka, tomik poezji A.E. Housmana, czarne aksamitne wstążki, pudełka cukierków, para białych wełnianych skarpet zrobiona przez Ruthie.

PRÓŻNOŚĆ — „Jak dobrze, że jestem mną... Uwielbiam moje ciało, twarz, ręce i nogi z wielkim oddaniem. Wiem, że jestem zbyt wysoka, mam nieforemny nos, a jednak przed lustrem przybieram pozy i się stroję”<29>.

PRZYJACIEL KORESPONDENCYJNY — W wieku trzynastu lat Sylvia korespondowała z niemieckim nastolatkiem, który nazywał się Hans-Joachim Neupert. Hans mieszkał w Rückersdorfie i w latach sześćdziesiątych został przywódcą politycznym.

PSZCZOŁY, PRZCZELARSTWO, MIÓD — Lubiła plastry miodu, ich

„nowoczesny” heksagonalny kształt i воск, który nadawał się do żucia. Według niej plaster miodu to „prawdziwy rarytas”.

quoi faire? — Pytanie powtarzające się niczym refren w momentach problemów sercowych.

REDMOND I RAYMOND — Dwaj bracia zatrudnieni do pomalowania domu Aurelii w sierpniu 1948 roku. Sylvia lubiła się wówczas przechadzać po ogrodzie w krótkich spodenkach, a Redmond i Raymond lubili Sylvię. Była zrozpaczona, gdy malowanie dobiegło końca.

SYPIALNIA — Sylvia urządziła swój pokój w kolorach brzoskwiowym, brązowym i złotym z czerwonymi elementami.

SYRENY — Sylvia może i nie wierzyła w Boga, za to przez pierwsze dwanaście lat życia wierzyła w syreny. Syreny i wodne nimfy stopniowo zastępowane były przez starych greckich oraz rzymskich bogów i boginie, ich gniew, piękno i pochodzenie. Sylvię pociągał konkret, fizyczność. Nie była w stanie poczuć więzi z bogiem abstrakcyjnym, w którego żyłach nie płynęła krew, który nie miał dzieci, kochanków ani nie czuł głodu.

szalonej dziewczyny piosenka miłosna — Tytuł wiersza Sylvii opublikowanego w numerze uczelnianym „Mademoiselle”. „Szalona dziewczyna” nie ma urojeń, jest po prostu wściekła — gotuje się ze złości. Wcześniej tej wiosny Sylvia niemal dymiła, gdy jeden z jej chłopców spóźnił się kilka godzin na randkę. Napisała villanelę dla zabicia czasu. Parę lat później zauważy, że ilekroć mężczyzna wystawia ją do wiatru, ona zawsze ma na sobie jakąś kombinację czerni, bieli i czerwieni.

SZMINKA — 7 sierpnia 1947 roku pani Powley ofiarowała Sylvii i Betsy po wiśniowej szmince. Były opakowane w złote etui z mlecznobiałymi wzorami. Sylvia: „Byłyśmy wniebowzięte”.

SZTUKA — Rysowała pastelami i kredkami oraz własnoręcznie tworzyła kartki okolicznościowe dla rodziny. Przykładem jej wczesnych prac są kartki: „Francuska dama dworu”, „Elf ciągnący wózek”, „Jelonek z kwiatami na grzbiecie”.

TACA ZE ŚNIADANIEM — Sylvia była wspaniałą gospodynią i przyjaciółom poświęcała mnóstwo uwagi. Nancy Hunter opisuje tacę, na której podano tosty, sok pomarańczowy i kawę. Sylvia podarowała jej także maleńkie stylowe wydanie *Alicji w Krainie Czarów*. „Klasyka, dzieło do czytania na głos, podawać przed snem w małych rozweselających dawkach”. Sylvia napisała te słowa czarnym atramentem i okrągłym pismem francuskiej uczennicy. <30>

TAK — Sylvia zawsze przyjmowała zaproszenia na randki. Wykorzystywała chłopców, by zdobyć doświadczenie. Znosiła nawet tych najgorszych, byli bowiem okazją do przećwiczenia fokstrota czy wypicia fanty w The Tote. Poza tym mogła potem zawsze ponarzekać w pamiętniku na „młodego lorda Fauntleroya”.

TERAŻNIEJSZOŚĆ — „Muszę w jakiś sposób pochwycić cudowność bycia siedemnastolatką. Każdy dzień jest dla mnie tak cenny, że odczuwam niewysłowny smutek na myśl, że się starzeję, a czas przecieka mi przez palce. Teraz, teraz właśnie jest najlepszy okres mojego życia” <31>.

THE TOTE — Tutaj często miały miejsce randki, które polegały na picciu piwa imbirowego i oranżady. Lokal zamykano o dwudziestej trzeciej.

TOŻSAMOŚĆ ARTYSTYCZNA — Sylvia zaliczała się raczej do artystów klasycznych, z pewnego rodzaju surową elegancją. W swoim rzemieślniczym podejściu do pisania była bardziej Wolterem niż Rousseau, a jej ogólne wyobrażenie o maestrii pochodziło jeszcze ze Starego Świata. Nie miała romantycznej wizji natchnienia, a pasję przekuwała w piękno ciężką pracą.

„TY WIELKI PRYZSTOJNY BYDLAKU” — Wyrażenie używane przez inne dziewczęta wobec Johna Halla, chłopaka Sylvii z liceum. Bawiło ją obserwowanie, jak nadskakują jej „wielkiemu przystojnemu bydlakowi”, i z czułością zapisała to określenie w swoim notatniku.

TYDZIEŃ OTRZĘSIN — Przecierpiany przez Sylvię, która chciała zostać przyjęta do bractwa uczniowskiego Sub-Debs w szkole średniej. Po upokarzającym tygodniu zwisania z konarów drzew, nierobienia makijażu i niemycia włosów Sylvia opuściła zgrupowanie. (Z powodu jego wyniosłości).

WARREN — Szkic węglem (wykonany przez Sylvię) przedstawiający grającego w kulki kłęzącego Warrena w krótkich spodniach.

WIARA — Przez całe życie nawiązywała do plaży jako pierwotnego miejsca pogańskiej mocy. Słońce i morze były jej pierwszymi bóstwami. Leżała na plecach, smażąc się na gorących kamieniach Cape Cod. Miewała dziwne fantazje o tym, że gwałci ją słońce albo jakiś bóg podobny do Apolla. Sylvia akceptowała zmianę jako coś stałego, naturę uważała za coś pięknego i strasznego jednocześnie. Nie miała podpory w żadnym bogu. Była nowoczesna i zanurzona w mitach.

WSUWKI — Bała się ich. „Pewnego dnia, kiedy wychodziłam ze szpitala po usunięciu migdałków, jakaś kobieta z mojego oddziału poprosiła mnie, żebym zaniósła kilka wsuwek pani z łóżka obok. Z obrzydzeniem wyciągnęłam sztywną rękę, wzdrygając się, kiedy zimne, oślizgłe spinki dotknęły mojej skóry. Były zimne i błyszczące, jakby tłuste, co przywodziło na myśl obrzydliwe ciepło i dotyk brudnych włosów” <32>.

ZAKUPY — Jako trzynastolatka Sylvia wsiadała do autobusu jadącego do Bostonu, by spotkać się z Aurelią u Thayer-McNeila — pachnący skórą dział obuwniczy, ruchome schody, lustra, potem zupa z owoców morza i gorąca herbata na lunch.

ZAUROCZENIA — Szalenie różnorodne. Dotyczyły: cesarza Hirohito, Adlaia Stevensona, Laurence’a Oliviera w *Hamlecie*, kilku osadzonych w Charles Street Jail w Bostonie, Rhettą Butlera, Dylana Thomasa oraz chłopaka obsługującego windę w sklepie Thayer-McNeil, który był „słodki w taki sklepowy sposób”.

ZBIERANIE FASOLI — Sylvia uwielbiała letnie prace na wsi. Najciekawsze plotki i sekrety wyjawiane były podczas zbierania truskawek czy fasoli.

o

ZWIERZĘTA — Brązowa wiewiórka, kilka papużek oraz Mowgli — prążkowany dachowiec.

27› Nancy Hunter Steiner, *A Closer Look at Ariel: A Memory of Sylvia Plath*, New York 1973, s. 31.

28› Tamże, s. 48.

29› Tamże, s. 40.

30› Tamże, s. 48.

31› Tamże, s. 40.

32› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 29 marca 1951, s. 57.

PASTORELLA O COLLEGE'U

W sierpniu 1950 roku Sylvia została dziewczyną ze Smitha. Miała siedemnaście lat i była wniebowzięta.

Dziewczyny ze Smitha mieszkały w starych domach z czerwonej cegły, gustownie umiejscowionych wokół Rajskiego Stawu. Uczęszczały na obowiązkowe środowe nabożeństwa, przestrzegały godziny ciszy nocnej (dwudziesta druga w dni powszednie, północ w weekendy) i w wieczorowych strojach chodziły na kolacje do wytwornych restauracji. Na pierwszym roku zmuszone były poddać się serii upokarzających egzaminów — testowi z higieny, sprawdzianowi z pływania czy pozowaniu nago do „zdjęć prawidłowej postawy”.

Długie tygodnie wypełnione pracą Sylvia urozmaicała sobie lunchami u Rahara albo wypadami do Chinatown na wieprzowinę z ryżem w sosie słodko-kwaśnym i potrawę z nasion granatu. Była pizza, tanie chianti i mocna gorąca kawa w towarzystwie Marcii, a także sporadyczne epizody zapalenia płuc. Wyprawy na Green Street, by kupić w Candy Apple doskonały kaszmirowy pulowerek. Do księgarni Quill i Hampshire. Codziennie w przerwie od pisania na maszynie gimnastykowała się na podłodze. Nocą paradowała w płaszczu kąpielowym i pasujących do niego wałkach na głowie. Czasem w swoim pokoju w Haven House przygotowywała sobie toma collinsa i w starym szarym swetrze korzystała z luksusu picia w samotności. Chodziła na targ po jabłka i ser, spędziła wieczór w Bostonie, oglądając ukochany balet *Jezioro łabędzie*. I oczywiście czytała magazyn „Mademoiselle”.

Dużo się uczyła, ale nienawidziła rozmów o stopniach. Chciała osiągnąć wszystko: „stypendium Fullbrighta, nagrody, Europa, publikacje, mężczyźni”³³. Pierwszy rok obfitował w żałosne randki w ciemno, lecz następnej jesieni miał nastać czas Amherst i tamtejszych weekendów, chłopców i wieczorków poezji. Dylan Thomas, W.H. Auden. Miesiąc przed swoim wyjazdem do Nowego Jorku Sylvia widziała, jak Auden czyta swoje wiersze. Palił lucky strike'i w czarnej lufce, pił piwo z puszki, „odrzucał swoją wielką głowę do tyłu”³⁴ i mówił o Kalibanie. Z właściwą sobie uważnością Sylvia odnotowała brązową tweedową marynarkę poety, jego kapcie i „niekonsekwentną biel skóry na jego nogach”³⁵.

Brykanie z chłopcami z Amherst. Upajanie się Racine'em, szale i tweedy. Sylvia uwielbiała kampus — uwielbiała rzeczy takie jak stawy z kaczkami, biblioteki czy pachnący węglem śnieg leżący na ziemi.

Na drugim roku sprzedawała pończochy, za co dostawała prowizję. Zarabiała

dwadzieścia dolarów. Pracowała również jako korespondentka college'u w dzienniku „Springfield Daily News”. Bardziej niż dziesięć dolarów wypłaty cieszyło ją oglądanie własnych tekstów w druku.

W pewnym sensie był to jej najszczęśliwszy rok w college'u.

FAKTY SĄ GLAMOUR

W college'u Sylvia robiła magisterium z filologii angielskiej, ale tak naprawdę interesowała ją historia. Uwielbiała kurs z historii Europy u pani Koffy i wyróżniała się na jej seminarium z religii. Wolała fakty niż fikcję — kolor muszli ostrygi, artykuł o bombie wodorowej, dokument o pierwszej drukarni w Niemczech. Być może odziedziczyła to po ojcu — autorze obszernego tomu o życiu trzmieli.

33› Tamże, 15 maja 1952, s. 102.

34› Tamże, 27 kwietnia 1953, s. 173.

35› Tamże, s. 174.

LATO SZALEŃSTW I UNIESIENÍ

Poprzednie lato — typowe dla Nowej Anglii: wilgotne włosy i czyste ręczniki, cynkowy zapach balsamu do opalania Coppertone zmieszany ze słonawym aromatem muszli. Sylvia dostała posadę kelnerki w hotelu Belmont na Cape Cod. Tysiące studentek ubiegało się o tę pracę — było to w pewnym sensie zajęcie prestiżowe: homary, flirtowanie, czarne fartuchy i chrząst soli. Praca w Belmontie stanowiła tak naprawdę pretekst do romansowania, gry w tenisa i opalania się. Sylvia okazała się okropną kelnerką — myliła krewetki z przegrzebkami, rozlewała syrop klonowy i upuszczała sztucce. Zarabiała ledwie tyle, by pokryć koszty uniformu kelnerki, pończoch i butów. Po pracy zakładała naszyjnik z pereł i resztę nocy spędzała w towarzystwie swoich adoratorów na plaży. W ciągu dwóch tygodni nabawiła się zapaleń zatok oraz oskrzeli.

Sylvia właśnie była w pracy, gdy otrzymała telegram — wygrała konkurs na opowiadanie organizowany przez „Mademoiselle”. Oznaczało to nagrodę pieniężną w wysokości pięciuset dolarów oraz publikację w sierpniowym numerze uczelnianym.⟨36⟩ Rzuciła się na szyję szefowej zmiany. Za pięćset dolarów można by sobie kupić przyzwoite zimowe palto, eleganckie wdzianko, a może nawet starczyłoby na podróż do Europy! Perspektywa utrzymywania się z pisanie po raz pierwszy wydała się realna.

Doszła do wniosku, że nie potrzebuje pracy w Belmontie — pięćset dolarów to znacznie więcej niż sezonowe napiwki — potrzebowała za to zastrzyków z penicyliny i odpoczynku w domu. Do czarnej walizki wrzuciła sukienkę, którą zakładała na randki, spodenki tenisowe, rakietę, brudną piżamę i sznur pereł. Nylonowe pończochy jeszcze schły w oknie, ale też je dorzuciła. Załapała się na jazdę do Wellesley z czterema chłopakami z Princeton: Philem, Artem, Rogerem i Łasicą. Łasica był szoferem Arta.

Sylvia miała gorączkę, w dodatku padało, ale Łasica zabrał piwo, więc zatrzymali się tylko po lód i jechali porośniętymi trawą wydmami. Cały ten dzień był niesłychanie zabawny, a Sylvia podziwiała swoją opaleniznę (uwydatnioną dodatkowo przez gorączkę). Smakowało jej zimne piwo i podobały jej się ślady szminki, które wykwitwały na puszkach. W wilgotnym powietrzu jej głos zrobił się niski i chropowaty. Promieniała, wciśnięta między Rogera a Łasicę otwarcie komentujących jej zachowanie: „Ta dziewczyna to największa aparatka, jaką znam. Przychodzi z papierkiem od doktora, który mówi, że ma jechać do domu, a ona jedzie, jakby miała wakacje albo co!”⟨37⟩.

W efekcie tego lata Sylvia zdobyła inną pracę — została opiekunką do dzieci. Dużo lepiej sprawdzała się w tej roli niż jako kelnerka. Mieszkała z rodziną

Cantorów w ich letnim domu w Chatham na Cape Cod. Cantorowie byli wyznawcami chrześcijaństwa naukowego (*Christian Science*). Sylvia bardzo lubiła tę pracę, a dzieciaki wprost uwielbiała. Chodziła z nimi pływać, przygotowywała kosze piknikowe, zawoziła na plażę, a wieczorami kładła spać. Pani Cantor z kolei uwielbiała Sylvię i traktowała ją jak swoją córkę. Wiedziała, że jest pisarką, czytała nawet kilka jej opowiadań i bardzo jej się podobały. Dzięki pani Cantor Sylvia poznała Val Gendron, miejscową właścicielkę księgarni i autorkę powieści. Fascynował ją wiedźmowaty styl życia Val — mała czerwona chatka z brudnymi rzeczami do prania w zlewie i brudnymi naczyniami na podłodze. Aurelia inaczej prowadziła dom! Gendron była niczym powiew świeżości, przedstawicielka cyganerii. To nie brud, to wolność.

Przez resztę lata Sylvia spędzała popołudnia na taborecie w maleńkiej kuchni. Czuła się tam zbyt wielka, zbyt czysta i nowa, zwłaszcza w porównaniu do drobnej Val — szczupłej i chłopięcej, ubranej w czapkę z daszkiem w kolorze khaki, kraciastą koszulę i poplamione farbą dżinsy. Właścicielka księgarni rozmawiała z Sylvią i jednocześnie prała w zlewie stare ogrodniczki, dolewając gorącej wody z czajnika. (Pralka była według niej zbyt burżujska). Brudna brązowa wzorzysta tapeta. Koty rzecz jasna — Prudencja (czarny) i O'Hara (pers). Popielniczki pełne niedopałków, filiżanki i spodki również. Przypominała Simone Weil, chuda i koścista, w roboczych drelichach, wiecznie z papierosem, z krótkimi czarnymi włosami. Val paliła tygodniowo dwa kartony wingsów — najtańszych papierosów. Twierdziła, że pali tak dużo, że już nie odczuwa żadnych smaków, mimo to wciąż coś gotowała — głównie gulasze i ragoût, które pyrkaly na wolnym ogniu przez większość dnia. Albo potrawy z winem. Tuż obok półki z książkami kucharskimi znajdowała się cała półka przypraw w szklanych słoiczkach. Val je odkręcała i podstawiając gościowi pod nos, mówiła: „tymianek, bazylija, majeranek”. Sama mełła kawę, co zachwycało Sylvię. Pewnego wieczoru usiadły na tkanym przez nią (niedokończonym) chodniku i wypily mnóstwo kawy. Val paliła swoje tanie wingsy, a Sylvia zjadła trzy kawałki ciasta, a następnie w notatce w dzienniku przyznała, że jest okropna. Prudencja miała młode, więc cztery kocięta zaglądały do jej filiżanki, po czym uciekały od zapachu. Najmniejszy umościł się w fałdzie jej spódnicy i zasnął. Val opowiadała o agentach i doradzała pisanie tysiąca słów dziennie. „Anne Elmo. Spółka Ktośtam i Otis”. Przechodzą potem na Ewitę Perón: „Nieważne, czy dziwka, czy kurtyzana, i tak odstawiła niezły show. Val lubi takie fajerwerki. Śliczna, słodka”**<38>**.

Tej nocy Sylvia nie zasnęła aż do świtu, wypila jeszcze więcej kawy i snuła plany. Zaczynała rozumieć, z jakimi przeszkodami musi sobie poradzić pisarz, jak trudno prowadzić „zrównoważone” życie, zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Napięcia

między potrzebą samotności a doświadczania — odwieczny konflikt. Rozważała wyjazd na rok za granicę, może do Paryża albo Barcelony. Pociągał ją urok samotnego życia oraz wizja mężczyzn o romantycznych imionach takich jak Constantine czy Attila. Myślała też o Val w jej czerwonej chatce, otoczonej kotami, palącej papierosy i pijącej mocne piwo. Zawodowa wiedźma z bajki na etacie.

Musimy przekrzykiwać silnik tego grata. W domu, pijana kawą, podekscytowana. (Nie mogę przestać myśleć o tym, że dopiero zaczynam. Za dziesięć lat stuknie mi trzydziestka, jeszcze nie będę stara, ale może już dobra. Nadzieja. Perspektywy. Tylko pracować, trudno, ale kocham to. Rodzić dzieci. Może nawet obie rzeczy naraz. Val śmieje się ze mnie w półmroku kabiny, kpi szorstko, ale to dobre dla mnie. [...] Boże, jaka ona była dla mnie dobra. Wszyscy chłopcy, wszystkie tęsknoty, a teraz ta doskonałość. Miłość doskonała, doskonałe życie).<39>

Następnego dnia Sylvia pożyczyła samochód Cantorów i pojechała sama na plażę. Do papierowej torby zapakowała czereśnie i brzoskwinie, a także sierpniowy numer „Mademoiselle” — ten z jej opowiadaniem. Magazyn oferował przeciwwagę wobec czarującej, ale niechlujnej Val, jej brudnych naczyń i kotów. Współpracownicy były twórcze, odcytane i miały styl. Nosiły obcisłe kostiumiki, pachniały francuskimi perfumami, a ich włosy lśniły. Potrafiły machnąć opowiadanie albo artykuł o modzie między baletem, pokazem mody i proszoną kolacją. Czyż nie?



Sylvia Plath, 1954

36› Redaktorce „Mademoiselle” Cyrilly Abels bardzo spodobało się opowiadanie Sylwii i mówiła o nim innym redaktorom w Nowym Jorku. Harold Strauss, naczelny Knopfa, napisał potem do Sylwii, że zachwycił go ten tekst i chętnie jako pierwszy przyjrzy się jej powieści, jeżeli takową napisze.

37› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 10 czerwca 1952, s. 114.

38› Tamże, 19 sierpnia 1952, s. 129.

39› Tamże.

*Gdyby nie jej zdumiewająca inteligencja
i talent poetycki, mogłaby zostać stewardessą
albo gwiazdą filmów kategorii B.*

nancy hunter steiner,
a closer look at ariel

TYDZIEN

DRUGI.

Utracone

złudzenia

WIZERUNEK SYLVII

*Bose stopy, prostackie maniery
i wulgarny język ją odstręczały.*

nancy hunter

*Sylvia była atrakcyjna, jasnowłosa
i towarzyska. Miała własne zdanie
i była lubiana przez dziewczęta
oraz przez chłopców.*

marybeth little

Współcześni komentatorzy zgadzają się co do trzech rzeczy dotyczących wizerunku Sylvii: była dobrze ułożona, elegancka i promieniejąca.

Jako dwudziestolatka miała metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważyła sześćdziesiąt dwa kilogramy. Narzekała na swój wzrost. Nie znosiła tego, że podczas tańców skazana była na buty na płaskim obcasie, bo wolałaby eleganckie czółenka. Nosila obcisłe sweterki, tenisowe biele, szerokie paski i mnóstwo jedwabnych apaszek w herby. Spodnie cygaretki z manszetami, opaski w stylu Brigitte Bardot, obcisłe czarne bluzki albo skurczone czarne kardigany zakładane na białe bluzki z dekoltem w łódkę. Latem białe bikini wiązane na szyi i czarne bawełniane sukienki na cienkich ramiączkach — obsuniętych, by się lepiej opalić. Poza wzorem w pasy rzadko nosiła wzorzyste ubrania. Swoją garderobę stworzyła na bazie bieli, czerni i wiśniowej czerwieni. Taliowane czarne płaszcze do czerwonych butów i czerwonych rękawiczek, czerwona skórkowa torebka, czerwone balerinki, kilka czerwonych opasek do włosów i niezliczone szminki w kolorze czerwonym.

o

RUTH ABRAMSON: Sylvia miała przepiękne rumieńce na policzkach, które czasem rozlewały się na całą twarz, a wtedy cała jaśniała. Miała też cudowne, bielutkie zęby. Zawsze wyglądała nienagannie, wytwornie i nieskazitelnie elegancko. Nosila marynarskie sukienki ze świeżymi białymi kołnierkami. Była nieco nieprzystępna, ale nie trudna, nieśmiała czy niegrzeczna. Była bardzo przyjazna i uprzejma. Nie wypadało przy niej opowiedzieć sprośnego dowcipu.

o

Jej obecność rzeczywiście wymuszała pewną sztywność zachowania. Opakowana w swoją aurę niczym granatowy cukierek w białym szeleszczącym papierku. Albo kamień szlachetny. I choć nieco zagęszczała atmosferę, wcale nie była ponura. Nie miała też w sobie nic z obrazoburcy, ani tego nie chciała. Ekscentryczność ją żenowała, a swoją inteligencję traktowała lekko. Margaret Affleck od razu polubiła Sylvię.

— Była bardzo miła i ładna w taki wysmakowany sposób — powiedziała. — Nie sprawiała wrażenia aroganckiej ani nadambitnej, jak niektóre dziewczyny.

Choć tak ciężko pracowała, bagatelizowała swoje sukcesy, dzięki czemu zespół redakcyjny „Mademoiselle” polubił ją tak jak wcześniej profesorowie w college’u, a we wspomnieniach Diane Johnson zachowała się „wesoła osoba o zaróżowionych policzkach”.

Nie licząc charakterystycznej czerwonej szminki, Sylvia raczej się nie malowała. Paznokcie miała spiłowane na półokrągło i pomalowane bezbarwnym lakierem — gdy się denerwowała, obgryzała je, więc czasem wyglądały na zaniedbane. Jej ręce były w nieustannym ruchu. Wciąż splatała i rozplatała palce albo stukała jednym kciukiem w drugi.

Choć nigdy nie postrzegała się jako piękność — „Sama też nie jesteś idealna — ot, nieco bardziej energiczna istota ludzka!”<40> — mężczyźni uważali ją za atrakcyjną, a nawet seksowną. Opis Sylvii autorstwa jednego z jej kawalerów, choć niepokojąco anatomiczny, jest bardzo interesujący: żywe brązowe oczy, „błogi” uśmiech, „napięta skóra głowy” i „długie, cylindryczne palce”. Podziwiała gładką, jednolitą skórę Sylvii, smukłe plecy, długi tułów i jej uwielbienie Nowego Jorku.

Wszyscy zapamiętali charakterystycznego pazia w stylu June Allyson, którego odcień Laurie Glazer nazwała „kolorem szampana”. Sylvia zaś określała swoje ciemnoblonde włosy jako niemiecki blond.

— Włosy miała do ramion, starannie układane, tak by wywijały się nad lewą brwią w precyzyjny i prowokacyjny zawijas — opowiada Nancy Hunter, przyjaciółka ze Smitha. — Jej bardzo ciemne oczy były głęboko osadzone pod przyciężkimi powiekami, co sprawiało, że na wielu zdjęciach wyglądała jak pogrążona w myślach. Miała wyraziste kości policzkowe... Twarz trójkątną o ostrych rysach, co może tłumaczyć cienie tak często widoczne na jej fotografiach.<41>

FRYZURA NA PAZIA

Kultowa fryzura w latach pięćdziesiątych i znak rozpoznawczy Sylvii Plath. Aby uzyskać takie uczesanie, należało końcówki włosów obciętych na boba (z grzywką lub bez) delikatnie podkręcić pod spód. Pазie z włosów do ramion (jak u Sylvii) nazywano „fryzurą studencką”, pazie krótsze, z włosów nie dłuższych niż

do brody, uważano za bardziej poważne, a jeśli właściwie uczesane — za bardziej miejskie. W tej fryzurze chodziło o „naturalność”, choć po kręceniu na wsuwkach, gorących wałkach i spaniu na siedząco niewiele miejsca pozostawało na naturalność. Ta „mała czarna” w dziedzinie fryzur uwydatniała jakość włosów, co sprawiało, że czesały się tak często modelki w reklamach szamponów. Dzięki swojemu oddaniu szamponom i zapałowi do szczotkowania Sylvia mogłaby z powodzeniem uchodzić za jedną z nich.



Sally Jenkins, korektorka Betsy Talbot Blackwell, powiedziała o Sylvii: „Była chodzącym paradoksem. Miała cudowną figurę, wspaniałe wyczucie stylu, jeśli chodzi o ubrania, ale brzydką twarz... twarz, na którą wołałabym zbyt długo

nie patrzeć”⁴². Jednak według Nancy Hunter i zdecydowanej większości osób współczesnych Sylvii „fotografie są mylące. Sylvia była nadzwyczaj atrakcyjną młodą kobietą”⁴³.

HALO, WITAJCIE!

„Czyste” oraz „świeże” to w latach pięćdziesiątych słowa klucze w dziedzinie urody i pielęgnacji. Dzięki nowym produktom wreszcie bez trudu miało się ładne lśniące włosy. Szampony przeszły ewolucję od żrących detergentów i szarego mydła, po których włosy u większości kobiet stawały się matowe, napuszone i można je było jedynie zaczesać do tyłu, obciąć albo zakręcić i przykleić do czaszki na lakierze. Odżywka (wtedy zwana zmywalnym kremem) swoją premierę miała na początku lat pięćdziesiątych. Niezwykłą popularnością cieszył się wówczas szampon marki Halo. Mocno się pienił i jako jedyny nie zawierał mydła. Halo „wielbił” włosy, bo sprawiał, że były czyste. Nawet Frank Sinatra wyśpiewywał pochwały Halo w telewizyjnych reklamach — wszyscy znali radiowy dżingiel „Halo, witajcie, Halo!”.

Sylvia wysoko ceniła swoje włosy — gęste, zdrowe i lekko falowane. Myła je trzy razy w tygodniu, co skwapliwie odnotowywała w kalendarzu czerwonym długopisem. Używała szamponu Halo.

⁴⁰ Tamże, 22 stycznia 1953, s. 158.

⁴¹ Nancy Hunter Steiner, *A Closer Look at Ariel*, dz. cyt., s. 41.

⁴² Paul Alexander, *Rough Magic: A Biography of Sylvia Plath*, New York 1991, s. 110.

⁴³ Nancy Hunter Steiner, *A Closer Look at Ariel*, dz. cyt., s. 40.

CIRILLY I SYRILLY<44>

Miss Abels: zdolna i Bóg wie co jeszcze.

Sylvia Plath, *dzienniki 1950–1962*,
14 lipca 1953

Sylvia uwielbiała otaczać się tkaninami i świecidełkami. Jej zwierzchniczka zaś zamiast szminek czy pudełek od Ferragamo trzymała na biurku paczkę chusteczek higienicznych — dla asystentek, które „na ogół w jej obecności płakały”.

Biuro sekretarza redakcji Cyrilly Abels nie było modowym sanktuarium kobiecości. Brakowało tu kompozycji kwiatowych, koloru różowego, czerwonego czy turkusowego i testerów szminek porzucanych w malowniczym nieładzie. Biuro wydawało się tak praktyczne i pełne energii jak sama Cyrilly. Mówiło się na nie Celia. Cyrilly Abels miała gładko zaczesane do tyłu siwe włosy. Nosiła ubrania ze sztywnych tkanin w jasnych brązach, ciepłych szarościach i ogólnie w neutralnych kolorach. Była drobna i żyłasta. Wszyscy wiedzieli, że studiowała na Radcliffe i że jest po imieniu z każdym liczącym się pisarzem w Nowym Jorku.

— Cyrilly była pełna werwy, dość surowa i niezwykle rzeczowa — wspomina Janet Burroway. — Ja wówczas byłam nieopierzoną gąską.

Cyrilly miała wrażenie, jakby znała Sylvię i w pewnym sensie tak było: poznała się na jej talencie. O zwycięskim opowiadaniu napisała: „Bujna wyobraźnia, świetnie napisane, z całą pewnością wyróżniające się; zatrzymać”. (Nawiasem mówiąc, gdy Carol LeVarn natknęła się na swoje własne opowiadanie w aktach „Mademoiselle”, widniał tam tylko jeden komentarz: FUJ — wielkimi literami, na czerwono).

Początkowo Sylvia zdawała się lubić pracę w Celi — gęstej od dymu i zapachu roślin doniczkowych. Pracowała przy chwiejącym się stoliku do gry w karty, przystawionym do biurka Cyrilly na tyle blisko, by można było usłyszeć wszystkie rozmowy telefoniczne. Sylvia czytała maszynopisy Elizabeth Bowen, Rumer Godden i Noëla Cowarda. „Strasznie dużo się tu uczę — pisała. — Piszę odmowy i podpisuję je własnym nazwiskiem! Wysłałam dziś jedną do człowieka z «New Yorkera» z perwersyjnym poczuciem poetyckiej sprawiedliwości... Inne dziewczęta też mają dużo pracy, ale ja bezustannie czytam fascynujące maszynopisy, robię z nich notatki, uczę się kryteriów przyjęcia tekstu do druku... Okropnie lubię Miss Abels... i sądzę, że to najmądrzejsza kobieta, jaką w życiu poznałam... Uwielbiam być gościnną sekretarzem redakcji!!”<45>

Jej listy do domu zawsze były radosne i optymistyczne. Ale jest dość prawdopodobne, że już na tym wczesnym etapie Sylvia czuła rozczarowanie nużącą stroną swojej pracy. Laurie Totten, która podczas pierwszego tygodnia czerwca spędzała z nią większość wolnego czasu, zauważyła w niej pewną zmianę — Sylvię zaczęły przygniatać obowiązki służbowe.

LAURIE TOTTEN: Przez pierwsze półtora tygodnia czerwca czas wolny spędzałyśmy wspólnie. Potem stopniowo widywałyśmy się coraz rzadziej, bo zaznajomiłyśmy się z innymi dziewczynami. Miała dużo więcej roboty niż ja. To zupełnie naturalne, zważywszy na okoliczności. Cyrilly Abels ewidentnie była tyranem. Mówiono, że wciąż jest na diecie i dlatego ma takie usposobienie. Pamiętam, jak ktoś na uroczystym lunchu po pokazie mody powiedział, że zjadła jedynie pół grejpfruta, za to odpalała jednego papierosa od drugiego. Krążyły też pogłoski o problemach z mężem, ale to raczej tylko plotki... W każdym razie nigdy nie słyszałam, by Sylvia się skarżyła.

MARGARITA SMITH

Redaktorka działu literackiego również jadła w Drake Room, przynajmniej raz w tygodniu. Przez lata nie wiedziała, że może za wyszukane lunche płacić z firmowego konta Street and Smith. Gdy wreszcie to do niej dotarło, zaczęła nadrabiać stracony czas. Często można ją było spotkać przy pieczonej kaczce w Drake albo na ploteczkach przy sałatce w Café St. Moritz. Obsesyjnie bała się wind, dlatego każdego dnia rano i wieczorem pokonywała sześć pięter schodami. Była nałogową palaczką i żyła w przekonaniu, że pewnego dnia zapomni dogasić papierosa, przez co wywoła pożar w całym budynku Street and Smith. Kazała więc swojej asystentce chodzić za sobą i sprawdzać, czy nie zostawia niedopałków albo tłącego się popiołu.

Sylvia z fascynacją obserwowała takie szaleństwo. Jeszcze przed przyjazdem do Nowego Jorku napisała nawet do „Mademoiselle”, że jej zainteresowania akademickie coraz mniej dotyczą angielskiego, a coraz bardziej psychologii. Tak naprawdę chciała pracować na oddziale psychiatrycznym — choćby jako recepcjonistka. (Wiele lat później tak się właśnie stanie — w Bostonie. To doświadczenie zainspiruje jej najlepsze opowiadanie *Johnny Strach i Biblia Snów*). W każdym razie było to znacznie ciekawsze niż robienie korekty.

W rzeczywistości Cyrilly traktowała Sylvię z pewną dozą matczynej troski. W celu nawiązania prawdziwej więzi ze swoją protegowaną zabierała ją ze sobą na lunche w Drake Room. Tam, nachylając się nad stołem, wypytywała ją

o dzieciństwo. Ta jednak była skryta i spokojna. Pewnego razu zdesperowana Cyrilly, próbując dotrzeć do Sylvii, zaczęła pytać o zmarłego ojca Ottona i jej opinię na temat jego niemieckiego pochodzenia. Poruszyła tym samym niezwykle ważną dla niej kwestię, która zadrezczała ją i przewijała się w jej dziełach przez całe życie. Doprowadziła nawet do powstania bolesnego, karkołomnego majstersztyku, wiersza pod tytułem *Tatuś*. Sylvia jednak siedziała tam z serwetką na kolanach, opanowana, niczym lalka, i jadła swój *bifteck haché*.

— Nigdy nie spotkałam nikogo tak konsekwentnie niespontanicznego, zwłaszcza w tak młodym wieku... Była po prostu fasadowa, zbyt grzeczna, zbyt dobrze wychowana i zbyt zdyscyplinowana — wspominała po latach Cyrilly.

Momentami Sylvia robiła się odważna — można się było nawet za nią wstydzić. Ale w obecności Cyrilly siedziała, jakby zapomniała języka w buzi.

CAROL LEVARN: Wyobrażałam sobie coś bardziej niezwykłego. Powierzone mi zadania rozczarowały mnie. Chciałam pisać, w Sweetbriar założyłam przecież magazyn literacki.

LAURIE GLAZER: Czasem w pierwszym tygodniu stażu BTB zbierała niektóre z nas — w tym Sylvię — i powtarzała, gestykulując: „Jesteście moimi pisarkami”. Wiedziałyśmy do pewnego stopnia, że kiedyś się nimi staniemy, ale nie tak jak Sylvia. Ona była tego pewna.

DIANE JOHNSON: Byłam gościnną redaktorką działu o zdrowiu i urodzie — bardzo błahe stanowisko. Najmocniej zapadło mi w pamięć pytanie dotyczące makijażu od osoby z jednym okiem niebieskim, a drugim brązowym. Najpierw pomyślałam, że to żart, ale to się zdarza naprawdę, choć niezwykle rzadko. Z Sylvią było inaczej. Rozmawiałyśmy wówczas o tym, że redaktorki traktują ją tak, jak gdyby od razu poznały się na niej i spodziewały się po niej wielkich rzeczy. Musiała być niezwykła, bo traktowano ją z wielką powagą, a jej stanowisko gościnniej sekretarz redakcji uważano za ważne, no i wciąż musiała siedzieć przy biurku, podczas gdy my mogłyśmy się trochę zrelaksować.

ANNE SHAWBER: Pamiętam tę biedaczkę Sylvię siedzącą w biurze Cyrilly Abels, gdzie sprawdzała teksty albo coś przepisywała, albo usiłowała obmyślić układ graficzny, podczas gdy reszta śmigła na pokazy mody, mecze baseballu itd. Już wtedy było mi jej bardzo żal, bo wiedziałam, jakie to dla niej trudne. Czułam

też zazdrość, bo to ja byłam przygotowana i wykształcona do takiej pracy. To ja chciałam to robić. Nie mam pojęcia, dlaczego nie dali jej do działu literackiego albo choćby do zakupów — gdziekolwiek, gdzie nie trzeba mieć umiejętności technicznych, za to wolno beztrudno marzyć i marnować czas. Już wtedy czułam, że Sylvia jest w złym miejscu i że „Mademoiselle” przyczyniła się do jej załamania. Powinna wówczas zostać redaktorką mody. Zaś to, czego doświadczyła zawodowo, musiało być dla niej szalenie trudne, zwłaszcza że całkiem inaczej sobie tę pracę wyobrażała.

Nie tylko Cyrilly Abels zdumiewało zachowanie Sylvii. „Jednym z moich zadań było skontaktowanie się ze Smith College oraz rozmowa z Sylvią Plath. Miałam się zorientować, czy nada się na redaktorkę gościnną — wspomina Gigi Marion. — I choć wiedziałam, że z pewnością jest strasznie dobra, to jednak zastanawiałam się, czy się wpasuje. Zachowywała się dość teatralnie, co uznałam za odrobinę problematyczne. Gdyby się ją spotkało innego dnia, można było zastać kompletnie inną osobę” <46>.

Prawdę mówiąc, Sylvia nie lubiła swojej posady gościnnej sekretarz redakcji. Prestiż był tylko pozorny, a sama Plath uważała tę pracę za poniżającą. Poza tym niezbyt pasowała do pracy redaktorskiej — maska pedantki zakrywała naturę stworzoną do czegoś dzikiego i niepoznanego. Jednak na samą myśl, że odrzuca coś, co inni uważają za szczyt marzeń, przytłaczało ją poczucie winy. Całe mnóstwo dziewcząt tylko czekało, by zająć jej miejsce.

Nie wszystkie gościnne redaktorki poddane zostały podobnemu rygorowi. Większość prac nad magazynem wykonano jeszcze przed ich przyjazdem, poza tym niańczenie stanowiło dla zespołu redakcyjnego niebywały wysiłek. Przeważnie młode redaktorki były więc po prostu maskotkami „Mademoiselle”.

Sylvia spodziewała się więcej blasku i splendoru — „spotkań z ulubionymi sławami, robienie sobie z nimi zdjęć, chadzanie na premiery teatralne, rozgwieżdżone dachy, mnóstwo strojów i pięknych miejsc”. W rzeczywistości zaś godzinami przesiadywała przy prowizorycznym biurku, odrzucając do tyłu wilgotne z powodu upału kosmyki włosów. (Zwykle nosiła czerwoną opaskę, ale ten wizerunek wydawał się jej zbyt naiwny jak na „Mademoiselle”). Długie godziny spędzane z Cyrilly izolowały ją od pozostałych dziewcząt i pozbawiały codziennego biurowego gwaru oraz zwyczajowego kieliszka wódki pitego o trzeciej w biurze BTB. Bolesnie odczuwała odsunięcie jej od świecidełek i zabawy.

Rzecz jasna, cała dwudziestka została precyzyjnie dobrana przez samo to, że

przeszła selekcję na prestiżową posadę gościnniej redaktorki. Sylvia jednak była inna. Carol LeVarn — jej najlepsza przyjaciółka podczas tego miesiąca — między nią a Cyrilly widziała wspólny front:

— Ze zdumieniem patrzyłam na ich bliską i intensywną współpracę. Reszta z nas miała pracę związaną raczej z tekstem. Nie budowałyśmy więzi z redaktorkami, chyba że na pokaz.

Cyrilly jako wymagająca i despotyczna osoba była uosobieniem słowa „kategoryczna”. Ale również spostrzegawcza, życzliwa i miała słabość do poetów. Na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać geniusz i właśnie to dostrzegła w Sylvii.

Wykształconym dziewczynom po college’ach takich jak Smith trudno było znaleźć w Nowym Jorku pracę — może poza słabo płatną posadą sekretarki. Dużo o tym w czerwcu rozmawialiśmy. Po tamtym lecie ja również byłam przekonana, że powinnam wziąć kilka lekcji ze stenografii — i tak zrobiłam — ale prawie oblałam, bo po prostu nie byłam w stanie zapisywać tych bazgrołów tak, jak chciała tego moja nauczycielka. Z Sylwią było podobnie. Ponoć nie wytrzymywała nawału obowiązków, bo nigdy tak naprawdę nie nauczyła się dobrze pisać na maszynie. 47 Jako artystka i poetka zawsze pisała ręcznie i to matka, nauczycielka maszynopisania, niewolniczo przepisywała teksty i robiła korekty. Mówiło się też, że jej mama była znajomą sekretarz redakcji Cyrilly Abels i podsyłała dziewczęta z sekretarskimi umiejętnościami po kursach w college’u do pracy w czasopiśmie. W *Szklanym kloszu* Sylvia opowiada też o trudnościach w pracy z Cyrilly i sprzeczkach z mamą na temat sensu uczenia się tych rzeczy, bo nie chciała skończyć jako sekretarka.

neva nelson

44> 4 czerwca 1953 roku Sylvia podpisała swój pierwszy list do domu „Twój sekretarz red., Syrilly”, wzorując się na Cyrilly Abels.

45> Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 116.

46> Alex Witchell, *After The Bell Jar, Life Went On*, „New York Times”, dział o stylu, 22 czerwca 2003.

47> Sylvia nie mogła być aż tak kiepska w pisaniu na maszynie. W college’u wspinałomyślnie przepisywała na maszynie teksty swojej koleżanki Anne, która pisała zbyt wolno.

GĘSTA ŚMIETANA I KRYNOLINY

*Połowa redakcji — redaktorki z działu
literackiego — chodziła na terapię.
Wydawało się, że tylko redaktorki
od mody odporne są na nerwice.
Chyba nie były dość wrażliwe.*

mary cantwell,
manhattan, when i was young

Truman Capote, Elizabeth Bowen, przyszłość prozy — takie były punkty styczne między Sylvią a jej przełożoną. Ale jeśli Cyrilly liczyła na to, że znajdzie w protegowanej aspirującą redaktorkę — a chyba właśnie tak było — myliła się. Pomimo wiedzy o literaturze i wyznawania podobnej etyki pracy obie kobiety znacznie się różniły. W królestwie Cyrilly nie robiło się manikiuru i nie używało perfum, było to królestwo taśmy samoprzylepnej i ołówków. Podobnej postawy oczekiwała po swoim zespole.

Nosiła stalowoszare garsonki, ciasny koczek i praktyczne buty, w żadnym stopniu nie obchodził ją dział urody. Szokowało ją, że „dziewczyna o inteligencji i talencie literackim Sylvii może być tak wciągnięta w wir mody”. Z pozoru wydaje się to nieco dziwne, w końcu „Mademoiselle” to magazyn o modzie. Artykuły o tytułach *Szalejemy za skórą* albo *Piękne blondynki: sukienki na randkę* zajmowały 325 na 379 stron w numerze uczelnianym. Cyrilly oczekiwała, że Sylvia jako inteligentna i ambitna młoda kobieta będzie chodzić na płaskim obcasie i bez pomalowanych ust. Według niej potencjał intelektualny i zainteresowanie modą wzajemnie się wykluczały, więc Sylvii nie powinno przeszkadzać opuszczenie kilku pokazów mody, by pracować do późna w biurze.

Według Mary Cantwell Cyrilly chciała na asystentkę „absolwentkę college’u i zdecydowanie nie niewolniczkę mody. Jej asystentki były wysokie, bystre, źle ubrane... i dwulicowe. Z rozmysłem zwyczajne, jak owsianka”.

Sylvia jednak malowała usta na czerwono, obsesyjnie się opalała i miała zmysłowe podejście do kształtu i faktury. Nie widziała nic ekstatycznego w mieszkaniach bez ciepłej wody, jedzeniu soczewicy i tanich ubraniach. Czy to takie niezdrowe zachwycać się piękną nową książką albo jedwabnymi pończochami? W istocie Sylvia była wymarzoną kandydatką na dziennikarkę działu mody. Podobnie jak Alexander Liberman, Diana Vreeland i inne ówczesne tuzy Condé Nast, fascynował ją styk mody i sztuk wizualnych.

— Miałam napisać tekst o tym, jak zorganizować w kampusie pokaz mody połączony ze zbiórką funduszy — mówi gościnnie redaktorka działu promocji Ann Burnside. — Następnie kazano mnie i mojej koleżance wyciąć zdjęcia płaszczy z tuzina ostatnich numerów, po czym wkleić do albumu z płaszciami, i analogicznie zrobić z butami. Żmudna praca, której nie chciał wykonywać nikt z redakcji, a i my z trudem traktowałyśmy ją poważnie.

Sylvia podeszłaby do tego z powagą — tak mocno wierzyła w wewnętrzną mądrość formy. Dla niej byłoby to coś na kształt robienia zabawek albo układania skarbów. Niestety jej talent do projektowania i rysunku przeszedł w „Mademoiselle” niezauważony, a zespół zaszufladkował ją jako pisarkę.

To charakterystyczne dla niej jako artystki i konsumentki rozumienie piękna dobrze widać w dziennikach i listach. Pulowery są „soczyście czerwone jak jabłka w cukrze”, a nowa sukienka wisi na drzwiach „w całej swej srebrnej glorii”**<48>**. W listach do Aurelii szczegółowo opisywała nowe suknie, a zakupy lubiła tak samo (albo nawet bardziej) jak każda z dwudziestu dziewcząt.

Pięknie pisała o ubraniach. Z ironią i poczuciem humoru, a także domieszką rokokowej kwiecistości. Francuskie zamszowe czarne buty na obcasach, czarne swetry z długimi rękawami na jesień. Sukienki w kolorze wody i złote buciki na paskach na letnie potańcówki. Biała suknia wyjściowa z marszczoną spódnicą, która stała sztywno „niczym ubita śmietana”. (Powiedziała kiedyś, że „najbardziej szykowna” czuła się w płaszczu przeciwdeszczowym z różową podszewką, „ponieważ ma taki przebojowy krój. Elegancka, nonszalancka, szykowna, ale i *un peu triste*”**<49>**).

Sylvia, która kochała wszystko, co piękne i bezcelowe, nie wstydziła się, że lubi to, co materialne.

○

Czyż całe życie nie jest materialne — oparte na materii — przesiąknięte materia? Czy nie powinniśmy się nauczyć z radością wykorzystywać piękno ładnego materiału? Nie mówię tu o prymitywnej, nudnej telewizji, szpanerskich kabrioletach, wulgarnym obnoszeniu się z pieniędzmi — ale raczej o gracji, finezji i wyrafinowaniu — naprawdę są cudowne i ekscytujące rzeczy, które można dostać tylko za pieniądze, na przykład bilety do teatru, książki, obrazy, podróże, ładne ubrania. Po co się ich wyrzekać, skoro można je mieć? Trzeba jedynie pracować, nie popaść w fizyczne i psychiczne odrętwienie — i NIGDY nie być zbyt pewną siebie, nie obniżać lotów intelektualnie, duchowo ani fizycznie!**<50>**

○

Codzienna porcja mentalnego tłuszczu — dużo bardziej szkodliwa niż krynolina w kolorze gęstej śmietany.

Piękno i formę Sylvia ceniła nade wszystko. Była od piękna uzależniona, pięknu oddana — czciła Piękno. Często kupowała książki ze względu na kolor i fakturę papieru. Nawet jej chłopcy byli w klasycznym sensie przystojni. Tak długo obkrawała swoje życie, póki nie wpasowało się w cudowny plan, który dla siebie wymyśliła. Dzienniki napchane są nieustającymi pytaniami. Całą tę introspekcję przewyższa jednak konkretny opis skóry, włókien i ścięgien. Sylvia po Chardinowsku kochała cielesne i krwiste rzeczy jak pasternak, tulipany czy stare kuchenne noże. Poślubiona została zmysłowości języka, nie gramatyce, która mogła go zabić lub wydestylować. Kochała słowa, kochała je w taki sam sposób, jak kochała mleko czy latem owoce — czarne jagody polane śmietanką.



Reklama kremu do demakijażu z „Mademoiselle”

Przygotowywanie czekoladowego tortu z proszku albo ostry zapach świeżo

zmielonej kawy. Przyjemność mycia włosów szamponem Halo o świeżej sosnowej nucie serca. Kojąca syntetyczna woń nowego czasopisma. Promyki słońca żółte jak świeże i chłodne kawałki masła. Imbirowe piwo miało dla niej kolor płowy. Jedwabna beżowa sukienka pachniała jabłkiem. Czysta niewielka łazienka Sylvii przesiąkła zapachem ciepłej skóry, pasty do zębów i chromu. Jej przywiązanie do języka było pierwotne, fizyczne i natychmiastowe. Ładne słowa, których smak można poczuć na języku. Nazwy szamponów — Drene (płynny, ładne włosy), Halo (galaretowaty, średni) i Shasta (kremowy, ciężki). Nazwy materiałów takich jak flausz, bukła i welwet. Jej kształtne pismo odręczne — każda litera perfekcyjnie uformowana, nieśmiało osobna.

Oprócz tego Sylvia uwielbiała wytworność. Korzystała z każdej okazji, by się wystroić — przygotowania, planowanie! — uwielbiała te rytuały. Brzydziła się tłustych wsuwek do włosów, w ubrania natychmiast wszywała potniki, co tydzień malowała paznokcie — cała ta kompulsywna koncentracja na szczegółach sprawiała, że idealnie pasowała do świata kremów i tabletek chlorofilowych.

Byłaby z niej idealna redaktorka działu mody.

48› Sylvia Plath, *Listy do domu*, przeł. Ewa Krasińska, Warszawa 1983, s. 82.

49› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 27 marca 1957, s. 542.

50› Tamże, 7 lipca 1952, s. 110.

DZIEWCZĘTA

Codzienna rutyna: pobudka, makijaż przed lustrem, wyprasowana spódnica lub garsonka i neutralne szpilki. Kawa i tost po drodze, „Mademoiselle”, spotkania i lunche, potem jeszcze więcej spotkań, przebieranie się w sukienkę wyjściową, jazda taksówką na miejsce wieczornego wydarzenia. Potem powrót do tropikalnych korytarzy Barbizonu, zapach lotionu do układania włosów i mydła Lux. Na noc zawijanie włosów na papiloty albo grube wałki z aluminium czy plastiku. Sen — ze względu na dobry wygląd jutrzejszej fryzury — najlepiej w pozycji siedzącej, na poduchach.

W ciągu dnia dziewczęta chadzały grupkami, nocami wsiadały do taksówek, za które płaciła „Mademoiselle”. Zapach mgły i świeżych gazet o poranku — sprzedawcy kawy i rogalików. Lobby w budynku Street and Smith — kobiety w szpilkach i nylonach, mężczyźni w ciemnoszarych garniturach, ciemnych krawatach i fedorach. Stek z frytkami u Carlou, lunch z Ruth w La Champlain. Pranie rajstop i rękawiczek w umywalce. Lody i spacerzy wzdłuż East River, ku Pierwszej i Drugiej Ulicy, gdzie sklepy z używanymi towarami i lombardy pachną narzędziami, żelazem i mosiądzem. Autobus do Village na festiwal sztuki przy Washington Square. *Mezaliens* w teatrze Barrymore. Uroczysty lunch z producentami gorsetów. Drake Room — Margaret poznaje Marlona Brando. Café St. Moritz — biorą Grace za Zsa Zsę Gabor. BTB smakuje wódka, a Cyrilly whiskey. BTB ma czerwone pióro, a Cyrilly niebieskie i każe Sylvii pracować w Celi.

„ROZMOWA”

NEVA NELSON: Z drogi do pracy najlepiej zapamiętałam upalne, duszne ulice Nowego Jorku. Wstawałam rano, brałam prysznic (albo tylko opłukiwałam się w umywalce w pokoju), przebierałam się w czarną elegancką sukienkę z bawełny, bez rękawów, z białym kołnierzykiem w czarne grochy i krótki żakiet bez kołnierza. Wkładałam biały ażurowy kapelusz z czarnym aksamitnym wykończeniem i białe rękawiczki. Poprawiałam w nich pończochy (żeby ich nie zahaczyć nieopiętowanym paznokciem. Musiałam je nosić, bo w przeciwnym wypadku od razu obcierały mnie buty) i wsuwałam czarne skórkowe szpilki. Następnie zjeżdżałam windą do kawiarni ukrytej za przepierzeniem w północno-zachodniej części lobby. Schodziłam po dwóch stromych i wąskich stopniach na parter, poziom kawiarni — od razu nauczyłam się, że na wysokich obcasach trzeba tam uważać. Zwykle spotykałam tam już którąś z dziewczyn i siadałam obok przy barze nad kawą z mlekiem w dużej białej ceramicznej

filiżance i zamawiałam ciastko. (Uwielbiałam ich maślane ciastka z brązowym cukrem). Jadłyśmy w pośpiechu, czując się coraz bardziej nieswojo w zatłoczonym, gwałnym i gorącym pomieszczeniu, po czym wychodziłyśmy przez kawiarnię na Lexington Avenue, gdzie wilgotny żar ulicy uderzał w nas niczym grom z jasnego nieba. Kiedy wreszcie docierałam do budynku Street and Smith, byłam całkowicie zgrzana, spocona i okropnie bolały mnie stopy.

JANET BURROWAY: Tak, przestrzegaliśmy godziny powrotu do hotelu. Udało mi się przemycić do pokoju maszynę do pisania, ale nie pamiętam, czy była wypożyczona z „Mademoiselle”, czy z hotelu. Musiałam skończyć zadanie i tylko to się liczyło. Pokoje wydawały się bardzo małe i nędzne — ale w końcu ja pochodziłam z regionu pustynnego, więc nie byłam przyzwyczajona do miasta, raczej do przestrzeni. W Barbizonie łóżko zajmowało większą część pokoju. Jeśli jednak myślałyśmy o robieniu kariery zawodowej, liczyłyśmy na własne mieszkania, bo utknięcie w Barbizonie było jak ślepa uliczka, niczym posada guwernantki dla dziewczyny z epoki wiktoriańskiej. Z pewnością myślałyśmy też o zamążpójściu, a przynajmniej większość z nas.

ANN BURNSIDE: Musiałyśmy sobie radzić same, bez niczyjego wsparcia, z wiecznym przekonaniem, że coś zawałamy.

LAURIE TOTTEN: Nie miałam poczucia, że od razu stałyśmy się sobie bliskie. Kilka dziewcząt przez większość czasu chodziło razem do pracy, w tym Sylvia. Ale tak jak u migrujących ptaków, które lecą w kluczu, struktura tej grupki ulegała zmianom i poprawkom.

JANET BURROWAY: Czułam się wiecznie narażona z jednej strony na nonszalanckie, pewne siebie profesjonalistki, a z drugiej strony na hałas. Obie te rzeczy bardzo utrudniały mi pracę. Przeważnie chciałam się gdzieś ukryć.

NEVA NELSON: Na rogu była mała francuska restauracja, w której kiedyś spotkałam się z Laurie Totten na uroczej kolacji. Powiedziała mi wtedy, jak wynika z moich listów do domu, że nie zamierza nigdy wychodzić za mąż. Okazało się, że jako pierwsza z nas znalazła męża i dla niego porzuciła Fullbrighta. Zawsze się śmieję na to wspomnienie.

o

DIANE JOHNSON: Ogólnie mówiąc, dziewczyny spoza Nowego Jorku trzymały się razem, a prawdziwe nowojorczanki miały zupełnie inne podejście i znacznie lepiej wiedziały, kto jest ważny, kto sławny i tak dalej — kto się w Nowym Jorku liczy. Ja jednak byłam ciut tym wszystkim oszołomiona. Najmłodsza z całej grupy, dziewiętnastoletnia, nigdy dotąd nie byłam na wschodzie, w ogóle w żadnym dużym mieście, nie licząc jednej wizyty w Los Angeles. Wiadomo więc, że chodziło o magazyn, ale ja najbardziej zapamiętałam to, co się z nim nie wiązało — zachwyciły mnie MoMA i Metropolitan.

o

NEVA NELSON: Podobno przysłałam jedną z najbardziej zjadliwych recenzji, jaką kiedykolwiek otrzymali. 51 Usłyszałam to później od Marybeth Little. Zarzuciłam wtedy czasopismu, że pozostaje bez kontaktu z dziewczynami z zachodu, ich miłością do jeansu, skóry i — najmodniejszych akurat — T-shirtów farbowanych po zawiązaniu na supeł. U nas nikt by się w życiu nie pokazał w grubych skarpetach i bezkształtnych butach — u nas nosiło się mokasyny na gołą stopę. Mówiono na mnie Dziewczyna z Kalifornii, zanim jeszcze piosenka The Beach Boys stała się popularna.

o

LAURIE TOTTEN: Drzwi do pokoiów pozostawały często otwarte nie tylko, by wpuścić choć trochę świeżego powietrza w te gorące dni, lecz także dlatego, że coraz lepiej się znałyśmy. Grupki dziewczyn siedziały to w jednym, to w drugim pokoju i doradzały sobie, co założyć na wieczorne wyjście. Poza tym tak po dziewczynsku pożyczałyśmy sobie paski, apaszki czy lakiery do paznokci. Im bliżej końca czerwca, tym bardziej miałyśmy dość naszych własnych ubrań. Uważam, że Sylvia wpasowała się w grupę, jak każda z pozostałych dziewcząt.

o

RUTH ABRAMSON: Rok wcześniej miałam operację kolana, które nadal było trochę słabe. Nawaliło pewnej nocy, kiedy poszłam do łazienki na korytarzu. Zamknięta w kabinie, spanikowałam i zaczęłam krzyczeć, a Sylvia przybiegła mi na ratunek. Okazało się, że była w łazience obok. Zadzwoiła po karetkę i pojechała ze mną do szpitala. W piżamie.

o

LAURIE GLAZER: Mijałyśmy się z Sylvią w korytarzu. Nasze białe zęby kontrastowały z ustami pomalowanymi na ciemnoróżowo, hit roku 1953.

o

LAURIE TOTTEN: Kiedyś podczas lunchu z Sylwią zorientowałam się, że mi się przygląda. — Co jest? — zapytałam. Obejrzała mnie nieco uważniej, nachylając się nad stolikiem. — Twoje rzęsy wyglądają jak nogi pająka — powiedziała. Od razu wiedziałam, o co jej chodzi, bo tego dnia użyłam zalotki. Gdy ją zbyt mocno ścisnąć, robi na rzęsie zagięcie, rzeczywiście przypominające staw w nodze pająka. Zupełnie jakby nie wiedziała, że w ogóle taki przyrząd istnieje, w co trudno mi było uwierzyć... Myślę, że to był właśnie przypadek wrażliwości na szczegól, charakterystycznej dla pisarzy i artystów. To taki przymus, świadomy lub nie, który każe obserwować zarówno bezkres, jak i to, co nieskończenie małe, by stworzyć obraz lub dobrać trafne słowa.

o

GLORIA KIRSHNER: Sylvia wydawała mi się osobą, która chce wszystkich zadowolić. Bardzo jej na tym zależało. Była uosobieniem grzecznej dziewczynki.

o

CAROL LEVARN: Nigdy bym nie wpadła na to, jak potoczy się jej życie. Wydawała się tak podobna do mnie.

51› Jedno z zadań w długim procesie rekrutacji na miesięczny staż w „Mademoiselle” polegało na napisaniu krytycznej recenzji numeru uczelnianego (przyp. tłum.).

LUNCH I DIETA

W tamtych czasach mieć sześćdziesiąt centymetrów w talii nie było niczym dziwnym — ja tyle miałam.

ann burnside

Sylvia uwielbiała proste świeże jedzenie, więc z radością i ulgą trafiła na jedną ze swoich ulubionych sieciowych restauracji. Pierwszego dnia w Nowym Jorku odkryła miejsce, gdzie często potem bywała. Tamtego dnia zjadła zupę groszkową na maślance i sałatkę owocową, wszystko za dolara i dziesięć centów.

— Na lunch najbardziej lubiłam kanapkę na białym chlebie z mieloną szynką i siekanymi jajkami z pobliskich delikatesów — wspomina Neva Nelson, która tamtego lata często jadła lunch z Sylwią. — Nadal szukam tego połączenia smaków i nie udaje mi się go nigdzie znaleźć. Przeważnie jednak jadałyśmy w biegu, zajęte czymś innym.

Sylvia i Neva bywały też w Hamburger Heaven.

— Podają najlepsze hamburgery w mieście za jedyne pięćdziesiąt pięć centów — reklamowała ich Geri Trotta — a w dodatku pyszne ciastka i placki. Co więcej, mają otwarte całą dobę przez siedem dni w tygodniu, więc jeśli się ma ochotę na coś do jedzenia o nietypowej porze, to tylko u nich.

— Sylvia nie była wcale nienasyconym żarłokiem, jak przedstawia się w *Szklanym kloszu* — opowiada Laurie Totten, która również często jadła z Sylwią, zwykle w małych i tanich barach. — Obie miałyśmy zamiar przywieźć do domu choć trochę pieniędzy z wypłaty w „Mademoiselle”. Utyłam od tego barowego jedzenia, na szczęście do końca lata udało mi się wrócić do wagi. — Waga Sylvii za to niemal się nie zmieniała. Przez cały miesiąc, lepsze i gorsze chwile, ważyła sześćdziesiąt jeden kilogramów i nosiła rozmiar dziewiąty.

Jeśli chodzi o kontrolę wagi, to w połowie ubiegłego wieku podstawowym rozwiązaniem były dieta wysokobiałkowa i grejpfrutowa. Marilyn Monroe szczupłała na diecie niskowęglowodanowej: na śniadanie białko jajka i grejpfrut, na obiad i kolację stek z sałatką. Pozwalała sobie jednak na wódkę i Dom Pérignon. W latach pięćdziesiątych żywa była także plotka, jakoby Maria Callas zrzuciła dwadzieścia siedem kilo dzięki tabletki z jajkami tasiemca. Tasiemiec pasożytował latami w jelitach, żywiąc się tym, co zjadła Callas. Biorąc pod uwagę jej miłość do surowych steków i wątróbki, naprawdę mogła zarazić się tasiemcem.

Bardzo popularne były również wczasy „Wyobraź sobie siebie szczupłą”

Anne Delafield, czyli w gruncie rzeczy zwykłe turnusy dla grubasów, tyle że połączone z nauką zasad dotyczących ubioru. Sylvia uczestniczyła nawet w jej pogadance w „Mademoiselle”. Sylvia — która beztróska wciniała pizzę, ciastka i nigdy nie martwiła się swoją wagą.

BLOOMINGDALE'S I BUENOS AIRES

Pierwszego wolnego ranka w Nowym Jorku, w sobotę szóstego czerwca, Sylvia spała do późna. W samotności zjadła śniadanie w Continental Café na dole — czarna kawa i tost z masłem. Następnie poszła prosto do Bloomingdale'sa z zamiarem kupna czarnych czółenek. W tym sezonie na półkach leżały „torebki podróżnicze”. Uszyte z materiałów takich jak płótno czy słoma, miały nadrukowane nazwy egzotycznych miejsc: Hawaje, Tahiti, Barbados. Były też meksykańskie wyplatane koszyki i torebki obszyte liśćmi palmy, ananasami i wisienkami z kolorowego plastiku. Na stoisku kosmetycznym uwijały się śliczne dziewczęta i unosiła się uderzająca do głowy woń perfum takich jak Mitsouko, Youth Dew i Vent Vert Balmaina. Channel No 5 w charakterystycznym prostokątnym flakonie z grubą ośmiokątną zatyczką, podkład Pan-Cake Maxa Factora, puderniczki i buteleczki połyskujące na półkach. Rosyjska czerwień, Bourjois Paris. Te chłodne obłe przedmioty, które można było dotknąć i wziąć do ręki, uspokajały Sylwię. Czyste syntetyczne zadowolenie, przyjemność z samotnych zakupów po tygodniu planowej niewoli. Kupiła kaczuszki z czarnej licowej skóry. Potem poszła na spacer, uwielbiała to. Sama, szykowna — nowe buty w pudełku opakowanym w papier.

Od trzeciej do szóstej zwiedzała Museum of Modern Art. Właśnie nabyli kilka nowych eksponatów, na przykład *Trzy kobiety przy fontannie* Picassa, można też było przez oszklone ściany obejrzeć nowo otwarty wybrukowany marmurem ogród rzeźb. Od strony Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy zamykał go mur z czerwonej cegły. W ogrodzie znajdowały się baseny, rosły perełkowce japońskie, brzozy i głogi, rozdzielając rzeźby na cztery sekcje. Stały tam dzieła Henry'ego Moore'a, Jacoba Epsteina, Matisse'a i Modiglianiego. Ściany galerii pomalowano tak, by odzwierciedlały kolory ogrodu — na gołąbkowo, perłowo, w jasnych niebieskościach i zieleniach. Sylvia miała wyczucie koloru i projektowanie we krwi, była więc w stanie wszystko to docenić. Obejrzała także wystawę powojennej europejskiej fotografii. Intymne zdjęcia paryskich studentek z rozpuszczonymi włosami, w długich płaszczach i z grzywkami na Juliette Greco. Dwa lata później Sylvia będzie się umawiać z chłopcem z Paryża i pijać kawę ze śmietanką w słynnej kawiarni Le Dôme. Podziwiała krwistą egzotykę i energię fotografii Leontija Planskoya przedstawiających pary tańczące tango w Buenos Aires. Obejrzała zdjęcia Berta Hardy'ego — z wojny koreańskiej oraz naturalistyczne ukazanie londyńskiej wschodniej dzielnicy. Dzieła Ankeri Spanga Larsena ukazujące lalki związane drutem kolczastym, wyrzucane w górę, a potem leżące na ziemi, roztrzaskane. Później Sylvia użyje określenia „doskonale rozczłonkowane

nimfy” do opisu albumu Johna Wilde’a *Apotheosis of Marie-Henri Beyle*.

Sylvia wykazywała talent do projektowania i w college’u chodziła na zajęcia ze sztuki. Rysowała mnóstwo autoportretów: ołówkiem, węglem, pastelami, ale najbardziej frapujące wydają się jej kolaże. Zbierała je w grubym zeszycie koloru mchu, na matowych stronach wyklejając ze złotego i kremowego papieru kształty podobne do wycinanek Matisse’a. Jej własne szkice mieszały się z gładkimi kartkami wyciętymi z „Vogue’a”, „Mademoiselle” czy podręczników do historii sztuki. Wśród nich znalazły się:

Huta żelaza

Chłopcy uczesane w stylu pompadour z diademami księżniczek

Projekty

Rysunki Sylvii przedstawiające pozy Louisa Armstronga

Worki do kroplówek i kroplówki z morfiny

Turecki dzbanek na kawę, któremu z dziubka unosi się para, układając się w napis „Ciemność”

Mondrian

Gejsze

Znaczki meksykańskie

Okładka magazynu „Better Homes and Gardens” z maja 1950 roku

Desenie kołnierzy i pelerynek powtarzane w niebieskościach, beżach, czerwieniach, różach i złocie na wzór portretów Marilyn czy Jackie autorstwa Warhola

Zdjęcie Lee Miller wykonane przez Mana Raya

Dovima

Fryzury w kucyk

Kolejki po jedzenie

Rakiety tenisowe

Słowiański szlachcic Rembrandta

Reklamy Coppertone

A na ostatniej stronie zagniewany, nagi do pasa sobowtór Iggy'ego Popa. Wypina biodro, ściskając skórzany surdut. Obok słowa napisane wersalikami, w ramce z fioletowego papieru:

Z PIEKIELNEJ CZERNI, KTÓRA TRWA WKOŁO MNIE,

DZIĘKUJĘ BOGOM, OBCYM MI ZIMIENIA, ZA DUSZĘ MOJĄ
HARDĄ, WYCIOSANĄ Z NIEPODATNEGO TOPOROM KAMIENIA.

ŻE W ZDARZENÍ ZŁYCH POTRZASKU NI RAZU NIE ZAPŁAKAŁEM,
ŻE GŁOWA MOJA, CHOĆ OBFICIE KRRAWI, PRZED NICZYM SIĘ NIGDY
KORNIE NIE POCHYLI. <52>

o

Co ciekawe, ta wersja Iggy'ego Popa z lat pięćdziesiątych wydaje się najbardziej adekwatnym autoportretem, jaki Sylvia kiedykolwiek namalowała.

The Bear Inn #1a



← 9 pt →

SZTUKA SYLVII

Po pobycie w Nowym Jorku Sylvia kontynuowała zajęcia ze sztuki, ale swoje prace zaczęła traktować raczej jako hobby, skupiając wszystkie siły na pisaniu. Jej kolejne obrazy i szkice stawały się coraz bardziej realistyczne i coraz mniej inspirowane kubizmem. Henri Matisse nadal pozostał jej ulubionym artystą, podziwiała jego „swobodny i łatwy styl”. Podczas kolejnych wizyt w Nowym Jorku zaczęła interesować się Giorgiem de Chirico, którego obrazy z postaciami w wyludnionych rzymskich miastach zainspirowały ją do pisania wierszy.

Jej rysunki tuszem przedstawiające owoce, buty czy zwierzęta są wprawne, urocze i wręcz namacalne. Tropikalny owoc ślicznie pęknięty na pół, nasiona otaczają jego smukły rdzeń. Mleczna krowa o długich rzęsach i flirciarskim spojrzeniu. Uliczna scenka z Paryża: małe zadbane *tabacs* i wywinięte barokowe dachy; kioski i puste butelki po chianti. Kreskówkowy *Ciekawski francuski kot* —

czarny kocur zaglądający zza drzwi. Para czółenek na niskim obcasie, czubki skromnie skierowane do wewnątrz.

52› Fragment wiersza *Niepokonany* wiktoriańskiego poety Williama Ernesta Henleya w przekładzie Czesława Sowy Pawłowskiego.

KRAINA CZARÓW

Wpadam w lekkie przerażenie, kiedy pomyślę, że życie przecieka mi przez palce jak woda — tak szybko, że nie starcza czasu, by zatrzymać się w biegu. Muszę pędzić jak Biała Królowa, żeby pozostać w tym samym miejscu.

sylvia plath,
listy do domu

W sobotę rano Sylvia umyła włosy. Zaczęła pisać list do byłego chłopca, ale w pewnym momencie przestała, zmięła kartkę i wyrzuciła ją do kosza stojącego przy biurku. Usiłowała (bez sukcesów) trochę poczytać *Ulisses*a Joyce'a. Kiedy Laurie Totten zapukała do drzwi i zaproponowała wyjście do Central Parku — do zoo i na karuzelę — z ulgą opuściła Barbizon. Przez całe godziny siedziały na ławce w parku, Sylvia uwielbiała obserwować ludzi i uszczęśliwiała ją, że „cały dzień nie słyszała ani słowa po angielsku!”.

To wyjście Laurie będzie długo wspominać:

— Pamiętam, jak razem z Sylwią poszliśmy do zoo. Obie byłyśmy wstrząśnięte panującymi tam warunkami, małymi klatkami i smrodem. Piżmowół był szczególnie godzien współczucia. Tyle wełny w tak gorący czerwcowy dzień... Ale być może te zwierzęta zawsze tak smutno wyglądają, nie tylko w niewoli — tak jak wiecznie przygnębiony Kłapouchy z *Kubusia Puchatka*. Nagle Sylvia powiedziała: „Ludzie są jak pudełka. Chciałoby się je pootwierać i sprawdzić, co jest w środku, ale to niemożliwe”. Ciekawili ją inni ludzie i ich kamuflaże, te „pokrywki na pudełkach”. Chyba żałowała, że nie można tak po prostu zaczepić kogoś na ulicy i powiedzieć mu: „Wyglądasz na interesującego człowieka, opowiedz mi o sobie”. Tak przynajmniej to odebrałam.

W poniedziałek ósmego czerwca Sylvia położyła się wcześniej do łóżka. Najpierw jednak napisała list do Aurelii: „Życie jest tak trudne i tak pędzi, że czasem się zastanawiam, kim jestem... życie mija tak szybko i gwałtownie, że prawie nie nadążasz żyć” <53>.

Miesiąc dopiero się zaczynał, a Sylvia już była wykończona. Reszta tygodnia zapowiadała się pracowicie, wypełniona wydarzeniami przygotowanymi przez „Mademoiselle”. Następny dzień też miał być szalony, zaplanowano wycieczkę na plan programu telewizyjnego Herba Shrinera i kilka spotkań z naukowcami i pisarzami. Wytchnienie dla zmęczonej głowy znajdowała przynajmniej wśród

zwierząt. „Widziałam dziś w zoo jaka, miękkonosą, nieskończenie cierpliwą antylopę, śpiącego misia polarnego i kilka cywet. Pójdę tam znów, gdy więcej rozmaitych zwierząt nie będzie spać. Bo większość już spała — wybrałam się tam, gdy zmierzchało. Ale słyszałam chrapanie hefalumpa. To na pewno był on”⁵⁴.

53› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 116.

54› Tamże.

Czy w ogóle są szczęśliwi ludzie? Nie, chyba że żyją snem albo zamieszkują sztuczny świat zbudowany przez nich samych lub przez kogoś innego. Przez jakiś czas karmiłam się optymizmem z piersi pełnych szampana, ssąc sutki z kawioru. Myślałam, że to było naprawdę i że prawda jest piękna. Ale prawda jest brzydka i wszechobecna, pokrywa całe życie jak brud. Prawda jest taka, że nigdzie nie jest bezpiecznie, nic nie zatrzyma zmian na gorsze, wyścigu szczurów, nieproszonej śmierci — skrzydlatego rydwanu, klaksonów i silników, diabła w zegarze.

*sylvia plath, dzienniki 1950–1962,
14 maja 1953*

Ale czyż nie jest ludzką tragedią być reakcjonistą, konserwatystą, zawsze wybierać pewność powszedniego chleba zamiast wzniosłej niepewności zagranicznych smakołyków?

*sylvia plath, dzienniki 1950–1962,
4 września 1952*

TYDZIEN

TRZECI.

Alienacja

CAROL

Sylvia nie była jedyną stażystką odizolowaną od błyskotek i zabawy. Carol LeVarn miała „najbardziej samotną robotę w czasopiśmie”, więc szybko stała się jej *belle amie* i powiernicą, bardzo wpływając na miesięczny pobyt w Nowym Jorku. Przez całe życie Sylvia wybierała sobie na przyjaciół osoby atrakcyjne, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Carol LeVarn była dwudziestolatką, która kończyła właśnie Sweetbriar — „Smith południa”⁵⁵. Miała ciemną, miodową karnację i jasne, puszyste włosy. Jej opalenizna była najciemniejsza, a blond włosy najjaśniejsze i najbardziej krzykliwe spośród całej dwudziestki.

Carol nie ukrywała swojej zgryźliwości. Niedługo po tym, jak wysłano do niej telegram z informacją o przyjęciu na miesięczny staż, redaktorka Marybeth Little odpowiedzialna za College Board otrzymała list od dziekana Sweetbriar College sugerujący przemyślenie tej decyzji: „Ta dziewczyna nie jest w żadnej mierze typową studentką naszego college’u”. Oczywiście Marybeth dokładnie o to chodziło. Praktykantki w „Mademoiselle” nigdy nie były „typowe”, a wśród nich znalazły się Joan Didion, Gael Greene i Betsey Johnson. Poza tym Carol przysłała już pocztą swoje pierwsze zadanie dla „Mademoiselle”, które na redaktorkach zrobiło ogromne wrażenie.

LAURIE TOTTEN: Na pierwszy rzut oka Carol wydawała się starsza, bardziej obyta i wyrafinowana niż reszta z nas. Była cyniczna, nie wiem, czy naprawdę, czy tylko udawała. Jak dla mnie zbyt krzykliwa. Nie chciałabym stać się obiektem jej żartów, bo dowcip miała ostry i wykazywała talent do parodiowania. Nabijała się ze swoich koleżanek ze Sweetbriar i naśladowała ich akcent. Potrafiła być bardzo zabawna, ale biada temu, kto stał się jej celem.

Dla Sylvii przyjaźń z Carol była pokrzepieniem w obliczu stylu pracy narzuconego przez Cyrilly. Z sybarycką i wspaniałą Carol świat zdawał się przyjemniejszy. Włosy rozjaśniała w stylu Marilyn: do niemal białego odcienia platyny. Sylvii podobało się kontrastowe zestawienie jej czarno-białych strojów i niemal białych włosów.⁵⁶ Na opalonych nogach nie nosiła pończoch. Nie dało się jej także niczym zaszokować — jej tolerancja działała na wewnętrzny ogień Sylvii niczym zimny kompres. Wykonała już niemal całą swoją pracę dla magazynu, więc chodziła zrelaksowana, choć pewnie i bez tego by taka była. Cztery balety, dwie randki i pięć bourbonów później blada fryzura Carol nadal

wyglądała na puszystą i świeżą. Była namiastką prawdziwego lata — dziewczyną Coppertone, chmurką bawełnianych włosów. Sylvia przy niej kwitła.

— Traktowałam ją tak samo jak każdą inną dziewczynę, z którą fajnie spędzało się czas. W rozmowach nie poruszałyśmy intelektualnych tematów, poezji czy polityki, nie mówiłyśmy także o śmierci jej ojca — mój tato też niedawno zmarł.

o

Rozmawiały za to o mężczyznach. Sylvia spotykała się z Gordonem Lameyerem, a Carol z przyszłym twórcą Nowego Dziennikarstwa Tomem Wolfem. Żaden z panów nie mieszkał w Nowym Jorku i żaden ze związków nie był poważny. Tom Wolfe (czy też TK, jak go wówczas nazywano) studiował w Yale, a Carol poznał w college'u: kiedy on był studentem Washington and Lee, a ona studentką Sweetbriar. W jednym z listów ostrzegał ją po przyjacielsku, by podczas pobytu w Nowym Jorku trzymała się z dala od aktora Joségo Ferrera. (Aktor ten został właśnie nominowany do Oscara za rolę Henriego de Toulouse-Lautreca w *Moulin Rouge*): „W ciągu dwóch tygodni zaliczył piętnaście imprez i na jednej z nich uwiódł moją siostrę”.

Szybko przekazała te informacje przyjaciółce i niebawem istotnie natknęły się na przyszłego męża Rosemary Clooney.

Carol doceniała odwagę Sylvii i jej poczucie humoru. Opowiedziała taką historię:

— Szłyśmy kiedyś razem ulicą. Ze względu na wielki korek nie mogłyśmy przejść na drugą stronę. Zobaczyłyśmy taksówkę, podeszłyśmy do kierowcy i zapytałyśmy, czy możemy przejść przez jego samochód na drugą stronę ulicy. Nie wiem, kim był, ale powiedział: „Pewnie, wsiadajcie”. Oczywiście nie doszłyśmy na drugą stronę — skończyło się na kilku drinkach z taksówkarzem.

Carol była idealną konsumentką blichtru i zabawy proponowanej przez „Mademoiselle”. Sylvia łaknęła tego typu autentycznych, organicznych emocji. Rozpaczliwie pragnęła, by otwarły się tajemnicze drzwi wiodące do prawdziwego miasta — ukrytego za Street and Smith, maszynami do pisanie i bakelitowymi telefonami.

Nie przyjechała do Nowego Jorku, by pracować. Prestiż nagrody i zdobycie zawodowego doświadczenia były zaledwie pretekstem. Sylvia przybyła tu, by żyć.

Byłyśmy zwykłymi roztrzepanymi dziewczynami, które świetnie się bawią i zakładają, że ich życie będzie wspaniałe.

carol levam

55> To, że Sylvia spośród tylu dziewcząt z północnego wschodu wybrała na

przyjaciółkę akurat studentkę ze Sweetbriar, nie jest zaskakujące. Elizabeth Hardwick tę cechę Sylvii opisywała jako „wyjątkowy brak krajowych i lokalnych więzi”.

56 Rok później, po powrocie do zdrowia, Sylvia utleni sobie włosy na niemal tak biały blond jak Carol.

„SPĘD CHŁOPAKÓW Z YALE”

Oficjalny bal organizowany w hotelu St. Regis był punktem kulminacyjnym miesięcznego stażu i wzorcowym przykładem rytuałów związanych z zalotami w połowie ubiegłego wieku. Artie Shaw wraz z orkiestrą oraz Horace Diaz ze swoim zespołem występowali na ruchomej scenie — gdy jedni artyści powoli kończyli grać, spod podłogi wyłaniał się drugi zespół. Jako aperitif podawano szampana i krewetki, a wszystko to na tarasie na zanurzonej w poświacie zachodzącego słońca dachu budynku ogrodzonego żywopłotem i żelaznymi balustradami. Potem kolacja — sałata i *poulet à l'estragon*, na deser zaś lody pistacjowe. Tańce pomiędzy kolejnymi daniami. Różowe obrusy — całość skąpana była w dekoracyjnym różowym świetle wpadającym przez wysokie, od samej podłogi okna. Sufit także miał różowawy kolor, namalowano na nim niebo jak z obrazów Tiepola. Strumieniami lały się: szampan, szkocka, likiery, koniak z wodą sodową i pomarańczowa brandy. Sylvia wystąpiła w sukni bez ramiączek uszytej ze srebrnej lamy — tej samej, którą założyła na bal na koniec roku w Yale. Jak pisała Neva Nelson w liście do swojej matki w czerwcu 1953 roku:

Wczoraj wszystko było za darmo, więc rzecz jasna piłyśmy szampana — trzy kieliszki przed kolacją, potem jadłyśmy krewetki i tańczyłam z Heroldem Hawkeyem z Wyoming, sto sześćdziesiąt dwa centymetry, potem sałatka, taniec z Johnem Appletonem, sto siedemdziesiąt centymetrów, młodym wydawcą, potem kurczak z sosem takim jakby barbecue. Taniec z Donem. Zjadłam trzy porcje pistacjowych lodów, zatańczyłam z Johnem, wypiliśmy pomarańczową brandy, zatańczyłam z Heroldem, spróbowałam koniaku z wodą sodową (najbardziej mi smakował). Potem rozmawiałam z Donem o jego dziewczynie w Long Beach, a on trochę się upił szkocką. Znow zatańczyłam z Johnem. Ku mojemu niezadowoleniu zasugerował, żebyśmy poszli do Stork Club. To takie wstrętne miejsce, zupełnie bez klasy.

o

Chłopcy zostali zrekrutowani z chóru college’u Columbia.

— Wybrali nam na partnerów prawdziwych przystojniaków — wspomina Diane Johnson. — Mnie przypadł w udziale chłopak z południa o imieniu jak z Faulknera. Wszyscy robili wrażenie niezwykle wyrafinowanych. To niesłychane, jak wielu rzeczy nie pamiętam, ten bal najwyraźniej nie był dla mnie wart zapamiętania. Za to pamiętam tego przystojniaka!

— Wieczór upływał nam wesoło — opowiada Janet Wagner, która tamtego

dnia włożyła szmaragdowozieloną suknię. — Dach na St. Regis był zachwycający, ale niewielu mężczyzn okazało się wyższych ode mnie i od Sylvii. Obie miałyśmy po sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu... Ja w zasadzie sto siedemdziesiąt sześć.

Sylvia chciała poznać jakiegoś hulakę czy buntownika, lecz nikogo takiego nie było wśród mężczyzn trzymanyh w tej uroczej niewoli. Nie mogła się doczekać balu. Miał się dla niej stać okazją do poznania potencjalnego adoratora, który pokazałby jej najwspanialsze zakątki Manhattanu, bądź przynajmniej do znalezienia „jakichś interesujących facetów, z którymi mogłabym się umawiać na randki w Nowym Jorku i za nic nie płacić”.

Tym razem jednak nie trafił się żaden Ray Wunderlich karmiący ją ostrygami. Nie było żadnego troskliwego mężczyzny skaczącego dokoła niej. Ann Burnside, która również włożyła suknię z balu na zakończenie college’u, też czuła się nieco dziwnie. W przeciwieństwie jednak do Sylvii była w stałym związku, więc wszystkie te flirty i galanteria wydawały się jej niezręczne.

Kilku dziewczętom bardziej się poszczęściło i poznały, jak ujęła to Sylvia, „dobre partie z Nowego Jorku”. Chłopak, z którym umówiła się Neva, John Appleton, był wysokim, wytwornym i nieco wstawionym mężczyzną, a także wnukiem szefa Street and Smith. Po balu zabrał ją do Stork Club, ale gdy nie zachwyciły jej papierowe zasłonki, przenieśli się do La Salle de Champagne w Village. Na serwetce napisał ołówkiem „Koniec jest blisko” — serwetka miała ramkę w czarno-czerwonej kratce i wizerunek czarnego szkockiego teriera pijącego martini z oliwką. Tymczasem przy stoliku obok Laurie Totten (w sukni za kolano) przeżywała zastępczy wstyd. Dzieliła stolik z Margaret Affleck, która usiłowała wyjaśnić swojemu zdumionemu partnerowi, że nie pije — nawet coca-coli. Laurie tak to wspomina:

— Pomieszczenie było cudowne. Bardzo efektowne, pełne luster, w różach i różowościach. Większość pijących alkohol zamówiła toma collinsa albo jakiś inny lekki drink, którym można było się bawić i sączyć powoli z nadzieją, że nie wygląda się jak ktoś kompletnie początkujący w tej materii — tak jak ja!

Wszyscy zgadzali się co do różowej wspaniałości hotelu. Sylvia napisała, że było „spektakularnie i ekscytująco” — mimo marnych perspektyw. Wszędzie dokoła widziała oznaki wysokiej pozycji społecznej. Wyniosłe krynoliny w stylu New Look Diora, ciepły blask dobrego wychowania, chłopcy o imionach takich jak Biff czy Bish oferujący ramię, uroczy i uprzejmi. Zazwyczaj uwielbiała tego typu wydarzenia — srebrne suknie bez ramiączek, zespoły muzyczne, stały dopływ szampana, mężczyzn z Ligi Bluszczowej. W wieku lat dwudziestu była już doświadczoną uczestniczką wszelakich potańcówek, zbyt wybredną jak na chłopców do towarzystwa zapewnionych przez „Mademoiselle”. Dwa lata wcześniej miała przyjemność wziąć udział w prawdziwie wielkiej gali podczas

przyjęcia debutantek, jednej ze współlokatorek ze Smitha Maureen Buckley. Przyjęcie odbywało się w Wiązach, posiadłości Buckleyów w Sharon w stanie Connecticut. Tamtego wieczoru włożyła wieczorową czarną suknię. Rozmawiała ze starszym bratem Maureen Williamem, który właśnie opublikował książkę *God and Man at Yale*. Tańczyła z Platonem Skourasem — dziedzicem wytwórni filmowej 20th Century Fox. Plato był całkiem nowy i elegancki — miał zaczesane do tyłu włosy i sznyt osoby z LA. Zrobił wielkie widowisko, porównując Sylwię do Madonny Boticellego wiszącej u Buckleyów nad kominkiem, a potem przedstawił jej swojego przyjaciela Constantine'a. Ten — syn rosyjskiego generała — oświadczył, że ma nadzieję umrzeć, dusząc się w blond włosach Sylvii. Opuściła z nim przyjęcie, by wybrać się na nocną przejażdżkę, która trwała do następnego dnia.

„Tamtej nocy naprawdę go kochałam... Constantine jest moim chłopcem z brązu” <57> — napisała, jak gdyby kupiła go na jakiejś aukcji włoskiej sztuki.

Żołnierze armii amerykańskiej wracali z wojny w krótkich wojskowych fryzurach, które szybko stały się symbolem schludności, patriotyzmu i sprawności fizycznej. Ale to Liga Bluszczowa, nie armia, nadała tej fryzurze nazwę *crew cut*, na jeża — a konkretnie zrobiła to drużyna wioślarska z Yale. Istniały różne odmiany tej fryzury, na przykład harvardzka czy princetońska z dłuższymi włosami na czubku, które dało się postawić, uzyskując bardziej dynamiczny efekt. Fryzura Ligi Bluszczowej była ciut dłuższa i pełniejsza na czubku głowy. John Appleton (z Columbii) nosił się w stylu harwardzkim, Dick Norton i Myron Lotz (obydwaj z Yale) mieli klasycznego jeża. Gordon Lameyer (z Amherst) wybrał taką odmianę fryzury, którą czasem zapuszczał do stylu pompadour (z podniesionym i zaczesanym do tyłu przodem). Eddie Cohen studiował na uniwersytecie w Chicago i nawet nie marzył o *crew cut*. Nosił klasyczne pompadour i traktował je niezwykle poważnie. Takie uczesanie pasowało do jego fajki, przeciwslonecznych awiatorów i skórzanej kurtki. Ale nie był w typie Sylvii. W uczelnianym numerze „Mademoiselle” w 1953 roku ukazał się artykuł zatytułowany *List otwarty do mężczyzny obciętego na jeża*.

Uwielbiała Platonów i Constantine'ów — ich łacińskie maniery i pompę Starego Świata. Niewiele jednak mogła działać z chłopcami o napomadowanych włosach obciętych na jeża, uważających się za członków tego samego klanu co adoratorzy z Yale czy Amherst. Byli niestety zbyt spięci i zbyt świadomi siebie, by stać ich było na wielkie gesty, które tak lubiła. Mimo osiągnięć dręczyła ich niepewność, a Sylvia nie miała zamiaru marnować najlepszych chwil na „rozładowywanie kompleksów niższości”. Była w Nowym Jorku, lecz wciąż tkwiła u boku „rozpieszczonych, zbaraniałych bywalców, co to cały czas się upijają i nie mają za grosz oryginalnego twórczego odruchu — każdy jeden jest bezkrwisty jak

wnętrze grzyba... Akademickie pijusy”**<58>**.

Laurie Totten, której chłopiec studiował w Syracuse, mogła zlekceważyć rozczarowanie tym wieczorem:

— Tak naprawdę to wszystko wydawało się strasznie sztuczne. Ucieszyłam się, gdy przyjęcie się skończyło.

Brak perspektyw w St. Regis był dla Sylvii sporym ciosem. Parę randek i kilku zainteresowanych mężczyzn od razu usunęłoby to nieprzyjemne wrażenie. Sylvia co prawda miała chłopca, umawiała się z Gordonem Lameyerem, którego jej przyjaciółka ze Smitha wspomina jako „inteligentnego, oszałamiająco przystojnego i bardzo oddanego Sylvii”**<59>**, jednak podczas pobytu w Nowym Jorku okazało się to bez znaczenia. Niezależnie od tego, jak żywe były obrazy z ich przeszłości albo wizje przyszłych rozkoszy, nie chroniły one Sylvii przed teraźniejszością, która „despotycznie rządzi bladymi cieniami przeszłości i przyszłości”**<60>**. Na tym polegał geniusz Sylvii i zarazem to był jej „ptak paniki” — całkowity brak nostalgii. Nie miała pancerza. W Nowym Jorku wydawała się szczególnie bezbronna, bo wyrwana z kontekstu, odcięta od dodającego otuchy dotychczasowego życia. Chciała, żeby mężczyźni w St. Regis funkcjonowali w jej życiu jak bohaterowie powieści. Nie szukała towarzystwa — szukała fabuły.

Rozmawiała, uśmiechała się, trochę tańczyła — jak wiele osób o nieco formalnym stylu bycia nie była najlepszą tancerką. Pomalowała się mocno czerwoną szminką. Na małej fotografii z sierpniowego numeru widać śmiejącą się Sylię z daiquiri (ulubionym drinkiem) w ręku. Przydzielony jej do towarzystwa młodzieniec właśnie usiadł na szklanym stoliku (jak chciał tego fotograf) i swoim ciężarem roztrzaskał blat w drobny mak. To zdjęcie szalenie się jej podobało i wymyśliła nawet podpis, który brzmiał mniej więcej tak: „Dwie dziewczyny gawędzące wesoło nad szampanem i dwoma partnerami etc.”. Miała nadzieję, że mała fotografia trafi do kolorowego magazynu sprzedawanego we wszystkich kioskach w kraju.

57› Sylvia Plath, *Listy do domu*, dz. cyt., s. 56.

58› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 96.

59› Nancy Hunter Steiner, *A Closer Look*, dz. cyt., s. 56.

60› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 4 czerwca 1957, s. 588.

FLIRT

Następnego dnia do biura „Mademoiselle” trafił egzotyczny bukiet. Wielka eksplozja kwiatów cieplarnianych owiniętych w zielony papier. Białe i pomarańczowe lilie, różowe i białe róże, małe żółte słoneczniki, cynie i duże białe chryzantemy. Adresatką była Neva.

— Dostarczono je do redakcji i gdy wróciłam z jednego z popołudniowych wyjść, już na mnie czekały. Kilka dziewczyn, w tym Janet, nie mogło się doczekać, aż otworzę bilecik. Na kartce był nadruk „Z miłością” i ręczny dopisek „od Johna”. Musiałam nieść ten bukiet całą drogę do Barbizonu, a Sylvia i Carol szły za mną i rzucały kąśliwe uwagi. „Wiemy, co ma na myśli — dziękuję za rozrywkę”. Sprawiały, że oblewałam się rumieńcem ze wstydu. Sylvia wydawała się bardziej skora do krytyki niż zazdrosna, czułam się przez nią jak hipokrytka. Za to jej przyjaciółka Carol była zdecydowanie bardziej otwarta i szczerza, jeśli chodzi o własną seksualność. Paradowała w obcisłych krótkich spódnicach, eksponując opalone nogi — dziś to zwykły widok, ale w tamtych czasach dla większości z nas było to szokujące. Sylvii nigdy nie uważałam za seksowną. Przynależała raczej do inteligencji, do której i ja desperacko chciałam dołączyć.

Bardzo prawdopodobne, że Sylvia równie desperacko chciała dołączyć do grupy seksownych i modnych, ukrywając swoją zazdrość pod maską krytyki. Nie miała swojego Johna Appletona na balu w St. Regis. Najprzystojniejszy z jej amantów co prawda zaproponował wypad na Jones Beach w sobotę, ale plany pokrzyżowała ulewa. Po raczej sceptycznej opinii o St. Regis, a także z powodu zepsutego deszczem weekendu, Sylvia zapewne nie cieszyła się zbytnio szczęściem Nevy.

TAURIE TOTTEN: Dni powszednie były niezwykle duszne, a w weekendy, choć wolne od pracy w „Mademoiselle”, jakoś zawsze padało. W każdą sobotę i niedzielę tego czerwca! Weekendy miałyśmy dla siebie, ale plany wypadu na plażę z chłopakami z przyjęcia w St. Regis nie mogły dojść do skutku.

Tymczasem John Appleton porywał Nevę do swojego wiejskiego domu nad rzeką Hudson, wznecając coraz gorętsze plotki.

— W ramach przygotowań spryskałam kwiatowymi perfumami tył nóg — chyba gdzieś przeczytałam, że tak się robi. W swoim domu John był jeszcze bardziej swobodny. Zawsze świetnie się ubierał, co przypomniało mi historię, która

za każdym razem mnie rozśmiesza. Otóż kiedyś znajomy pospiesznie wracał do domu, by przebrać się w „strój do badmintona”, czyli w bawełniany sweter z dekoltem w serek, obrębiony czerwonym i niebieskim paskiem, oraz białe szorty. Właśnie coś takiego miał na sobie John podczas naszego wiejskiego weekendu. Kolację jedliśmy po europejsku, o dwudziestej pierwszej trzydzieści, po wypiciu sporej ilości wina w altanie z widokiem na rzekę. Kolacja była zadziwiająco skromna — zaledwie duża sałata serwowana w drewnianej misie i grillowane steki.

Sylvia żyła dla takich wysokich arystokratów w strojach do badmintona posiadających wiejskie domki. Więc gdy Neva w poniedziałkowy rano niepostrzeżenie wróciła do Barbizonu, prawie na nią naskoczyła. Zasadziła się na nią w łazience, by dokładnie ją przepyttać. Neva udawała śmiałość:

— Och, to był po prostu zwykły weekend na wsi.

A potem uciekła. Co dziwne, Sylvia, którą zawsze interesowały fakty, przyjęła taką odpowiedź, po czym wymyśliła koleżance zdumiewające i bez wątpienia ironiczne przezwisko — Świętoszka.

Sylvia naprawdę jaśniała w towarzystwie mężczyzn i bez oporów z nimi flirtowała. Miała w sobie to coś, co właściwe jest młodości, a na dodatek silną, musującą, niemal kipiącą osobowość. Pewne jej manieryzmy należały do wręcz arystokratycznych, niezależnie od tego, czy bawiła się akurat na balu debiutantek, czy zbierała fasolę na farmie w Massachusetts. Była przebojowa jak ówczesne perfumy, krzykliwe zapachy w stylu Youth Dew, pełne ambry i aldehydów — mocne zapachy, które dominowały przestrzeń.

— Miała powodzenie u chłopców — wspomina Marybeth Little. A na pewno podobała się młodemu redaktorowi Vance'owi Bourjaily'emu. Vance miał trzydzieści lat. W sobotnie popołudnia prowadził zakrapiane zajęcia dla pisarzy w tawernie Pod Białym Koniem, a „Mademoiselle” zaprosiła go, by poznał wszystkie tegoroczne Millies.

POWODZENIE U CHŁOPCÓW

Sylvia przyciągała mężczyzn, którzy byli wyraziści i elokwentnie wyrażali swoje uczucia wobec niej. Jej przyjaciel Eddie Cohen mówi, że chodziło o „detale”: brązową opaleniznę, koci sposób, w jaki związała się na kanapie w restauracji, zwyczaj wystawiania czubka języka. Dick Norton podziwiał w niej pasję życia i to, jaką radość czerpała z „tworzenia i doprowadzania do końca”. Jej wewnętrzny blask sprawiał, że „zaledwie ładna” dziewczyna przeistaczała się w „szalenie atrakcyjną”.

Vance był nią całkowicie oczarowany. Dwie dekady później pisał o niej jeszcze: „Spójrzcie na zdjęcia — Sylvia była kształtna. Nawet gdy na czymś bardzo jej zależało, zachowywała umiar i dyscyplinę. Pełna emocji, błyszczała, kusiała

mężczyzn i kobiety, prowokowała sytuacje. Potrafiła zdominować, rozbawić, flirtować, zaimponować, kusić, maskować się i zwyciężyć”**61**».

61» Paul Alexander, *Ariel Ascending: Writings About Sylvia Plath*, New York 1975, s. 145.

KOWBOJ

*Tamtego lata coś wisiało w powietrzu.
Wszystkie chciały zacząć uprawiać seks
bez ograniczeń. Pod koniec miesiąca
spieszyliśmy do domów, żeby
powychodzić za mąż.*

neva nelson

Następnego wieczora po przyjęciu w St. Regis dwadzieścia dziewcząt upchniętych w trzy taksówki stało w korku. Utknęły w drodze do City Center for Music and Drama, gdzie miały obejrzeć cztery balety pod rząd. Samochód Nevy i Janet stał jako pierwszy. Mężczyźni czaili się wokoło, paląc papierosy na chodnikach pod markizami. Dla takiego kowboja dyskdżokeja jak Art Ford dziewczęta stanowiły niezłą okazję.

— Co takie ładne dziewczyny robią w tym korku?

Art Ford był jak wilk, „sprytny i z ostrymi zębami”. Proponował drinka i towarzystwo jego „przyjaciół”. Miał na sobie czarny kowbojski kapelusz, wielki i dominujący jak u Johna Wayne’a. Neva zareagowała natychmiast:

— Spróbuj w samochodzie za nami.

Niewzruszony Art przeszedł do kolejnej taksówki — tej, w której siedziały Carol, Sylvia i Laurie Totten. Neva i Janet wyglądały przez okno, ciut nerwowo, z lekkim poczuciem winy. Neva wciąż gniewała się na Sylvię i Carol za to, że wprawiły ją w zakłopotanie w związku z bukietem. Teraz mogła się odegrać. Czy po tych wszystkich przechwałkach naprawdę wykonają jakiś ruch?

LAURIE TOTTEN: Byłam zaszokowana, gdy zobaczyłam, że Carol LeVarn z nim rozmawia, a potem wysiada wraz z Sylvią, gdy my powoli odjeżdżałyśmy... Kompletnie to do Sylvii nie pasowało, nigdy jej nie postrzegałam jako poszukiwaczki przygód. Nie wydawała się mieć wiele wspólnego z Carol.

Żadna z nich nigdy wcześniej nie spotkała Arta, ale nie był im tak całkowicie nieznany. Cieszył się popularnością jako prezenter radiowy. Sylvia o nim słyszała. Określono go nawet w „Mademoiselle” mianem jednej ze wschodzących gwiazd Nowego Jorku. Wydawał się sympatyczny, a poza tym był wysoki — szczególnie

w kowbojskich butach.

o

Chodzimy na randki, zabawiamy się i jeśli jesteśmy grzeczne, w pewnym momencie odmawiamy.<62> [...] Mam w sobie za dużo sumienia, żeby łamać obyczaje bez katastrofalnych skutków; mogę tylko stać przed tą barierą i zazdrościć, nienawidzić chłopaków, którzy mogą swobodnie, bez wątpliwości zaspokajać głód seksu i pozostać sobą, podczas gdy ja łączę na coraz to nowe randki, omdlewam z pożądania i zawsze wracam niespełniona. Aż mnie mdli od tego wszystkiego.<63>

Dezaprobatą to dla kogoś takiego jak Sylvia — przyzwyczajonego do zadowalania innych — kusząca opcja. Nie wydarza się nic ponad „omdlewanie z pożądania”, a tu nagle pojawia się Art Ford z ciekawą alternatywą.

Dziewczęta wyskoczyły z samochodu. Nowy Jork otworzył swoje wrota.

62> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., sierpień 1950, s. 21.

63> Tamże, s. 27.

DANSE MACABRE

*Jacques był jak dżem na kromce
z masłem.*

laurie glazer

Sylvia i Carol wypłyły kilka drinków w towarzystwie Arta, a i tak udało się im dotrzeć na czas do City Center — tego wieczoru występowali: Maria Tallchief, Tanaquil LeClerq i Jacques d'Amboise. Za kulisami d'Amboise w trykocie rzucającym złote i różowe refleksy wywoływał poruszenie, rozdawał uśmiechy i pozował do zdjęć. Kilku stażystkom udało się wcisnąć do wspólnego zdjęcia, ale Sylvii już wśród nich nie było. Jej wieczór jeszcze się nie kończył.

Wierna swojej ambitnej naturze, po balecie umówiła się na randkę w ciemno z Melem Woodym, wysokim jasnowłosym studentem drugiego roku w Yale. Randkę zaaranżował wspólny znajomy. Wybrali się na przechadzkę po Trzeciej Alei, kolekcjonując po drodze butelki chianti, a potem rozsiedli się wygodnie przy kuflu piwa w kawiarence pod gwiazdami. Mel recytował swoje wiersze, a uliczny skrzypek grał romantyczne serenady. Sylvii bardzo podobała się jego galanteria i okazywany zachwyt jej osobą. Miała — jak zwykle — usta mocno pomalowane na czerwono, a Mel zbliżył się na tyle, by wyczuć kwiatowy zapach szminki. Sylvia była ujmująca, lecz nie na tyle piękna, by wygląd przeważał nad osobowością. W efekcie to jej entuzjazm — seksowny długonogi optymizm — działał na mężczyzn. Tak więc, choć przez następny rok miał jej nie zobaczyć, Mel Woody zakochał się w Sylvii tamtej nocy w Village, w oparach chmielu, dymu i sfermentowanych winogron.

KAC

Sylvia uwielbiała być na kacu, pod warunkiem że mogła wtedy pić sok, jeść zimne brzoskwinie i pisać w swoim dzienniku. Lubiła ten stan radosnego i uzasadnionego wyczerpania. Taki dzień spędzała w łóżku, ponownie przeżywając minioną noc i opisując ją szczegółowo w oprawionym w czerwoną skórę notesie — jaką założyła sukienkę, jakie koktajle piła. Przeważnie mogła pić bez skutków ubocznych, choć potrafiła kompletnie się zalać, jak na weselu Marcii Brown w czerwcu 1954 roku. Wtedy całe popołudnie sączyła białe wino, siedząc przy barze w satynowej sukience druhny i z ozdobioną materiałowymi kokardkami opaską we włosach. Podczas pobytu w Cambridge pijała dużo sherry — zwykle w samotności, pogryzając krakersy i prażone migdały, zamartwiając się paryskim

ukochanym, który być może zdradzał ją z pewną Szwajcarką. Ulubionym drinkiem Sylvii było truskawkowe daiquiri.

O trzeciej nad ranem wróciła do Carol i Arta i poszła z nimi na tańce do klubów jazzowych w Village. Art tylko udawał kowboja. Tej nocy Sylvia odegrała już przy Melu rolę Królowej Kier, więc teraz mogła z ulgą przeistoczyć się w Damę Dworu. Tańczyła, piła i napawała się nowym obliczem Nowego Jorku — dziewczynami, które nie nosiły latem nylonowych pończoch, i mężczyznami o rozwianych włosach i w rozpiętych koszulach. Niewątpliwie to ją ekscytowało, cieszyła się, że może poznawać miasto mimo późnej pory i widma pracy następnego dnia od godziny dziewiątej.

Minęła piąta nad ranem, gdy Sylvia wracała do Barbizonu — piechotą. Nigdy nie pozbyła się odziedziczonej po matce skrajnej oszczędności. Unikała taksówek, a pieszą wędrowkę z Greenwich Village na Lexington Avenue miała za nic. Ubrania to zupełnie inna sprawa. Wolałaby mieszkać na ulicy albo jeździć stopem, by następnie lekką ręką wykosztować się na cudowny kaszmirowy sweter lub piękny brokatowy płaszcz. Lekkomyślnie i nieroztropnie wróciła sama, a potem zasnęła głęboko w swoim hotelowym łóżku.

W końcu była przyzwyczajona do takich rzeczy — do picia brandy aż po świt.

Pieniądze tu przeciekają przez palce, nie zamierzam więc już nigdy brać taksówki i wszędzie chodzić.

sylvia plath, *letters home*

ODSŁONIĘCIE SIĘ

*Wszystkie widziałyśmy, jak wrażliwa
jest Sylvia — nie była w stanie znieść krytyki.*

neva nelson

Inne niż Sylvia: gładkie, wytworne dziewczyny, które się widzi w pociągu. Dziewczyny, które nigdy nie mają kaca, a w ich kosmetyczkach nie znajdziesz podartych chusteczek ani rozgniecionej szminki. Dziewczyny, które są zawsze świeże, mają świetne dodatki i zawsze są gotowe na randkę, drinka czy teatr. Dziewczyny, które niemal codziennie wieczorem wychodzą, ale nigdy nie zostają do późna. Dziewczyny, które przed ekskluzywnymi kolacjami dyskretnie perfumują się shalimarem.

Sylvia: Blond czupryna. Zmięte sukienki. Wieczorowa torebka zdobiona szklanymi paciorkami. Kac odgrywany z patosem niczym grecka tragedia.

W przeciwieństwie do Carol, która wcześniej skończyła swoje zadania i mogła teraz odespać, Sylvia musiała się stawić w redakcji o dziewiątej następnego ranka. Miała bowiem spotkanie z powieściopisarką Santhą Ramą Rau. Potwornie się bała — podczas spotkania chciała być w jak najlepszej formie. Niestety brak snu i szaleńcze tempo pracy sprawiały, że czuła się zmordowana i roztrzęsiona. Była wycieńczona, nadmiernie pobudzona i miała zbyt wielkiego kaca, by udawać zwawość i entuzjazm. Gdy dowlekleła się do Celi, dolna warga wisiała jej jak płatek maku — wszyscy to dostrzegli. Polly Weaver nakryła ją nawet, jak pochylona nad biurkiem Cyrilly płakała, że musi pracować do późna.

Nie chodziło tylko o kaca. Sylvia planowała akurat tego dnia pojechać do Wellesley, gdyż jej brat miał otrzymać dyplom. Ukończył właśnie Exeter — sama ta nazwa brzmiała tak kulturalnie i zielono.

o

ANN BURNSIDE: Pod koniec każdego dnia miałyśmy zjazd. Byłyśmy wyczerpane psychicznie, w pracy musiałyśmy funkcjonować na zupełnie innym poziomie niż kiedykolwiek wcześniej... W dodatku całymi dniami w towarzystwie Gigi Marion, na tyle szczupłej i eleganckiej, że mieściła się w najmniejsze kostiumiki.

o

JANET WAGNER: Po codziennej harówce w biurze i dodatkowych

wydarzeniach, w których miałyśmy uczestniczyć, zawsze byłam śmiertelnie zmęczona. Ale chodziłam na wszystkie — pewnie dlatego Sylvia przezywała mnie Kowbojką Polyanną.

o

Poza tym w mieście panowała okropna spiekota.

„W Nowym Jorku jest koszmarnie gorąco” — Sylvia pisała do Warrena. — „Wilgoć jest dobijająca i zdycham na myśl o naszym czystym, niezakopconym, zielonym podwórzu” <64>.

Pozostałe dziewczęta też zaczynały się tak czuć. Były przemęczone, wymizerowane i przybrudzone. Pokryte warstwą kurzu i pyłu pończochy osuwały się, tworząc obręcz wokół kostek niczym luźna skóra słoniątka. Jednak bycie częścią „Mademoiselle” oznaczało wieczną gotowość do pozwania przed aparatem — samo to było pracą na pełen etat.

Sylvia doceniała światowe życie — chłodny powab piękności z Park Avenue, chemiczną woń salonu Richarda Hudnuta, jego witryny zapchane ślicznymi flakonami lotionów do układania włosów, szamponów i farb. Jednak bez swoich ukochanych plaż zaczynała więdnąć. Lato było po to, żeby całymi dniami czytać i się opalać — słońce „ozłacało ją spokojem”. Oliwa z oliwek na skórę, sok z cytryny na włosy, a wieczorami kilku adoratorów i kilka schłodzonych piw. Na plaży jej włosy zawsze zachowywały świeżość dzięki szamponowi Halo, który je wygładzał i dodawał jedwabistego blasku. Poza tym lubiła swoje stopy spalone słońcem, brązowe i mniejsze niż zwykle, paznokcie u stóp wydawały się wtedy jasne jak małe perły. Teraz w Nowym Jorku Sylvia stała się poźółkła i lepka od potu. Wyglądała na chorą i tak się czuła.

o

Jestem wykończona forsowną pracą w redakcji, upałem i wieczornymi rozrywkami. Pragnę wrócić do domu, spać i spać, grać w tenisa, odzyskać opaleniznę (w tej chwili jestem chorobliwie żółta). <65>

o

Któregoś deszczowego weekendu jadła lunch z Margaret Affleck w pobliskiej restauracji. Sylvia wydawała się podenerwowana i niecierpliwa — dlaczego nikt jej nie obsługiwał? W restauracji był tłum ludzi i zbyt mało personelu, ale według niej kelnerzy celowo ją lekceważyli.

— Ignorują nas — syczała.

Upłynęła ledwie połowa miesiąca w „Mademoiselle”, a ona była niedożywiona, odwodniona i wypłukana z całej swojej iskrzącej energii.

W rzadkich momentach słabości Sylvia zaczynała się odsłaniać.

PIĘKNO WITALNOŚCI

Wigor. Witalność. Ulubione i najczęściej używane przez Sylvię słowa. W sierpniu 1952 roku w „Mademoiselle” ukazał się artykuł o zdrowiu zatytułowany *Piękno witalności*, w którym namawiano czytelniczki, by „zachowały twarz”. Proponowano konkretne rozwiązania. Leżenie na twardej podłodze, by się wyprostować. Jedzenie protein. Lepiej, jedzenie słodczy! Najnowsze badania dotyczące żywienia dowiodły, że „rozsądna” dawka cukru nie idzie w biodra. Trzeba tylko unikać słodkości, gdy się jest zmęczoną, w miarę możliwości drzemać w ciągu dnia i łykać witaminy. W cięższych przypadkach lekarz mógł zalecić koktajle, szklaneczkę sherry lub koniaku, by „odciąć się” na chwilę między nerwówką od dziewiątej do piątej a eleganckim wieczornym wyjściem. Sylvia Plath może i czuła większą presję, by wyglądać świeżo przez cały dzień, ale wtedy przynajmniej lekarze polecali drinki, a w dodatku można sobie było wypalić papierosa (lub dziesięć) bez pogrążania się w wyniszczającym poczuciu winy.

64› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 120.

65› Sylvia Plath, *Listy do domu*, dz. cyt., s. 92.

BURZA

Przez resztę miesiąca Carol umawiała się z Artem Fordem. W ramach przysługi dla Laurie Glazer, która interesowała się aktorstwem, umówiła ją ze słynnym dyskdzokejem na rozmowę. Kiedy Laurie dotarła do apartamentu Arta, ten otworzył jej drzwi w samym tylko kusym ręczniku. (Niestety jego starania poszły w tym przypadku na marne, gdyż dziewczyna zapamiętała go jako „podejrzanego i śliskiego, małego zabawnego typka”). Art kazał jej usiąść na kanapie, usadowił się tuż obok i łapał ją za kolano. Przymiłał się: „Oto narodziła się gwiazda. Musisz jedynie oddać mi się w opiekę”. Rzucił jej mikrofon posklejany taśmą i kazał śpiewać, po czym zignorował ją i poszedł się golić.

— Moje sceniczne ambicje wkrótce po tym wygasły — powiedziała później Laurie.

Sylvia uwielbiała ten typ *comédie des moeurs*. Laurie znalazła w niej zaangażowaną publiczność. Nie miała sobie równych jako przychylna słuchaczka. Jeśli się z nią wystarczająco długo rozmawiało, w końcu wydobywała z mówiącego zabawniejszą, mądrzejszą i ciekawszą wersję jego samego.

Tamtej nocy dziewczyny wypity w pokoju butelkę ciepłego białego wina. Sylvia słuchała z ożywieniem, rozbawiona maleńkim ręczniczkiem i mikrofonem sklejonym do kupy taśmą.

— Zwiałam stamtąd — powiedziała Laurie.

Sylvia zaś odparła:

— I teraz, gdy łyżeczkę na spodeczek złożę, / Miałbym postawić rzecz na ostrzu noża?

(Zaimponowała mi dowcipem. Dopiero kilka lat później odkryłam, że to wersy z *Prufrocka* 66, nie z Plath, i głupio mi się zrobiło z powodu takiej ignorancji — mówi Laurie).

— Nie wydaje mi się, żebyś chciała zostać piosenkarką — stwierdziła Sylvia. — Może lepiej trzymaj się pisania.

Później rozmawiały o *Burzy*. Laurie zapisała w pamiętniku: „Twierdziłam, że Ariel to kobieta, a ona, że mężczyzna... Według S. Ariel to męska, zwierzęca siła, wybuchowa głębia. Ale dla mnie powietrze, niebo, kobiecość...”.

LAURIE GLAZER: Uzgodniłyśmy wtedy, że nie będziemy się spieszyć ze ślubem, o ile w ogóle wyjdziemy za mąż. Nie chciałyśmy „skończyć w podmiejskich pudełkach”. Byłyśmy odrobinę bardziej feministycznie nastawione niż inne dziewczyny. Kończyłyśmy Smith i Mount Holyoke, a były to szkoły

żeńskie. Chyba się trochę zdziwiłyśmy, gdy po skończeniu college'u dotarło do nas, że reszta świata jest w porównaniu do nas daleko w tyle, jeśli chodzi o poglądy. W dziennikarstwie byłam tak samo dobra jak każdy mężczyzna. Nie miałam co do tego wątpliwości. Nigdy nie widziałam Sylvii w psychotycznym stanie, ani też histerycznie rozchichotanej albo pogrążonej w depresji. Musiałyśmy tamtej nocy przegadać z tysiąc tematów. Sylvia zawsze była oszałamiająca. A wtedy w stu procentach.

W 1967 roku Laurie Glazer nada swojemu pierwszemu dziecku — córce — imię Ariel.

66 Chodzi o wiersz T.S. Eliota *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

PTOMAINA

*Mam koszmary o bombie wodorowej,
a pan o czym?*

marilyn monroe w wywiadzie
z alanem levym, 1962

Szesnastego czerwca, we wtorek rano, stażystki zwiedzały agencję reklamową Batten, Barton, Durstine and Osborn (BBD&O). W „eksperymentalnej kuchni” agencji przygotowano dla nich lunch. Chępnio się „całkowicie zdrowym” jedzeniem, a w menu znalazły się kraby z sałatką z awokado (ulubione jedzenie Sylvii, która przepadała za awokado, owocami morza i każdą wersją sałaty). Brała więc sobie dokładki. Po lunchu wracała jedną taksówką z Janet Wagner. Ta w samą porę zauważyła, że koleżanka robi się zielona z powodu mdłości i kazała kierowcy natychmiast się zatrzymać. Sylvia zwymiotowała na krawężnik. Okazało się, że mięso z krabów było zepsute — trzymano je zbyt długo na czerwonym żarze. Po powrocie do Barbizonu Sylvia poszła prosto do wspólnej łazienki na korytarzu. Wkrótce już miała towarzystwo. Przez całą noc, aż do godzin porannych dziewczęta wymiotowały. Kilka wezwało hotelowego lekarza, który — jak zwykle — okazał się nieosiągalny. W zatłoczonej łazience panował bałagan — zapach wymiotów mieszał się z wonią mydła French Fern Yardleya. Dziewczyny pchały się pod prysznice, usiłując wypłukać wymiociny z włosów. Biegały tam i z powrotem między łazienką a pokojami, gdzie otwierały okna, by wpuścić do środka świeże powietrze. Ta ponura sytuacja dotyczyła niemal wszystkich dziewcząt.

Laurie, podobnie jak jej koleżanki, obudziła się w nocy z silnymi bólami brzucha.

o

LAURIE GLAZER: Później odkryłam, że bóle porodowe są względnie mniej przykre. Zanim dotarłam do łazienki, już miałam towarzystwo... Chyba tylko dwie z nas czuły się dobrze. Kilka dni później przed każdy pokój dostarczono od BBD&O kosz owoców i książkę — zbiór opowiadań Hemingwaya. Żartowałyśmy sobie, że strucie gości to nie najlepsza strategia reklamowa jak na drugą co do wielkości agencję reklamową na świecie.

o

Następnego ranka kilka dziewczyn było w stanie wyjść z hotelu. Janet, która nie ucierpiała tak mocno jak Sylvia, czuła się na tyle dobrze, by chwiejnym krokiem udać się do Continental Café i napić się herbaty oraz zjeść tost. Wciąż słaba po zatruciu dała jednak radę zająć się obowiązkami.

Sylvia tego dnia w ogóle nie opuściła Barbizonu. Dogorywała w łóżku przez cały poranek, potem przywdziała szlafrok w chabry i powlekła się do czystszej już łazienki. Otworzyła okno i naląła do wanny gorącą wodę — kąpiel była lekiem na wszystko: bezsenność, rozstania i zapalenie zatok.

Tym razem jednak nie pomogła. Lśniąca powierzchowność Sylvii wciąż nie współgrała z jej bagnistym wnętrzem. Cztery tygodnie w Nowym Jorku dowiodły, że blask i brud wcale się wzajemnie nie wykluczają. Ta Sylvia, która przetrwała, była silniejsza — zatrucie pokarmowe, choć nieprzyjemne, nigdy więcej nie wyrządzi jej szkód psychicznych. Teraz jednak czuła niepokój i roztrzęsienie. Leżała w wannie i przeszywały ją dreszcze, uwalniając cały absurd poprzedniej nocy — paskudztwo, wymioty i pierwszy przyjemny powiew świeżego powietrza — dużo drobnych wątków do opisanie. W osobistym kalendarzu, na stronach szesnastego i siedemnastego czerwca na ukos nagryzmoła wielkimi czerwonymi literami: ZATRUCIE PTOMAINĄ. Musiała czerpać jakąś perwersyjną przyjemność ze słowa „ptomaina”, z jego brzmienia, zapisywania go w kalendarzu, dzienniku, w powielanym grafiku „Mademoiselle”, w listach do Warrena i Aurelii, wreszcie także w *Szklanym kloszu*.

Izolátky nie były Sylvii obce. W college’u spędziła długie tygodnie w lecznicy z powodu zapalenia płuc i zatok. Podobała się jej estetyka rekonwalescencji — „wykrochmalona czystość [pielęgniarek] i to, że zawsze krzątają się wokół gotowe przyjść z pomocą”⁶⁷. Białe porcelanowe miseczki z rosółem, słone krakersy, procedury i rzeczowe rozmowy. W lecznicy akceptowano, a nawet mile widziano po prostu bycie.

DZIENNIKI

Sylvia Plath nie udokumentowała lata spędzonego w Nowym Jorku — cały miesiąc został ujęty w jednym wpisie. Poza tym jednak obsesyjnie prowadziła dziennik. Zaczęła jako dziewięciolatka od zamykanego na klódeczkę pamiętnika, potem pisała na papierze milimetrowym w czerwono-czarnych notesach o twardej oprawie, aż wreszcie na luźnych arkuszach papieru. Sylvia nigdy nie przestała pisać o sobie, swoim życiu i ludziach, których napotykała, a jej staranne okrągłe pismo nie zmieniło się przez całe jej życie.

Dzienniki pokazują osobę niezwykle skoncentrowaną na rozwiązaniach. Nawet podczas najciemniejszej rozpaczki jej myśli są cudownie praktyczne, galopują w określonym kierunku. Sylvia nie była zwolenniczką wędrowania po

ciemnych zaułkach umysłu dla samego tylko wędrowania — absolutnie fascynował ją świat zewnętrzny, materialny, i tam chciała pozostać.

Nastało gorące popołudnie, a ona wciąż moczyła się w hotelowej wannie. Zbierała siły — nie tylko po ptomainie, lecz po gwarze i hałasie Nowego Jorku. Dla Sylvii, której potrzeba nowych doświadczeń przewyższała nawet potrzebę pisania, wanna stanowiła spokojne czyste miejsce, gdzie można było przetworzyć całą wrzawę. Pomyślała o ostatnim pobycie w szpitalu w marcu, kiedy siedziała w wannie z masażem i zdejmowano jej z nogi gips. O tym, jak — zamiast ulgi — przeżyła szok na widok swojej chudej łydki, porośniętej czarnymi włosami. I o tym, jak potem, w poczekalni, podeszły do niej dwie studentki pierwszego roku i zapytały:

— Czy to ty piszesz do „Seventeen” i „Mademoiselle”?

I wtedy wśród woni aspiryny i mydła dotarło do niej, że wszystko układa się tak, jak powinno.

67> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 5 marca 1961, s. 584.

DELEGAT

Och, Europo! Tono miodu!

sylvia plath, *the swarm* [rój]

W czwartek osiemnastego czerwca czuła się już na tyle dobrze, by wziąć udział w jednej z głównych atrakcji zorganizowanych przez „Mademoiselle” — wizycie w siedzibie ONZ. Wczesne powojenne lata przyniosły nowe znaczenie międzynarodowości. U Bloomingdale’sa można było kupić „międzynarodowe” kolory: letnią sukienkę we francuskim błękitcie, szminkę w rosyjskiej czerwieni. W 1953 roku budynek kwatery głównej ONZ stanowił kaganek światowego pokoju. Szklana fasada, stalowe wsporniki i betonowe podłogi były proste, ascetyczne i nowoczesne. Nowa, czysta architektura podobała się Sylvii i intrygowała ją lśniąca geometrią.

Redakcja magazynu zaplanowała zwiedzanie budynku, a następnie lunch w stołówce delegatów. Wyjście to przydarzyło się w idealnym momencie — wieczorem tego dnia Sylvia miała umówioną randkę z jednym z tłumaczy symultanicznych ONZ Garym Karmiloffem, który dostał jej numer od matki jej ekschłopaka z college’u Dicka Nortona. Dwunastego czerwca zadzwonił, by zaproponować randkę w nadchodzącym tygodniu. Przez telefon „nie brzmiał na postawnego”, zatem Sylvia niechętnie planowała rezygnację z wysokich obcasów. Nowy Jork straszliwie ją już męczył, więc liczyła na to, że w weekend odpocznie i odzyska zapał. Pisała do Aurelii: „Trzymaj kciuki, żeby dobrze poszło”. Ray Wunderlich z ostrygami i *Jeziorem łabędzim* sprawił, że Nowy Jork kojarzył się Sylvii ze światowymi, wyrafinowanymi, europejskimi mężczyznami. Gary ze swoimi nienagannymi manierami i europejskim akcentem pasował jak ulał. Sylvia liczyła, że odczaruje dla niej Nowy Jork.

Zanim jeszcze spotkali się w lobby hotelu Barbizon, zakwalifikowała go jako dobrze jej znany typ — obcokrajowca. Prototyp został odkryty poprzedniego lata w postaci Attili A. Kassaya, Węgry z uniwersytetu Northeastern. Attila miał „uroczy nosowy głos”, dużo się śmiał, choć rzadko uśmiechał. Miał dłuższe czarne włosy, które stanowiły egzotyczną odmianę w zestawieniu z krótkimi fryzurami Ligi Bluszczowej. Miał też w sobie subtelną powagę wynikającą z doświadczenia wojny. Został wydalony z poprzedniej uczelni z powodów politycznych, a niedawno otrzymał pięcioletnie stypendium na uniwersytecie Northeastern. Nosił obcisłe niebieskie kąpielówki i eksponował opaleniznę. Był także kalwinistą. Sylvia lubiła z nim tańczyć, bo przyciskał ją do siebie mocno i nie musiała się

martwić krokami.

Obdarzony był bowiem czymś, czego nie miał żaden znany mi amerykański chłopiec, a mianowicie intuicją.

sylvia plath, *szklany klosz*

Gary zabrał ją do restauracji w Greenwich Village i odkrył dla niej greckie wino i bałajkę. Różniło się to bardzo od jadłodajni Howarda Johnsona i Hamburger Heaven, gdzie wszystko było gładkie jak mleczny koktajl i akryl. Spełnionych zostało wiele warunków: wino, bistro, Bartok, jogurt, symfonia Góreckiego. Imponowało jej tego rodzaju wyrafinowanie w stylu Starego Świata i ochoczo pragnęła przeżywać coraz więcej. Napisała w liście do Warrena, że Gary to „najinteligentniejszy i najcudowniejszy mężczyzna świata..., najwspanialszy i najmiłszy człowiek, jakiego spotkała w życiu”. Choć był „o tragedio, nieco niższy od niej”, dodała, że „chyba do końca życia będzie szukać po całym świecie jego alter ego”⁶⁸.

Sylvia bardzo łatwo zakochiwała się i odkochiwała. Ale Gary, podobnie jak inni mężczyźni, odgrywał w jej historii jedynie rolę drugoplanową.

ONZ dla Sylvii to nie międzynarodowa dyplomacja. To Europa. Tak jak jej wielkie poprzedniczki: Edith Wharton, Gertruda Stein i Djuna Barnes, Sylvia w momentach kryzysu jechała do Paryża. Europa wzywała ją, oferując szansę, bezpieczne miejsce do wymyślenia się na nowo. Tamtego dnia w 1953 roku Europa nadal była zaledwie ideą. Sylvia myślała o Garym, Attili, może nawet o spędzeniu roku za granicą, sącząc firmowy koktajl ONZ — dubonnet z wermutem i anyżówką.

Gary był „najcudowniejszym mężczyzną na świecie” przynajmniej przez ten jeden miesiąc. Sylvia już nigdy się z nim nie spotkała.

Kiedy Amerykanka albo Amerykanin mówią, że chcą się z kimś jeszcze spotkać, to znaczy, że nic ich nie obchodzi, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczą.

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
31 sierpnia 1952

⁶⁸ Sylvia Plath, *Listy do domu*, dz. cyt., s. 92.

ROSENBERGOWIE

*Mogłabym pokochać rosyjskiego chłopaka
— i żyć z nim.*

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
listopad 1950

— Zorientowałam się, że Sylvia jest wyjątkowo wrażliwą osobą w dzień egzekucji Rosenbergow — wspomina Neva. — Było to, zdaje się, wczesnym rankiem dziewiętnastego czerwca. Kiedy zesłam do kawiarni w hotelowym lobby, Sylvia już tam siedziała na jednym z wysokich krzeseł przy barze. Usiadłam obok niej i zamówiłam moje ulubione ciastko i białą kawę. Zauważyłam, że jest roztrzęsiona, czymś się przejmuję, więc zapytałam, o co chodzi. Powiedziała coś o „smażeniu”, które zapewne właśnie miało miejsce i wskazała na nagłówki gazet leżących w kącie. Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Nie wywodziłam się ze środowiska zbytnio interesującego się polityką, czytywałam jedynie lokalne gazety. Ona zaś była niezwykle poruszona. Ja nie wiedziałam nawet, czym różnią się goje od Żydów. Chyba Sylvia po trosze sama czuła się Żydówką. Moja ignorancja okropnie ją zezłościła. Nie mogła uwierzyć, iż jestem tak tępa i powiedziała coś w stylu: „Ale zdajesz sobie chyba sprawę, że zabijają ich, bo są Żydami, co?”. A ja zapytałam: „Dlaczego mieliby zrobić coś takiego?”. Odparła: „Wiesz, kim są Żydzi, prawda?”. Przytaknęłam, przecież Chrystus był Żydem. Rzuciła tylko: „Jak można być tak głupią?”. A kiedy wyszliśmy na ulicę, oznajmiła, że nie ma ochoty na moje towarzystwo i chce, bym „zostawiła ją w spokoju”. Ale poszłam za nią na stację metra, bo widziałam, że jest naprawdę zdenerwowana. Dostała pokrzywki, pewnie od czegoś, co zjadła, mogła więc zasłabnąć i potrzebować mojej pomocy. Ona jednak, zamiast pójść w stronę właściwego peronu, weszła w boczną, wyłożoną kafelkami łukowatą odnogę, szukając schronienia przed nadjeżdżającym metrem. Z kabli zwisających tuż nad nią leciały iskry. Powraca do mnie ta scena: Sylvia z rękami pokrytymi czymś podobnym do gęziej skórki obejmuje sobie głowę, przerażona hukiem zbliżającego się pociągu. Do tego te skrzące się iskry, jak gdyby i ona miała być stracona na krześle elektrycznym. Dotarło do mnie, że jeśli tam z nią zostanę, również spóźnię się do pracy. Nie mogłam już dłużej znieść obrzydliwego zapachu stacji metra, więc wyszłam na powierzchnię, na parujący asfalt ulic czerwcowego Nowego Jorku.

Sylvia reagowała szybko i fizycznie — nie tylko „w kościach”, lecz w krwiobiegu, mięśniach i ścięgnach. Przyjemność, obrzydzenie, euforia, strach —

wszystko odczuwała całym ciałem. Według Laurie Totten oburzenie Sylvii było w tym przypadku natury estetycznej.

— Nie odnosiła się do politycznego aspektu tej sprawy i raczej żałowała ich bardziej ze względu na metodę egzekucji — jak każdy, kto cenił formę — niż ze względu na to, że mieli umrzeć.

Laurie nie uważała wyroku na Rosenbergach za niesprawiedliwy. Neva, Janet, Diane i inne dziewczyny nawet o nich nie słyszały. Tymczasem przyjaciel Sylvii Phil McCurdy protestował w Waszyngtonie, wznosząc transparenty o niewinności tych dwojga. Sylvia wzięła kiedyś w college'u udział w wykładzie Josepha McCarthy'ego zatytułowanym *Czerwony terror*, gdzie wraz z koleżankami i profesorami wyrażała swoją dezaprobatę dla senatora. Nie przywykła do politycznej beczynności. <69>

Jej refleksje o tragedii wojny odzwierciedlały pacyfistyczne przekonania Ottona Platha. (Otto nie nadepnąłby na owada, choć jadał mięso). W 1952 roku Sylvia napisała *Brief Encounters* [Przelotne spotkania] — historię młodego żołnierza, który stracił nogę podczas wojny w Korei. Tekst ten został zainspirowany jej własną randką w ciemno z niepełnosprawnym weteranem, który miał zaledwie dwadzieścia parę lat. I choć Sylvia już nigdy potem go nie widziała ani z nim nie korespondowała, doświadczenie to wstrząsnęło nią na tyle, by przekuć je w literaturę.

Na trzecim roku studiów Sylvia skupiona była na nauce i obarczona mało troskliwym gruźlikiem, z którym się wówczas umawiała. Energię swojego niezadowolenia przekierowała więc na wybory prezydenckie. Uwielbiała Adlaia Stevensona — dzień, w którym przegrał wybory, nazwała dniem żałoby — a w swoim dzienniku pomstowała na makkartyzm. Rozzłościła się na Aurelię, gdy ta zagłosowała na Eisenhowera, i obsztorcowała ją za wspieranie agresywnej polityki zagranicznej Tafta. Jednocześnie dobrze wiedziała, że tak wiele zawdzięcza właśnie kulturze zimnej wojny. W pewnym sensie przecież pławiła się w gorzkim amerykańskim dostatku. Z ironią pisała o „naszym ogromnym, kruchym i soczystym jak stek maślano-kremowym, nadzianym kraju”, będąc świadomą własnej słabości do steków, masła, smakołyków i sosów: majonezu, berneńskiego czy holenderskiego.

W październiku 1950 roku pisała tak:

Uświadomić sobie, że nie możesz być rewolucjonistką. Uświadomić sobie, że chociaż marzysz i wierzysz w utopię, będziesz musiała wiązać koniec z końcem w mieście, w którym się urodziłaś, i będziesz miała szczęście, jeśli ci się to w ogóle uda. Uświadomić sobie, że pieniądze często pomagają żyć i że bez nich życie staje się trudne i traci smak. <70>

Miała niezwykle skomplikowany stosunek do zmarłego ojca. Był z pochodzenia Niemcem, co sprawiło, że zaczęła się identyfikować z ofiarami

Holokaustu. Być może jako po części Niemka czuła się skażona i w pewnym sensie winna.

laurie totten

Powiedziała mi: „Jesteś Żydówką, więc powinno ci zależeć”. Ciągłe pytała mnie o bycie Żydówką. Mówiła, że się ze mną identyfikuje, ale ja byłam wówczas taka głupia i powtarzałam jej tylko: „Ale przecież ty nią nie jesteś”.

laurie glazer

Poważna Sylvia zadrezczała się egzekucją Rosenbergów i makkartyzmem, reszta zaś zachwycała się ślubną bielizną w salonie wystawowym „Vanity Fair”.

ann burnside

Nigdy wcześniej nie byłam nigdzie na wschód od Missisipi. Jeśli chodzi o Rosenbergów, coś mi się obilo o uszy, ale generalnie nie zastanawiałam się nad niczym poza rzuceniem szkoły i wyjściem za mąż za mojego chłopca.

diane johnson

Sylvia czuła się wyobcowana ze społeczeństwa, ale nie ze względu na swoją artystyczną naturę, a na pochodzenie rodziców. Aurelia Schober dorastała podczas pierwszej wojny światowej na przedmieściach Bostonu. Z powodu niemieckiego nazwiska i słabej znajomości angielskiego była prześladowana przez dzieci, z którymi tak bardzo chciała się zaprzyjaźnić. Przezywano ją Szpiegula. Przez całe życie Sylvia identyfikowała się z obcokrajowcami.

Być może dla innych stażystek sprawa Ethel i Juliusa Rosenbergów miała marginalne znaczenie, ale dla niej był to najbardziej ekstremalny i makabryczny przykład antykomunistycznej paranoi makkartyzmu. Zważywszy na jej dzieciństwo naznaczone utratą, niemodne pacyfistyczne poglądy oraz pochodzenie rodziców, Sylvia nie mogła udawać, że nic złego się nie dzieje.

Tamtego dnia sama jeździła metrem bez celu. W liście do Warrena opisuje swoje wędrówki: „Zgubiłam się w metrze, widziałam kuśtykające po wagonie kaleki o krótkich niedorozwiniętych rączkach, zaciśniętych niby różowe bezkosne węże na żebraczej puszcze, nie mogąc odpędzić myśli, że Centralny Ogród Zoologiczny tym się tylko różni, iż ma w oknach kraty”⁷¹.

Sylvia oddana była Pięknu, lecz tak samo pociągało ją Dociekanie. Musiała wszystko obejrzeć pod światło i sprawdzić na okoliczność diabelskiego znaku

wodnego. Wyjść poza zapach koni i siana dokoła Central Parku. Poza woń perfum Arpège i *saucisson* w Café St. Moritz. Poza leśne zapachy roślin doniczkowych i torfu w Celi. W metrze, wśród zapuszczonych kloszardów, którzy zaludniali to miasto, uroczę pliski i kraty lansowane przez „Mademoiselle” zdawały się wyprane z jakiegokolwiek znaczenia.

Tego dnia zanotowała:

Nikt nie wznosi okrzyków, nie buntuje się, nie szerzy się strach. Właśnie to jest przerażające. Egzekucja odbędzie się dziś wieczorem; szkoda, że nie będą jej pokazywać w telewizji... to by było znacznie bardziej realistyczne i kształjące niż kolejny kryminał. Egzekucja dwojga prawdziwych ludzi. Najsilniejszą emocjonalną reakcją Stanów Zjednoczonych będzie wielkie, demokratyczne, pewne siebie, nieskończenie znudzone i niedbałe ziewnięcie.<72>

Był to jedyny wpis do dziennika przez cały czerwiec.

69> Polityka stanowiła stałą część jej wewnętrznego świata. Kilka miesięcy wcześniej Sylvia zasugerowała, krytykując „Mademoiselle”, że w każdym wydaniu magazynu powinno się ukazywać kilka artykułów o „konkretnych problemach społecznych i politycznych” oraz wywiady z politykami.

70> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., październik 1950, s. 42.

71> Sylvia Plath, *Listy do domu*, dz. cyt., s. 93.

72> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., 19 czerwca 1953, s. 527.

[...] *wszystko do muzyki hymnów,
nieziemskich, monumentalnych peanów
na cześć fajnej dziewczyny, fajnego chłopaka,
płciowych organów Ameryki...*

*sylvia plath, dzienniki 1950–1962,
7 czerwca 1952*

TYDZIEŃ
CZWARTY.
La Femme

DOBRA ZŁA DZIEWCZYNA

Czy czasem masz wrażenie, że inne kobiety cię nie znoszą?

Czy jeśli w przepisie jest mowa o odrobinie angostury, ty uważasz, że lepiej będzie dodać więcej?

Czy sobole cię pociągają, nawet jeśli ma je na sobie inna kobieta?

Czy kiedykolwiek chciałaś nosić łańcuszek na kostce?

Takie między innymi pytania zawierała kultowa już reklama szminki w kolorze ponętnego szkarłatu Fire and Ice [Ogień i Lód]. Najślynniejsza modelka Ameryki Dorian Leigh pozowała do zdjęć Richardowi Avedonowi w obcisłej sukni, trzymając dłoń przy twarzy — usta i paznokcie pomalowane były na czerwono. Jesienią 1952 roku dziewczyna Fire and Ice stała się „nową Amerykańską Pięknością”, która „jest flirciarą i kusicielką, syreną i łobuziarą, jest dynamiczna i skromna”. Ten właśnie wizerunek — grzecznej łobuziary — został zaszczeplony w umysłach dziewcząt pokolenia Sylvii.

Ikony takie jak Marilyn Monroe również wysyłały podobnie ambiwalentny komunikat. W 1953 roku projektant sukni dla Monroe William Travilla dostał od szych z Hollywood wytyczne, zgodnie z którymi miał sprawić, że będzie ona seksowna, ale nie rozebrana. Rezultaty? Złota promienista suknia pokryta metalem, gorsetowe stelaże, niewidzialne druty, obszycia usztywniającą taśmą, strusie pióra. Ważąca dwanaście kilogramów suknia z różowej satyny, dopasowana idealnie do figury Marilyn. Miała ją na sobie podczas numeru *Diamonds Are a Girl's Best Friend* z filmu *Mężczyźni wolą blondynki* i nie widać ani kawałka nogi, kiedy w niej tańczy.

Konflikt ten był palącym problemem w Ameryce połowy wieku. Suknie projektowane przez Travillę ociekały żelastwem, staniki były strukturowane fiszbinami i wypychane („Zamów sobie taki rozmiar, jaki chcesz”), usta dokładnie malowano na krwistą czerwień. W powietrzu wisiało coś darwinowsko okrutnego — bycie sexy liczyło się tak samo jak bycie grzeczną. Wybranie tylko jednej opcji oznaczało skazanie się na pozycję ledwie tolerowanego wybryku natury. Niewybranie żadnej — nie wchodziło w grę.

Moralna i seksualna lina, na której balansowała Sylvia i jej pokolenie, nie była aż tak znów abstrakcyjna.

— Byłyśmy pierwszym pokoleniem kobiet po wojnie i ostatnim przed wynalezieniem pigułki — mówi Gloria Kirshner. — Podczas kryzysu moi rodzice zatrudniali dziewczęta z domów samotnej matki Florence Crittenton. Pamiętam, jak jedna z nich opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, jachtach i Szwajcarii. Jej

rodzina była niezwykle zamożna. Kiedy jednak przyznała się ojcu, że zaszła w ciążę, ten wyrzucił ją z domu. Po osiemnastych urodzinach wyszłam za mąż za mojego nauczyciela angielskiego z liceum. Cóż, być może zrobiłam to, by chronić swoje dziewictwo.

Co więc sprawiało, że kobieta uznawana była za złą lub dobrą? Chodzenie do łóżka z kimś, kto nie był jej chłopakiem? Niesypianie z własnym chłopakiem? Noszenie łańcuszka na kostce u nogi, albo nawet na obu? Kinsey co prawda poszerzył systematykę seksualności lat pięćdziesiątych XX wieku, ale ówczesna obyczajowość pozostała wygodnie ukryta.

Oto sprzeczne fakty: gdzieś tam prowadzono już eksperymenty z progesteronem i kontrolowaniem płodności za pomocą pigułki, a jednocześnie w Barbizonie wciąż obowiązywała godzina powrotu do hotelu. Oczywiście, że nie zawsze się jej przestrzegano, jednak zawsze, ale to zawsze należało na drugi dzień rano założyć białe rękawiczki, niezależnie od tego, jak bardzo drżały dłonie. Nie wpuszczano mężczyzn dalej niż do lobby. Wzorowanie się na Doris Day było żenujące, ale z drugiej strony trzeba było dużego fuksa, żeby znaleźć lekarza, który by założył niezamężnej kobiecie krążek. Prawo Comstocka uchwalone w 1873 roku, a w roku 1953 nadal obowiązujące, zakazywało rozpowszechniania antykoncepcji. Tę po części wyjaśniało, dlaczego trzeci rok studiów Sylvii zaczął się od widma próby samobójczej, pochopnego zamążpójścia i wizyt u „Doktora No”.

DOMY DLA DZIEWCZĄT IMIENIA FLORENCE CRITTENTON

Aborcje wykonywało się w Puerto Rico albo w Meksyku. Jeśli któraś nie wiedziała, jak to załatwić, albo nie było jej stać, kupowała luźny czarny płaszcz i, póki mogła, ukrywała brzuch. Potem przyjeżdżał ktoś i zabierał ją do najbliższego domu dla dziewcząt imienia Florence Crittenton, gdzie zakonnice miały ją na oku. Ostatnie miesiące spędzała w milczeniu, bo nie mogła rozmawiać z innymi. Nie wolno było nawet wymawiać własnego imienia — zakonnice przydzielały nowe.

Domy Florence Crittenton... Trafiało się tam, rodziło dziecko i oddawało do adopcji.

carol levarn

„Czasem w łazience słychać było łkanie” — zanotowała Mary Cantwell. — „Chodziły plotki o aborcjach, które najprawdopodobniej wykonywano w Hoboken”⁷³.

— Towarzyszyła temu absolutna dyskrecja i olbrzymi strach — wspomina Laurie Glazer, której przyjaciółka musiała polecieć do Puerto Rico, by usunąć

ciążę. — Nigdy potem o tym nie rozmawialiśmy, obie zbyt się bałyśmy.

Tego lata było nieco inaczej: przez kilka niewyraźnych tygodni w tropikalnym żarze miasta tajemniczość i strach wydawały się słabnąć.

Pojedyncze łóżka, hotelowe życie, zażyłość tworząca się niby gdzie indziej, ale przecież całkiem blisko.

MEL WOODY

Mel Woody na tyle zauroczył się Sylvią, że odwiedził ją w Smith rok po ich randce w Village. Wysłał jej miłosne zwierzenia z New Haven (tak samo zresztą jak i jego współlokator Richard, który lubił dokładać własne liściki do wspólnej koperty, by w ten sposób zaoszczędzić na znaczku). W końcu deklaracje przekształciły się w udręczone (i dręczące) listy, w których błagał o seks. Ozdabiał swoje żądania odniesieniami do Kierkegaarda i cytatami z *Elegii duinejskich* — uczył się na księdza.

Unikanie intymnych zbliżeń nie było u Sylvii spowodowane poczuciem winy (chrześcijańskim ani żadnym innym) czy też jakimś abstrakcyjnym lękiem przed etykietką „tej złej”. Chodziło raczej o jej świadomość bardzo realnych konsekwencji — ciąży, niebezpiecznej i nielegalnej aborcji, nieszczęśliwego małżeństwa, porzucenia intelektualnego i myślącego ja, utraty autonomii, utraty kontroli. Widziała się jako *hausfrau* o opuchniętych nogach, pokrytych wrzodami w wyniku wielokrotnych ciąż. Jeśli Mel Woody zakładał, że Sylvia czuje się w obowiązku zgrywać „amerykańską dziewczycę”, to się mylił. Nie była cnotką — po prostu przerażała ją wizja zajścia w ciążę. To nie pruderia, ale pragmatyzm powstrzymywał ją przed fizyczną stroną związku.

Według Mela taki sposób życia był nienaturalny. Miał całkowitą rację. To właśnie natury Sylvia i współczesna jej generacja kobiet najbardziej się obawiały.

73› Mary Cantwell, *Manhattan, When I Was Young*, dz. cyt., s. 33.

WĘZEL GORDOŃSKI

Sylvia należała do tych szczególnie pewnych siebie kobiet, które zdawały się zawsze umawiać z atrakcyjnymi, odnoszącymi sukces mężczyznami. Zamiast odwiecznego dylematu „Czy on mnie lubi?” raczej sama zadawała sobie pytania: „Czy ja go lubię? Czy może się ze mną równać? Czy intelektualnie jest na moim poziomie? Czy fizycznie jest ode mnie lepszy?”.

Jej związek z Gordonem Lameyerem był świeży, niezobowiązujący i na próbę. Udawało jej się odsuwać deklaracje tak długo, jak tylko mogła. Lubiła własną wolność, ale nie przyznawała takiej wolności swoim chłopcom. Jeśli tylko któryś śmiał zaprosić inną dziewczynę na randkę czy na tańce, Sylvia wybuchala gniewem.

Sylvia szukała zrozumienia, choć uważała, że większości ludzi go brakuje. Wielokrotnie idealizowała mężczyznę, by potem, uczyniwszy z niego czempiona, nagle zacząć go atakować i w efekcie porzucić. Tak jak Hedda Gabler Sylvia nie chciała, by ktokolwiek miał nad nią władzę. Chciała samodzielnie kontrolować własny los, a także — co bardziej tragiczne — los innych.

gordon lameyer

Na szczęście dla Sylvii Gordon był już nią bardzo zauroczony i takim pozostał. „Latami zastanawiałem się, na czym polegała ta jej osobliwa moc, umiejętność przyciągania najróżniejszych ludzi i wykorzystywania ich do własnych celów, często za ich wiedzą. Myślę, że działo się tak dlatego, iż ludzie lubią przyglądać się i być blisko kogoś, kto cieszy się życiem tak mocno jak Sylvia. Wyciskała życie jak cytrynę lub — posłużymy się inną metaforą — piła do dna, do samych fusów” <74>.

Jedna z jej najbardziej pociągających cech to żarliwy zapał — nie miała ochoty być zblazowaną albo chłodną. Ów dziecięcy zachwyty oplótł Gordona niczym złota nić, chłopak z przyjemnością dał się omotać.

Po raz pierwszy Sylvia doświadczała prawdziwej bliskości intelektualnej z chłopcem. Robiła na nim wrażenie lotnością umysłu, a także umiejętnością łączenia w jednym zdaniu *Króla Leara*, Trumana Capote’a i balu w Yale. Tego lata, gdy była na stażu w „Mademoiselle”, czytali *Złotą gałąź* Frazera i Gordon widział siebie jako jednego z kapłanów Nemi czczących Zwierciadło Diany. Urzekły go role odgrywane przez Sylie. „Lubiłem o niej myśleć jako o osobie pełnej sprzeczności: Nauzykaa, która chciała zostać Kalipso, Dydona, która przypominała Kirke, Artemida, która niemal była Afrodytą” <75>.

Ich związek opierał się w dużej mierze na pisaniu listów i wydawał się istnieć w jakiejś wyobrażonej krainie pełnej odniesień do literatury walijskiej. Tak jak i Sylvia, która w ramach przygotowań do pracy dyplomowej zaczytywała się *Ulissese*m, Gordon również był znawcą Joyce'a, wołał jednak elżbietańską prostotę jego wczesnych wierszy. Podzielał intelektualną dyscyplinę Sylvii, wierzył w sekstynę, sylabizm i villanelle. Miał słuch do poezji i często fantazyjnie modyfikował ich nazwiska.

◦
Silver Plate / Golden Lamb (Srebrny Talerz / Złote Jagnię)

Sylvan Path / Golden Lyre (Sylvan Ścieżka / Złota Lira)

Salvia Plant / Goldenrod Lamina (Szałwii Sadzonka / Liść Nawłoci)

Silverfish Pond / Goldfish La Mer (Srebrnorybny Staw / Złotarybka Morska)

Silverfox Pop / Goldfinch L'Amour (Srebrnolisa Pop / Szczygieł Miłosny)

Silverage Plate / Golden Age Lame (Srebrnostary Talerz / Złota Era Lamy)

Sylvanite / Godroon (Sylvanit / Fryz Godronowy)

◦

Gordon cenił sobie także bardziej konkretne przyjemności: plażę, owsiane ciasteczka i czekoladowe *fondant*. Oboje bardzo się do siebie zbliżyli — zaręczyli się nawet — ale w tamtym czasie Sylvia gorliwie unikała małżeńskiej pułapki.

Jej romansowanie wyglądało często jak zwykły flirt; lubiła męskie towarzystwo, rozkwitała w obecności mężczyzn, ale

zdaje się, że na żadnym z nich jakoś specjalnie jej nie zależało...

nancy hunter steiner, *a closer look at ariel*

Ambiwalentne podejście Sylvii do małżeństwa miało swoje źródła w jej domu rodzinnym. Aurelia i Otto, mimo że oboje pochodzili z Europy i byli dobrze wykształceni, przyjęli amerykańską strukturę rodziny. Ich związek rozpoczął się, gdy Aurelia jako studentka chodziła na wykłady przyszłego męża z języka niemieckiego. Małżeństwo nie zmieniło Ottona — pozostał despotą.

„Różnica wieku między nami [dwadzieścia jeden lat], doskonale wykształcenie Ottona... nasza poprzednia relacja nauczyciel—uczeń, wszystko to spowodowało, że racja stała zawsze po jego stronie” — napisała Aurelia.<76>

Szybko okazało się, że Aurelia przyjęła rolę sekretarki, asystentki i pokojówki. Tak prowadziła dom, by nic nie przeszkadzało mężowi w pracy. Jeśli z jakiegoś powodu chciała wykorzystać stół w jadalni do innego celu niż praca Ottona (a zdarzało się to niezwykle rzadko, gdy ktoś ich odwiedzał), przenosiła wszystkie książki i dokumenty, najpierw wykonując szkic dokładnego rozmieszczenia przedmiotów, a następnie precyzyjnie odkładając je na miejsce.

— Pod koniec pierwszego roku naszego małżeństwa zdałam sobie sprawę, że jeśli chcę mieć spokój w domu, a tak właśnie było, muszę po prostu stać się bardziej uległa, choć to nie leżało w mojej naturze.<77>

W latach pięćdziesiątych podobne związki często się zdarzały. Mężczyźni byli ekspertami, mężczyźni tworzyli zasady. Cóż więc dziwnego w tym, że Sylvia unikała takich związków?

Od dawna denerwowały ją podwójne standardy dla mężczyzn i kobiet, a jeszcze bardziej to, że się im poddaje. Jej dzienniki pełne są jadowitych opisów nierówności płciowej i ciągnących się w nieskończoność uczelnianych obyczajów związanych z randkowaniem. Gordon jednak był łagodny, wrażliwy i do niczego Sylvii nie zmuszał. Kochał jej umysł, jej pisanie, jej ambicję. Z pewnością nie chciał, by stała się gospodynią domową, jak niektórzy poprzedni adoratorzy.

Zerwali ze sobą w Rzymie po kłótni o Dylana Thomasa. Podczas zwiedzania Watykanu Gordon w pewnym momencie tak wściekł się na Sywzię, że zaproponował jej zakup biletu powrotnego do Londynu, byleby tylko już wyjechała. Uznała to za świetną okazję i przyjęła propozycję.

Nagłówki typu *Wyjdź za mąż teraz albo nigdy!* straszyły widmem małżeństwa. Budziło ono lęk, było niczym groźba, napomnienie. Sylvia jednak nie dawała się nabrać na naiwne opowiadki: o torcie białym jak suknia panny młodej, o żeberkach i stekach, małżeństwie, tej ponurej bajce, w której Mąż obsadzony jest w roli nadzorcy, a przyszłość do bólu dookreślona i beznadziejna. Sylvia potwornie bała się banalnej roli „gospodyni domowej”, ale była także ambiwalentna wobec określenia „kobieta pracująca zawodowo”.

Miała jedną *idée fixe* — chciała pisać.

CHŁOPCY 1952–1954

eddie cohen: Listy pisane na maszynie, przeciwsłoneczne awiatory, palił

cygara, brawurowy kierowca, psychoanaliza, kurtki bomberki, płyty jazzowe. Samozwańczy członek bohemy artystycznej, ożenił się jako pierwszy. Pewnego razu przysłał Sylvii z Meksyku plecioną bransoletkę.

◦

richard norton (w listach Sylvii do Eddiego znany też jako Allan): Yale, szkoła medyczna na Harvardzie, przyjaciel rodziny, pokazał Sylvii poród, gruźlik, korespondował z Williamem Carlosem Williamsem. Zabiera Sylwią na bal do Yale.

◦

constantine sidamon-eristoff: Rosjanin, świetny tancerz. Wyraził chęć, by udusić się na śmierć włosami Sylvii.

◦

myron lotz: Rodzice pochodzący z Węgier, Yale, najwyższy, inżynier chemik, miotacz w Tygrysach z Detroit. Zabiera Sylwią na bal do Yale.

◦

ray wunderlich: Styl z Miami, weekend w Nowym Jorku, rycerski, idealna randka, niższy od Sylvii.

◦

gordon lameyer: Wysoki, znawca Joyce'a, Amherst, złota skóra i złote włosy, prawdopodobnie najprzystojniejszy, wspierający emocjonalnie, w listach dobre wyczucie narracji, wstąpił do marynarki.

◦

gary karmiloff: delegat ONZ, grecka kawa w Greenwich Village, europejskie maniery.

mel woody: Randka w Village, blondyn, Yale, wywiera na Sylvii presję w sprawie seksu, uczy się na księdza.

◦

richard sassoon: Współlokator Mela Woody'ego, bratanek Siegfrieda Sassoona, zna się na winie, wychowany w Londynie, płynnie mówi po francusku, ma słabość do *beef bourguignon*, daje Sylvii klapsa, pisze listy po pijanemu. Nie potrafi zmienić opony, przez co piknik zamienia się w deszczową katastrofę. Lubi bordeaux, przyrządza kanapki z kurczakiem.

74› Gordon Lameyer, *Diana's Mirror*, s. 15.

75› Tamże.

76› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 13.

77› Sylvia zawsze widziała w swojej matce męczennicę. Szkicowała ją jako wymizerowaną, zmęczoną postać leżącą na leżaku, w różowej szmizjerce lepiącej się do spoconej skóry albo z chustką na głowie i mopem w ręku, podczas gdy sprytny kocur przebiega po świeżo umytej podłodze, zostawiając ślady ubłoconych łap.

PANNA MŁODA

Przez pierwsze trzy lata studiów w Smith Sylvia umawiała się ze studentem medycyny Dickiem Nortone. Nosił on kremowe golfy i w listach miłosnych zamieszczał anatomiczne rysunki ludzkich pleców. Gdy był na pierwszym roku w szkole medycznej, przebrał Sylvię za pielęgniarkę i przemycił do szpitala położniczego na randkę. Atrakcjami tej „randki” było obejrzenie filmu o anemii sierpowatej, pokaz dysekcji, a także prawdziwy poród. Sylvia opisuje przerażające i komiczne szczegóły w *Szklanym kloszu*, gdzie Norton pojawia się jako Buddy Willard, typowy chłopak z sąsiedztwa. Dick, jak i jego fikcyjny odpowiednik Buddy, nigdy nie tracił spokoju i pewności siebie, czy to zdejmując ubrania w celach edukacyjnych, czy prosząc o rękę.

W pewien pokrętny sposób przyczynił się do przygody Sylvii z „Mademoiselle” — choć świadomie nigdy by tego nie zrobił. Dick i jego rodzina zainspirowali opowiadanie Sylvii *Niedziela u Mintonów*, które wygrało doroczny konkurs literacki organizowany przez magazyn.

Niedziela u Mintonów (Minton brzmi podobnie do Norton) to analiza siostrzano-braterskiej relacji Elizabeth i Henry’ego Mintonów. Postacie zostały całkowicie oparte na Dicku i Sylvii. Opowiadanie to nie ma fabuły, gdyż nie musi. To studium osobowości, refleksja nad jądrem związku Dicka i Sylvii — jego dydaktyzmem i jej kapryśnością.

Zarys historii powstał na maszynie. Jak to poetka, Sylvia zawsze zaczynała od sporządzania list. Postać była dla niej dużo ważniejsza (i ciekawsza) niż narracja, tak więc jej listy stanowiły katalog cech charakteru dwójki bohaterów. Lista Elizabeth zawiera określenia takie jak: niezdecydowana, zmienna, wahająca się, trwożliwa, kapryśna (dwukrotnie), zwiewna, niestabilna, delikatna, uległa, niekonsekwentna, niespokojna, bujająca w obłokach, dziwaczna, roztrzepana oraz swawolna. Henry’emu Sylvia przypisała takie słowa: wytrwały, stabilny, stały, niezawodny i oddany.

Dick Norton był dokładnie tak samo dogmatyczny jak Henry Minton. Metodycznie planował każdy ich wspólny weekend. Wybierał im atrakcje, kierując się jedną myślą — żeby zawsze pokazać swoje kompetencje. Sylvię zaczęło nużyć udawanie zainteresowania analizą moczu białych szczurów. Zupełnie do siebie nie pasowali. Ona rzadko pochlebiała swoim mężczyznom — raczej im zazdrościła. Jeśli miałyby z kimś konkurować, to właśnie z mężczyzną. W swoim dzienniku opisuje tę zazdrość, której jest boleśnie świadoma: „Jest to zazdrość zrodzona z pragnienia bycia aktywną i czynną osobą, nie pasywną i słuchającą, co się do niej mówi”⁷⁸. Pragnęłamęskiego „podwójnego życia”, w którym można się cieszyć

karierą, seksem i rodziną. „Mogę udawać, że zapomniałam o swojej zazdrości, ale i tak zostanie we mnie, uśpiona, podstępna jak rak” <79>. „Muszę mieć kontakt z życiem różnych ludzi, jeżeli nie mam popaść w rutynę swojej warstwy, klasy społecznej. Nie pozwolę, żeby zawód mojego partnera wyznaczał mi krąg znajomości” <80>.

Czy Sylvia chciała zostać żoną lekarza jak madame Bovary? Momentami nie była pewna, czy Dick jej pragnie. Rzecz jasna, podziwiał imponującą mieszkankę jej urody i talentu, ale nie wychodził poza ówczesne normy co do ról płciowych. Zacytowała kiedyś jedną z jego wypowiedzi: „Obawiam się, że trudy małżeństwa i macierzyństwa przeszkodzą ci w zajmowaniu się poezją i malarstwem, o których marzysz” <81>.

Dick był na tyle inteligentny, by zrozumieć, że to, co go w Sylvii pociągało, jednocześnie dyskwalifikowało ją jako element jego przyszłości. Nie pozwoliłby jej ani żadnej innej kobiecie, by go przyćmiła.

„[...] on na przemian odrzuca i akceptuje mnie, tak jak i ja jego, w głębi serca” — napisała. Niekończące się negocjacje reguł są wyczerpujące w każdym związku. Złościło ją to: „A on oskarża mnie o to, że «walczę o dominację»? Przepraszam, pomyłka. [...] Proszę tylko o równowagę. Nie ciągle podporządkowanie pragnień i interesów jednej osoby — realizacji zamierzeń drugiej! To by było bardzo nie fair” <82>.

Frustracja Sylvii osiągnęła kulminację w szpitalu położniczym. Ten weekend okazał się jedną wielką litanią absurdów. Dick zmusił ją, by do późna przyglądała się preparowaniu zwłok. Pokazywał płody w słoikach, ustawione zgodnie ze stopniem rozwoju. Przeprowadził przez sale pełne poważnie chorych ludzi, co nią wstrząsnęło. Nie czuła się na to gotowa. Gadatliwość Sylvii mogła nieco rozweselić pacjentów, ale nie, celem tej wizyty okazał się instruktaż. Dick trajkotał bez przerwy, oprowadzając ją po oddziale, jakby pacjenci byli nieożywionymi posągami.

Na gwóźdź programu wybrał poród na żywo. Sylvia została zmuszona do oglądania całego przedstawienia przez szybę — parcie, nacinanie krocza i resztę. Maskowała przerażenie udawanym zainteresowaniem. Zapytała nawet potem o białą maź na główce dziecka.

W tej niewrażliwości Dicka najbardziej niepokoiło to, że od czasu do czasu potrafił być dobry, otwarty, a nawet wykazywać się intuicją. Jego rozwlekłe naukowe listy mają w sobie dużo dziwaczного uroku. W tym z 9 grudnia 1952 roku znajdują się przepisane na maszynie słowa piosenki pod tytułem *Piosenka dla Fizjologa*, na melodię *Never Mind the Why and Wherefore*.

Refren: *Pomnóż p O2 razy wielkość nerwu błędnego / zamień na liczby*

następujące rzeczy i nanieś je na wykres logarytmiczny: kwasica metaboliczna/sinica mózdkowa... etc.

W innym liście Dick zdradza się z zamiarem palenia fajki, by zmienić wizerunek „dumnego z własnej nieskazitelnosci”. Niestety raczej częściej niż rzadziej zdarzało mu się popadać w nieznośnie protekcyjne tony i zadręczać Sylvię o egzaminy lub przechwalać się własnym geniuszem.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że Dick Norton był po prostu produktem swojej epoki. Amerykańską myśl połowy wieku zdominowały przeciw freudowskie stereotypy o „intuicyjnej” kobiecości i „analitycznej” męskości. Był pompatyczny i zadowolony z siebie. Robił, co kazała mu matka (łącznie z noszeniem siatkowej bielizny). Po jednej z rodzinnych kolacji pani Norton wzięła Sylvię na stronę i dała jej radę: Dziewczeta szukają stałości i bezpieczeństwa. Chłopcy szukają dziewczyny do łóżka. Obie strony szukają czegoś zupełnie innego.

Rzecz jasna, opinia ta nie przyczyniła się do poprawy związku jej syna.

W październiku 1952 roku wszystko uległo dramatycznej zmianie, gdyż u Dicka zdiagnozowano gruźlicę. Pomimo przeszkolenia medycznego z trudnością identyfikował się z chorymi ludźmi. Sylvia dobrze o tym wiedziała — był naprawdę okropny, gdy kilkakrotnie chorowała na zapalenie zatok. I nagle to on znalazł się po tej gorszej stronie relacji lekarz—pacjent. Pozbawiony swoich podręczników do anatomii i Harvardu, tracił panowanie nad Sylvią, która akurat doświadczała pasma akademickich i literackich sukcesów, włączając w to nagrodę „Mademoiselle” za opowiadanie i przyjęcie do College Board.

Kiedy odwiedziła go w sanatorium Saranac dwudziestego siódmego grudnia, ich związek wchodził już w ostatnią, schyłkową fazę. Przede wszystkim Dick się roztył. Najwyraźniej jeden z elementów kuracji suchotników w Sarnac stanowiło ich przekarmianie, jak w *Czarodziejskiej górze*. Niegdyś kanciasta twarz Dicka tonęła teraz w różowych fałdach. Dla niektórych kobiet nie miałyby to znaczenia, ale chłopcy Sylvii po prostu musieli być przystojni. Taki był warunek. Jednak nawet gdyby wówczas powitał ją szczupły, atrakcyjny mężczyzna, jakiego pamiętała, i tak zaczęłyby się w niej proces wycofywania się z tego związku.

Dwudziestego siódmego grudnia wściekała się na siebie za zwodzenie Dicka, na niego zaś za to, że jest, jaki jest. Próbowwała ukoić niepokój, jeżdżąc na nartach. Sylvia nie miała dużego doświadczenia, a Dick żadnego, co jednak nie przeszkodziło mu postawić się w roli „instruktora narciarskiego”. Wyjechał z nią na najbardziej stromy stok i powiedział: „Celuj prosto w dół”, po czym obserwował ją z ośnieżonego szczytu. Tak zrobiła. <83>

DAMA Z WYŻSZYCH SFER

Całymi tygodniami pani Norton naciskała na Sylvię, by ta zrezygnowała z „Mademoiselle” i lato spędziła niedaleko sanatorium Saranac, pracując w pobliskiej restauracji jako kelnerka. Po cichu już jej nawet załatwiła tę pracę. Po co marnować lato na przebieranki w Nowym Jorku? Powinna stać u boku swojego mężczyzny (czyli jej syna!). To nie do końca spodobało się Sylvii, której krew burzyła się na samą myśl, że pani Norton wykonuje ukradkowe telefony w jej sprawie. Jak ona śmiała? Oczywiście, że nie będzie żadną kelnerką — pojedzie do Nowego Jorku, bo sobie na to zasłużyła. I oczywiście, że relacje Sylvii z Nortonami już nigdy nie będą takie same. Samo przyjęcie tymczasowej posady w „Mademoiselle” było aktem otwartego sprzeciwu wobec Dicka Nortona, całej jego rodziny oraz kobiecej roli płciowej w Ameryce połowy wieku.

Gdy tylko doszła do siebie, ujrzała pulchną twarz Dicka, promieniejącą od złośliwej satysfakcji.

— Nie możesz teraz nigdzie pojechać — wyszczerzył się. — Będiesz w gipsie przez kilka dobrych miesięcy.

Podczas oczekiwania na oficjalne zakończenie związku Sylvia zaczęła postrzegać złamanie nogi jako symbol. W kolejnych listach Dicka próżno szukać pytań o stan zdrowia i o nogę. Beszta ją raczej za używanie tabletek nasennych i opisuje ze szczegółami rozwijający się romans z inną pacjentką.

Listy te bardziej ją irytowały, niż zasmucały. Niezrażona ciężkim gipsem, zawiązała już nowy romans z Myronem Lotzem oraz przelotny flirt z Constantine'em. Po wrażenia intelektualne pisywała do przyjaciela Eddiego Cohena — pierwszego chłopca, który przysłał jej prawdziwy list od wielbiciela. Początek ich korespondencji datuje się na 1950 rok, kiedy Eddie napisał do niej po przeczytaniu w „Seventeen” jej opowiadania. Rzadko się widywali — mieszkał w Chicago — ale pisywali długie i szczere listy o filozofii, psychologii, seksie i polityce. Trwało to, póki nie przysłał wzbudającego mdłości listu, w którym przez bite trzy strony maszynopisu (z pojedynczą interlinią) chwalił się nową narzeczoną, Sue. Biednej Sue brakowało wyobraźni, ale była „całkiem mądra”. „Jej słownictwo jest wyjątkowo bogate” — czuł się w obowiązku donieść. Niemal jak dobry ojciec, który chce zgłosić dziecko do konkursu ortograficznego. Sue rzecz jasna nie nosi makijażu, bo nie musi. Ale — niestety! — ma pewne niedostatki w biuście. Brak ten według Eddiego jest „zmorą jej cielesnej egzystencji”. W kilkuset następnych słowach kontynuuje opis ukochanej, tworząc portret kobiety, który chyba jako jedyny w historii literatury wywołuje u czytelnika zgrzytanie zębów. Pod koniec trzeciej strony Sue przypomina już raczej sporą podpaskę w „gustownych” kolczykach i różowym opakowaniu.

Sylvia miała nadzieję spotkać w Nowym Jorku mężczyzn nieco bardziej wylewnych i wyrafinowanych.

Sylvia i ja uważaliśmy, że możemy robić wszystko to co mężczyźni. Ale za bardzo ich lubiliśmy — i to był problem!

laurie glazer

„ROZMOWA”: ALE CO SŁYCHAĆ U PEACHES?

NEVA NELSON: Jednym z ostatnich zadań, jakie musiałyśmy wykonać, było wypełnienie ankiety dotyczącej „idealnego mężczyzny”. Zakładało się wówczas, że większość dziewcząt idzie do college’u, by znaleźć męża, i w „Mademoiselle” panowało podobne przekonanie — iż choć szukamy kariery zawodowej, nadal czekamy na odpowiedniego mężczyznę i zamążpójście.

GLORIA KIRSHNER: Gdy wypełniałam zgłoszenie do „Mademoiselle”, mój mąż zajrzał mi przez ramię i powiedział: „Po co rywalizujesz z najtęższymi umysłami w kraju? Lepiej pozmywaj”. Kiedy więc przyszedł telegram, wybiegłam przed dom i krzyknęłam: „No i kto ma najtęższy umysł w kraju?!”.
◦

ANN BURNSIDE: Miałam taki plan: skończyć studia jako dwudziestolatka, rok później wyjść za mąż, wspierać męża, póki nie ukończy szkoły medycznej, być żoną i matką. Chciałam więc przeżyć coś naprawdę ciekawego („Mademoiselle”), zanim na dobre wpadnę w koleiny życia przeciętnej kobiety tamtych czasów.
◦

GLORIA KIRSHNER: Artysta przeczuwa, że coś wisi w powietrzu, a każda z nas była na swój sposób artystką. Każda z nas czuła zbliżającą się zmianę, ale nie do końca potrafiła ją nazwać — nie wiedziałyśmy, co robić... W filmie *Uśmiech Mony Lis* Kirsten Dunst otwiera zamasyżycie drzwi, by pokazać przyjaciółkom nową pralnię, z nową pralką i suszarką. Trudno w to uwierzyć z perspektywy dzisiejszej kobiety, ale wtedy tak właśnie było.
◦

CAROL LEVARN: Jak się wówczas dowiedziałam, dostałabym nagrodę imienia Erniego Pyle’a, tylko że nigdy nie dano by jej kobiecie. Do głowy mi nie przyszło, aby to kwestionować. Otrzymałam tę nagrodę później, w latach siedemdziesiątych. Zawsze uwielbiałam czytać magazyn absolwentów Sweetbriar: „Mąż Peaches Lillard Biff właśnie otrzymał awans...”. Ale co słyhać u Peaches?

78» Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., wrzesień 1951, s. 97.

79› Tamże, s. 97.

80› Tamże, s. 98.

81› Tamże, 15 maja 1952, s. 106.

82› Tamże, s. 104.

83› Później Sylvia opisała to (i zilustrowała) jako stylowy zjazd niemal po oślej łączce, w stroju na „po nartach”, w kierunku ośrodka narciarskiego, gdzie ktoś urządzał przyjęcie i puszczał z płyty piosenkę Jo Stafford *You Belong to Me*.

CHERCHEZ LA FEMME

Zbyt często zasługi za propagowanie kobiet auterek przypisuje się magazynowi „Ms.”, ale to w „Mademoiselle” po raz pierwszy opublikowano Betty Friedan i Glorię Steinem.

marybeth little

„Mademoiselle” wysyłała swoim czytelniczkom sprzeczne komunikaty dotyczące małżeństwa i kariery zawodowej. Reklamy porcelanowych serwisów i pierścionków zaręczynowych ukazywały się w sąsiedztwie artykułów o strojach do pracy i barwach drużyn uczelnianych. W 1956 roku (gdy Sylvia wyszła za mąż) magazyn opublikował nadzwyczaj postępowy tekst pod tytułem *Co jest złego w byciu ambitną?*, w którym Polly Weaver opisuje napływ młodych samotnych kobiet do Nowego Jorku — tendencja ta była stale widoczna, począwszy od 1949 roku.

Reakcje — głównie od czytelniczek magazynu — są przerażające.

Jedna z kobiet napisała: „Z ochotą zlikwidowałabym tę armię konkurentek, które zapominają o prawdziwej funkcji, obowiązkach i przyjemnościach życia dojrzałej kobiety — zajmowaniu się innymi, nie samą sobą”.

„W takim zachowaniu jest coś nienaturalnego i strasznego. To wbrew porządkowi i myślę, że też wbrew naturze ludzkiej” — wyznała inna.

Jeszcze jedna odpowiedź: „Mogłabym zastrzelić pierwszą, która przyszła pracować w męskim zawodzie”.

o

Począwszy od wczesnych lat pięćdziesiątych, Sylvia w swoich dziennikach wierzyła niczym nerwowy żrebak: niespokojna i czujna, nie potrafi poczuć się swobodnie. Pod konwencjonalną powłoką była bowiem postępową, była prorokinią. I na swój proroczy sposób stała się tak naprawdę kobietą lat sześćdziesiątych.

W konformizmie lat pięćdziesiątych widać było już pewne pęknięcia. Niektóre dziewczęta — na przykład Sylvia — potrafiły je wyrazić. Świadomie czy nie, widziały je i odczuwały.

— Nie zdawałyśmy sobie wtedy sprawy, jak bardzo zewnętrzny świat wpływa na naszą osobistą przestrzeń — wspomina Gloria. Ale tak było. Brutalny, inwazyjny świat na skraju wybuchu.

Presja, która w następnej dekadzie doprowadzi do erupcji — drugiej fali feminizmu i ruchu praw obywatelskich — teraz powoli narastała, kładąc się niewidzialnym ciężarem na dziewczętach. W 1953 roku była już doskonale wyczuwalna. Wpływała na ich życie i sprawiała, że za moment świat miał zawrzeć. Nie miało to swojej nazwy, ale było straszliwe.

Jak niemal wszystkie kobiety, Sylvia również zakładała, że w ciągu pięciu lat wyjdzie za mąż. (Chodziło o to, by sobie wszystko poukładać jeszcze przed skończeniem szkoły). Wiele dziewcząt miało stałych chłopców (Laurie Totten czy Laurie Glazer) lub narzeczonych (Ann Burnside). Gloria była już nawet mężatką i matką. Carol i Neva dopiero szukały. Dick ożeniłby się z Sylvią, Gordon z pewnością także — planował to nawet przez kilka miesięcy w 1954 roku. W ciągu kolejnego roku Mel Woody zacznie przysyłać jej wiersze i zapewnienia o miłości.

W „Mademoiselle” Marybeth Little była w zaawansowanej ciąży, co nie przeszkadzało jej prowadzić wytwornego miejskiego życia, na dodatek robiąc karierę w modzie. Cyrilly Abels miała męża, ale grubego, poza tym kłóciła się z nim. Sylvia spędziła lato na Manhattanie w niepowtarzalnym momencie kulturowym. Dla wykształconych, ambitnych, młodych kobiet była to najbardziej dwuznaczna, zbijająca z tropu i przyprawiająca o zawroty głowy epoka w historii.

Zamęt może wywołać klaustrofobię. Zamęt może też być wyzwalający.

Sylvia Plath opuściła Nowy Jork jeszcze bardziej zdezorientowana co do własnego miejsca na świecie.

MYRONOWY BOHATER

*Złamane serca. Znaleźć nowy obiekt.
Czas leczy rany. Mężczyźni nie lubią
być ciągnani do ołtarza.*

marghanita laski,
what every woman knows by now
[o czym każda kobieta już wie]

Dwudziestego czerwca, w upalną sobotę, Sylvia oglądała mecz Jankesów z Tygrysami podczas kolejnego wyjścia zorganizowanego przez „Mademoiselle”. Atrakcją wydarzenia miała być sesja zdjęciowa ze słynnym sportowcem Melem Allenem. Baseball był wówczas sportem narodowym, a Mel Allen „głosem Jankesów”. Jego wyczyny przyciągały do radioodbiorników fanów w całym kraju. Miał czterdzieści lat i coś z Joego DiMaggia, ciemne włosy i czarne brwi. Nosił białe koszule z podwiniętymi rękawami, spod których wyłaniały się muskularne przedramiona — rzeczywiście był świetnym miotaczem. Nosił też kapelusze z małym rondem, palił lucky strike’i i jeździł niewielkimi kabrioletami. Lubił miętowe drinki i często widywano go z Mickeyem Mantle’em, jak szaleją po Chelsea.

o

NEVA NELSON: Na sesję z Melem Allenem, którą potem redaktor prasowy Joel Graham umieścił w „San Francisco Examiner”, ubrano mnie w nową sukienkę z dakronu. Ponieważ materiał ten się nie zginał, sukienka ciągle podsuwała się do góry i wyglądałam, jakbym miała strasznie wielkie piersi.

o

Sylvia nieszczególnie interesowała się baseballlem, ale ciągnęło ją do buńczucznych mężczyzn o wielkich nazwiskach, dużych karierach i jeszcze większych osobowościach.

Tamtego dnia zajmowały ją myśli o innym, nieobecnym mężczyźnie — byłym chłopcu Myronie Lotzu, który poprzedniego lata grał jako miotacz w drużynie Tygrysów. Był jak Herkules, pochodził z Węgier i miał dyplom biochemika z Yale. (Choć używał imienia Mike, mówiła na niego Myron, bo brzmiało bardziej kontynentalnie, stylowo). Wręcz kipiał męskością, a Sylvia podziwiała jego psychiczną i fizyczną sprawność. Zabrał ją na bal do Yale (włożyła

wtedy tę samą sukienkę ze srebrnej lamy co na przyjęcie w St. Regis). Gdy poprosiła go, by ją podniósł, zapytał jedynie: „Jak wysoko?”. Zupełnie zrozumiałe, że już po trzech randkach brała go pod uwagę jako kandydata na męża. Co lepsze, Myron doceniał jej zawodowe sukcesy. Pewnego razu po kolacji w Northampton poprosił, by pokazała mu swój tekst. Zaprowadziła go więc do najbliższego kiosku z gazetami i wskazała egzemplarz „Seventeen”, w którym właśnie opublikowano jej opowiadanie *Inicjacja*. W przeciwieństwie do Dicka Nortona Myron w ogóle nie czuł się zagrożony osiągnięciami Sylvii.

Lubiła go więc tak bardzo, iż skłonna była nauczyć się dla niego gotować. Myron uwielbia kotlety schabowe i pieczeń wołową, powtarza też, że jeśli będzie trzeba, zamieszka w lepiance, byleby tylko miał na dobrą sztukę mięsa. Być może Myron potrzebował mięsa dobrej jakości, by zapewnić sobie siłę Herkulesa. Pisała przecież złośliwie: „Atmosfera emanuje męskością, a ja w takim klimacie czuję się najlepiej”^{<84>}.

Na przeszkodzie ich związkowi stanął Nowy Jork. W miarę zbliżania się stażu w „Mademoiselle” Sylvia traciła zainteresowanie chłopcem. W jednym z wiosennych wpisów do dziennika porównuje go do słynnego Raya Wunderlicha, tego od ostryg i *Camino Real* — Myron wypada w tym porównaniu niekorzystnie. „Najpierw niemal zgodziłaś się wyjść za mąż za M., mimo że ma dziobatą cerę, prymitywnych rodziców, zimne i wyrachowane motywy, jest po męsku próżny i kocha cię w raczej nieciekawym i prozaicznym sposobie, pisząc jednocześnie wzywy chemiczne”^{<85>}.

Miejskie przyjemności Nowego Jorku oraz Ray przyprawiają Sylvię o zawrót głowy. Co ważniejsze jednak, cementują jej wzorzec relacji z mężczyznami przypominający *Opowieść o dwóch miastach*. Myron i Ray — Kolos i Dandys.

OSTRYGI

Sylvia rzecz jasna porównywała chodzenie na randki z trawieniem. Myślała o mężczyznach jak o ostrygach — pożywnych owocach morza, którym nie powinno się ufać. Gordon, Dick, Mel i Eddie przytwierdzeni byli do linki bezpieczeństwa, za którą Sylvia mogła szarpnąć i zwymiotować ostrygę-chłopca, zanim zrobiło się za późno i się nim struła. Popołudnie z głową w klozecie stanowiło naprawdę niewielką cenę za zapobiegnięcie „ostatecznemu zniszczeniu” — ciąży i małżeństwu.

Poza tym była doskonale świadoma własnej zmiennej natury.

Co, jeśli jej książkę zaczesuje włosy brudnym grzebieniem? Co, jeśli śmieje się skrzekliwie albo zniewieściale? (Gorzej nawet — co, jeśli zauważył jej

kluchowaty nos i ziemistą cerę?)

Zimne kliniczne spojrzenie Sylvii sprawiało, że każdy z chłopców przechodził przemianę jak w siedemnastowiecznych bajkach francuskich. Mężczyźni natychmiast stawali się albo bogami, albo potworami. Z błyskotliwością godną Perraulta Dobry Doktor przeistoczył się w Różową Świnię, Myron z Herkulesa stał się ospowatym brutalem, a wrażliwy Dandys z opalenizną z Miami — pełzającym robalem.

W 1953 roku relacje Sylvii z mężczyznami odzwierciedlały naturę jej relacji z Nowym Jorkiem — bulimiczną.

Paradygmat został ustalony, a wraz z nim ambiwalencja Sylvii. Jako prawdziwa koneserka dychotomii opisze potem oba typy jako „mięso i ziemniaki” przeciw „winu i ślimakom”. Nowy Jork powodował, że te pierwsze traciły na atrakcyjności. Tak więc zapomniała o Myronie „pod wrażeniem zaskakującej i namiętej zręczności chudego, znacznie węższego Raya”⁸⁶. Niestety dla Raya myśli Sylvii zaczęły skręcać w stronę możliwej prokreacji, a tę bitwę zawsze wygrywają Herkulesi. Z właściwą sobie kpinią tak opisywała jego miniaturową posturę:

Ray jest duchowo rozwinięty i ma słabsze ciało; chudy, niski, od razu myślisz o płaskich podeszwach, przez całe życie będziesz się czuć wielka jak żyrafa. Będziesz leżeć na plecach jak matka ziemia, gwałcona przez bzykającego w transie owada, i znosić tysiące jajeczek w jakiejś norze.⁸⁷

Gorsze niż potencjalne potomstwo Raya mogło być tylko fizyczne niedopasowanie między nimi. Sylvia była wysoka i po prostu „nie wyglądali razem dobrze”. Wzdrygała się na samą myśl o jego romansach „z delikatnymi jak motyle, owadzimi kobietami”⁸⁸. Jak wiele z nich — tancerek, modelek — fruwało po Nowym Jorku?

Jako osoba bardzo cielesna, mocno osadzona w świecie zmysłów dobrze wiedziała, że długotrwałą satysfakcję uzyska jedynie przy Herkulesie. Zanim ustatkuje się przy mydle Ivory i kotletach schabowych, chciała najpierw „zdobyć kosmopolitycznego cudzoziemca”⁸⁹.

Yogi Berra dwukrotnie zaliczył home runy na bazę w szóstej rundzie i Jankesi wygrali. Sylvia wróciła do Barbizonu taksówką. Miała plany na wieczór — związane z cienkimi ramiączkami i ukradkowym wyjściem. Czarna szantungowa suknia już czekała.

⁸⁴ Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., sierpień 1950, s. 21.

- 85**› Tamże, 5 maja 1953, s. 174.
- 86**› Tamże.
- 87**› Tamże, 5 maja 1953, s. 175.
- 88**› Tamże.
- 89**› Tamże, 21 września 1952, s. 141.

MEDEA W SKÓRKOWYCH RĘKAWICZKACH

*Jeśli wejdiesz między wrony,
musisz krakać tak jak one.*

Już od czasów liceum i Młodego Lorda Fauntleroya Sylvia prowadziła szczegółową ewidencję swoich randek. Porównywała adoratorów, jakby byli przypadkami w studium badawczym — wrażliwość i urodę gwiazdy filmowej Gordona, sprawność fizyczną Myrona, otyłość Dicka, drobność i inteligencję Raya. A jednak między Gordonem, Dickiem, Myronem oraz nawet Rayem pojawiała się więcej podobieństw niż różnic. Wszyscy wyglądali dość podobnie i schludnie — ich swetry, zdrowa opalenizna i fryzury zdradzały przynależność do tego samego klanu. Na przyjęciu w St. Regis roilo się od mężczyzn tego właśnie typu, co według Sylvii sprawiło, że całe wydarzenie było pozbawione iskry. Gdzie się podziwiali prawdziwi nowojorczyści?

Czas uciekał. Nastął ostatni weekend w Nowym Jorku. „Mademoiselle” nie zaplanowała żadnych atrakcji na wieczór, więc Sylvia wykorzystała tę okazję, by zorganizować coś na własną rękę. W klubie tenisowym West Side na Forest Hills w dzielnicy Queens odbywały się mistrzostwa US Open. Po tygodniach modowego więzienia w Barbizonie Sylvia tęskniła za dzikością, umówiła więc kilka randek i ubłagała Janet Wagner, by jej towarzyszyła. (Potrafiłaby zamęczyć człowieka na śmierć, na szczęście jej koleżanki z „Mademoiselle” dorównywały jej energią). Włożyła czarną szantungową suknię na cieniutkich ramiączkach, Janet zaś wybrała białą sukienkę i białe sandały. Obie pomalowały usta na czerwono. Nie założyły pończoch.

Sylvia zapisała w kalendarzu czerwonym atramentem imię jej partnera na wieczór — José Antonio Las Vias. (Odnotowała też, skąd pochodził — z Limy, oraz gdzie obecnie mieszka — na Upper East Side). José był delegatem ONZ i znajomym Gary’ego Karmiloffa. Przyprowadził też dla Janet kolegę z Brazylii.

Obaj panowie mieli po sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, czyli tyle samo co dziewczęta. Świetnie wyglądali w zaczesanych do tyłu włosach, nieco dłuższych niż standardowa fryzura na jeża. Byli po trzydziestce, czyli starsi o piętnaście lat od Sylvii i Janet. Wreszcie jakaś odmiana po młodzieńczych i wesołkowatych chłopcach z chóru Columbi. W doskonałych manierach José i jego przyjaciela, ubranych w ciemne garnitury z błyszczącymi spinkami do mankietów, czaiło się coś złowrogiego.

Tamtego dnia dziewczyny nie zjadły zbyt wiele. Wciąż odczuwały skutki upału na meczu baseballowym. Obie czuły się słabo, kręciło się im w głowach

i może nawet były nieco oszołomione. Gdy cała czwórka dotarła na Queens, słońce wisiało już nisko, a mecz tenisowy trwał. Na stołach rozłożono zimne piwo i szampana. José porwał Sylvie do budynku klubu, by potańczyć. Janet umierała z głodu, więc poszła prosto po jedzenie. Nakładała właśnie na talerz tartinki, gdy poczuła silne szarpnięcie za ramię. Jej towarzysz — do tej pory raczej wytworny — zaciągnął ją pod trybunę, chwycił w pasie i w biały dzień zaczął się do niej dobierać. Spanikowała i odruchowo rąbnęła go łokciem w twarz. Na chwilę zamarła, tak samo jak zaskoczony Brazylijczyk. Niczym w koszmarnym śnie z ust mężczyzny wypadł zakrwawiony ząb.

Janet wspomina: Byłam w szoku! Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Okazało się, że wszystkie zęby miał sztuczne — duże białe sztuczniadła. Zwróciłam na nie uwagę już wtedy, gdy po nas przyjechali. On oczywiście się przeraził, bo zęby były szalenie drogie!

Odzyskawszy rezon, Janet puściła się biegiem do klubu, a jej bezzębny partner miotając pogrożki, ruszył za nią w pogoń. Sylvia odwróciła się akurat, kiedy jej koleżanka, zataczając się, wpadła do lokalu. Obie wybuchnęły śmiechem. Wtedy mężczyźni zrobili się nieco agresywni.

— José powiedział Sylvii parę przykrych słów — opowiada Janet. — Śmiałyśmy się, ale wpakowałyśmy się trochę w kłopoty. Jak miałyśmy się pozbyć tych facetów? Jak miałyśmy się wydostać z Queens?

Sprawy przybrały nieciekawy obrót. Dziewczyny niemal osłabły z głodu. Kościsty łokieć Janet był zakrwawiony od uderzenia w twarz. Wtedy właśnie pojawił się szlachetny rycerz, podzwaniając kluczykami do swojego kabrioletu.

Okazało się, że BTB bez wiedzy Janet i Sylvii wysłała za nimi tajnego opiekuna. (Dziewczęta beztrąsko poinformowały pracowniczki „Mademoiselle” o swoich planach, ale nie sądziły, by mogło to wywołać jakiegokolwiek zaniepokojenie). Po kryjomu podążał za nimi asystent Leo Lermana, śledził je całą drogę, począwszy od Midtown, podglądał ukradkiem zza roślin doniczkowych w klubie, częstując się napojami orzeźwiającyymi.

Dziewczyny zdziwiły się na jego widok i jednocześnie ucieszyły. Wskoczyły do samochodu i zwiały z Queens. Ściśnięte na przednim siedzeniu, zostawiły ciepłą i różową noc za sobą. Ładniejsze niż zwykle — nikczemna zabawa dodała im jeszcze elegancji. Z głowami odrzuconymi do tyłu, zanosząc się przekornym chichotem. Oszołomione i wycieńczone, chwiejnym krokiem wróciły do Barbizonu. Przekąsiły coś w kafejce i poszły prosto do łóżek.

Zmysł zabawy był u Sylvii równie silny co etyka pracy; taki styl życia wymagał niemal ponadludzkich zasobów energii. Gordon, ówczesny chłopak Sylvii, powiedział:

Gdyby była bohaterką u Marlowe’a, opisałby ją jako postać o wygórowanych ambicjach, bo nie satysfakcjonował jej złoty środek. [...] Zawsze

ciągnęło ją do przeżyć granicznych. [...] Testowała ograniczenia, sprawdzając, jak bardzo może przesadzić. Sylvia w sercu była apollińska, ale od czasu do czasu jej dionizyjskość, bachiczność brała górę. Odczuwała gwałtowną potrzebę przeżywania życia poza książkami, nawet jeśli było ono niebezpieczne. Z zapalem wdawała się w dramaty.⟨90⟩

Sylvia wykazywała niezwykle głęboko utrwalony szacunek do autorytetu. Desperacko chciała sprostać oczekiwaniom społeczeństwa, według którego była błyskotliwą, czarującą, niezwykle utalentowaną zwolenniczką mieszczańskiego konformizmu. Z drugiej jednak strony łaknęła przeżywania życia w całej jego ponurej i pięknej złożoności. Oko poetki zawsze czujnie wyłapywało niuanse i badało mało znane szczegóły, zmieniając obserwację w ultimatum.

nancy hunter steiner

Była niespokojnym duchem. Prowadziła nieco za szybko, odpływała nieco za daleko od brzegu. Łapała autostop, brawurowo jeździła na nartach. Mimo zacieklego perfekcjonizmu nie utożsamiała się z wizerunkiem grzecznej dziewczynki, na który tak ciężko pracowała.

Dido Merwin opisała później ten paradoks jako dążenie Sylwii do „pogodzenia Medei z Emily Post”.

Jak Lady Łazarz może żyć z lśniącymi włosami obciętymi na pazia i z grzeczniutkimi perłami w uszach? Czy da się wziąć na swoje barki brzemię życia i nieść je z wdziękiem i lekkością?

90⟩ Gordon Lameyer, *Diana's Mirror*, dz. cyt.

MELONY

*To jest wielkie i niewiarygodne miasto,
za którym będę tęsknić.*

sylvia plath, *letters home*

W liście do jej brata, Warrena, odnaleźć można ślad odniesionych na polu walki ran:

Świat rozpęktł się na pół jak dojrzały melon, ukazując moim osłupiałym oczom swoje bebechy. [...] Na przestrzeni sześciu dni byłam w drugiej co do wielkości agencji reklamowej świata, zwiedziłam telewizję, różne kuchnie, wysłuchałam przemówień tamże, zatrałam się krabami, którymi uraczyła nas agencja w swojej „własnej eksperymentalnej kuchni”, tak że przez cały dzień mdlałam, brałam zastrzyki i męczyłam się jak potępiona, marząc, by wreszcie umrzeć. [...] Przez jeden wieczór — na balu w klubie tenisowym w Forest Hill — mocowałam się z bogatym, pozbawionym skrupułów delegatem Peru do Organizacji Narodów Zjednoczonych, a sobotę spędziłam na Stadionie Jankeskim, gdzie zebrali się wszyscy niedomyci ludzie z całego świata, obserwując, jak Jankesi dają w skórę Tygrysom i pozują do zbiorowych zdjęć z komentatorem Melem Allenem. [...] Kocham Cię milion razy bardziej niż tych gładkich facetów od reklamy, tych kramarzy, te bogate bestie, które upijają się bez przerwy we wszystkich możliwych cudzoziemskich akcentach.⟨91⟩ [...] Potrzebuję zrobić pranie, rozjaśnić włosy i się przewietrzyć. Wszystko tu przeniknięte jest sadzą, potem i żółtą barwą. Zejdę teraz na basen, a potem na taras do opalania. Plany pójścia na plażę nie wypaliły... Roztopiłabym się na chodniku.⟨92⟩

W Nowym Jorku panował upał. Zdawało się, że wszystko rośnie i pomnaża się niczym w miejskiej szklarni. Ten wilgotny pośpiech przerażał Sylwię. Nigdy wcześniej nie mieszkała w dużym mieście, nie wyjeżdżała nawet poza Nową Anglię, gdzie chłodne i suche weekendy spędzała w Yale. Weekendy, które zapamiętała jako niekończące się słoneczne pikniki. Dla Sylvii lato przesiąknięte było zawsze zapachem świeżej gumy piłek tenisowych, kremem do opalania Hawaiian Tropic i tanimi słodyczami sprzedawanymi na plaży. Siedząc na piasku, jadła sałatkę z białej kapusty z pomidorami i musztardą i czuła się czysta i słona od morskiej wody. Nosila bawełniany kostium kąpielowy bez ramiączek

i balerinki. Pijała tanie piwo o posmaku proszku do pieczenia.

W Nowym Jorku najbardziej zaskoczyła Sylwię żądza seksu, pieniędzy i plotek. Miasto „jak pęknięty melon ukazało jej oczom swoje bebechy”.

WINA

Gościnnie redaktorka Anne Shawber winę za załamanie Sylvii przypisywała „Mademoiselle”. Pod koniec lat siedemdziesiątych napisała list do BTB, w którym potępiła całą załogę redakcyjną. W magazynie powinni być dla Sylvii łagodniejsi, nie powinni wywierać na niej takiej presji i obciążać tyłoma dokuczliwymi obowiązkami. Sylvia potrzebowała przestrzeni i współczucia — nie podobało się im, że promieniowała z niej wrażliwość.

Anne nigdy nie wysłała tego listu.

91› Sylvia Plath, *Listy do domu*, dz. cyt., s. 91.

92› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt.

„THE NEW YORK HERALD TRIBUNE”

*Jedyną istotą, o której Sylvia mówiła
jak o Bogu, był W.H. Auden.*

gordon lameyer

Dwudziesty drugi czerwca, poniedziałek. Ostatni tydzień w Nowym Jorku. Sylvia znajdowała się na dziewiątym piętrze drapacza chmur przy Czterdziestej Pierwszej Ulicy, w siedzibie „The New York Herald Tribune”. „Mademoiselle” zorganizowała zwiedzanie. Było gorąco, tak jak to tylko możliwe w letni wieczór wewnątrz budynku — gorąco, duszno i niehumanitarne. Sylvia zachowywała się niespokojnie — obgryzała paznokcie, stuknęła butem o podłogę.

Odwróciła się do Margaret:

— Czy mormoni wierzą w życie po śmierci?

— Owszem, dusza nadal się rozwija i ewoluuje.

— O, to dobrze. — Wydawało się, że odrobinę jej ulżyło. — W przeciwnym razie byłoby szkoda.

Następnie wymknęła się przed czasem na randkę w Café de la Paix. <93>

o

Jak zwykle szła pieszo. Kawiarnia znajdowała się na zewnątrz hotelu St. Moritz przy Central Park South. Nie spieszyła się. Gdyby przyszła pierwsza, musiałaby czekać na ulicy w ponadtrzydziestostopniowym upale w nylonowych pończochach. Z dnia na dzień robiło się coraz bardziej burzliwie i swawolnie. Sylvia zwalniała tempo, ale została jeszcze ta kawiarenka z pasiastymi markizami (w kolorach francuskiej flagi), idealnie dobranymi miseczkami z orzechami nerkowca i mocnymi drinkami. Chłopiec, z którym się umówiła, miał na imię Louis. Siedzieli na zewnątrz i rozmawiali o spektaklu *Camino Real*. Tego wieczora w parku grano koncert, a Sylvia bardzo się cieszyła, że Louis chętnie omawia sztukę, bo sama mogła myśleć jedynie o Kilroyu i Camille w opustoszałym miasteczku w Meksyku.

93> Sylvia należała do tego typu ludzi, których ciekawi religia, choć nie zamierzają jej wyznawać. (Uwielbiała wykłady z religii w Smith). Oprócz tego interesowało ją duchowe życie bliskich osób.

EPIZOD Z DYLANEM THOMASEM

Sylvia kochała Dylana Thomasa nad życie.

gordon lameyer

*Czym prędzej wejdź
W młodości las
I dobro czyń
Póki czas*

sylvia plath, *recantation*
[odwołanie]⟨94⟩

— Sylvia trochę mi zazdrościła, bo byłam redaktorką literacką i poznawałam wszystkich pisarzy, którzy przewijali się przez redakcję — wspomina Candy Bolster, która poznała Tennessee Williamsa oraz Trumana Capote’a, gdy zatrzymali się w dziale literatury w „Mademoiselle” na pogawędkę. Najlepsze jednak, że udało się jej dotrzeć do Dylana Thomasa (przeprowadziła z nim nawet wywiad). W 1953 roku Thomas więcej czasu spędzał, dając odczyty, niż tworząc poezję. Jego życie zwalniało, pisanie sprawiało mu trud. Candy poznała go w pokoju hotelowym w śródmieściu. Był to dość podły hotel, ale Thomas za to okazał się wspaniałomyślny i bardzo przyjazny, choć miał lekko zapuchnięte oczy. Candy zapytała poetę o jego imię — Dylan po walijsku oznacza wodę. Poprosiła go też o przeczytanie jej ulubionego wiersza, którego nie czytał nigdy publicznie. Zgodził się i przeczytał wiersz *In Memory of Ann Jones* [Pamięci Ann Jones] poświęcony opiekującej się nim w dzieciństwie ciotce.

Sylvia uwielbiała Dylana Thomasa⟨95⟩ — jego zmiętoszony wizerunek, grube pulowery, które wyglądały, jakby należały do bretońskiego rybaka. Niestety, kiedy Thomas wpadł do różowo-zielonego lobby „Mademoiselle”, Sylvii akurat nie było w biurze. Rozpacz. Carol, Neva i Janet przyszły z pomocą i opracowały plan. Janet i Neva dzielnie obserwowały tawernę Pod Białym Koniem, gdzie poeta lubił się upijać. Stały tam, póki dały radę, czyli około sześciu godzin — niestety nadaremnie. Sylvia była zdecydowana spotkać swojego idola — ale nie podczas pełnego ograniczeń służbowego lunchu. Złapała więc Carol i pomaszerowała z nią prosto do hotelu Chelsea, a potem wzdłuż kutych hotelowych balkonów, pod wysokimi sufitami, po krętych schodach z żelazną balustradą. W latach pięćdziesiątych Chelsea do perfekcji doprowadziła swój sfatygowany glamour.

Dźwiękoszczelne i ogniotrwałe ściany idealnie zaś nadawały się na pijackie burdy i do zasypiania z petem w ustach. Chelsea była matecznikiem Dylana podczas jego tournée po kraju, a wówczas pracował nad ostatnimi poprawkami do *Pod mlecznym lasem*.



Candy Bolster przeprowadza wywiad z Dylanem Thomasem dla magazynu „Mademoiselle”

Dziewczęta usadowiły się w korytarzu tuż obok pokoju Thomasa. Przez całą noc siedziały na podłodze i trzymały wartę. Sylvia emocjonowała się znośnym powabem hotelu. Oparta o ścianę, z przekrwionymi oczami i świadomością tego, że na Madison Avenue czeka na nią sterta rzeczy do zrobienia, próbowała wykroić dla siebie połyskliwy kawałek Nowego Jorku.

Dwanaście godzin później obie majaczyły ze zmęczenia, ale nie zobaczyły Dylana — mimo to w pewien sposób zwyciężyły. Niebo robiło się pasteloworóżowe, kawa czekała na wypicie, a Walińczyk najwyraźniej sączył

poranną whiskey gdzie indziej. Cały ten szalony wyglup znany jest pod nazwą Epizod z Dylanem Thomasem i stanowi świadectwo zaraźliwego entuzjazmu Sylvii wobec wszystkiego i wszystkich, których kochała.

5 listopada 1953 roku Thomas zapił się w tawernie Pod Białym Koniem i zapadł w śpiączkę. Poinformowanie Cyrilly o śmierci jej przyjaciela przypadło w udziale Marybeth Little. Jedenstego, albo raczej dwunastego listopada kochanka Dylana Vera wtargnęła do Celi, padła chudym ciałem na biurko Cyrilly i przepłakała całe popołudnie. W lutym 1954 roku w „Mademoiselle” opublikowano bez skrótów jego sztukę *Pod mlecznym lasem*.

94› Fragment wiersza w przekładzie Mateusza Borowskiego.

95› Nawet urodzili się tego samego dnia — 27 października.

OSTATNIA SZANSA

*Dzisiejszy wieczór okropny.
Pomieszanie wszystkiego.*

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
lipiec 1950

Środa, dwudziestego czwartego czerwca, godzina siedemnasta. Co roku w czerwcu BTB urządzała w swoim domu przy Piątej Alei 1170 przyjęcie koktajlowe. Należało ono do tradycji „Mademoiselle”, stanowiło wielką atrakcję dla redaktorek gościnnych, a dla Sylvii ostatnią szansą na zadziernięcie prawdziwych literackich znajomości. Włożyła czarną sukienkę z krótkim żakietem i nowe skórzane czółenka z Bloomingdale’*sa*.

James Madison Blackwell IV — Judge Blackwell — był nadnaturalnie przystojny i potwornie się jąkał⁹⁶.

— Z trudem się wysławiał — wspomina Neva — ale wydawał się jednocześnie wdzięczy za to, że cierpliwie na to czekałam. Cały czas myślałam, jak ciężko musi mu być, bezustannie szukał aprobaty u tak jadowitej matki.

Na przyjęciach BTB aż roiło się od błyskotliwych projektantów, pisarzy i aktorów. Laurie Totten miała przyjemność poznać tam projektantkę Anne Fogarty.

— Była niezwykle drobną kobietą o siwiejących włosach obciętych na pazia. Miała na sobie charakterystyczny strój własnego projektu — princeskę z marszczoną spódnicą za kolano. Sukienka, od góry do samego dołu zapinana z przodu na guziki, pod spódnicą miała krynolinę, która podkreślała wąską talię właścicielki. Tak bardzo podobał mi się ten styl, że jesienią, jeszcze przed powrotem na ostatni rok studiów do Syracuse, spłukałam się na podobną sukienkę z bładoniebieskiej piki.

Z okna w mieszkaniu BTB widziałam wielką, pękatą i zardzewiałą wieżę ciśnień na szczycie budynku naprzeciwko. Podobną do tej z czołówki serialu *Petticoat Junction*. Salon był zapchany ludźmi i meblami, więc większość czasu spędziłam w małym przedsionku przy kuchni, rozmawiając z nastoletnim synem BTB.

neva nelson

Laurie została również przedstawiona dramaturgowi Williamowi Motterowi

Ingemu.

— Był wysoki, jasnowłosey i nieśmiały, wycofany, jakby się teraz powiedziało — wspomina Neva, która także tamtego wieczora poznała Ingego. — Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę go poznałam i z nim rozmawiałam. Dla mnie zawsze był najwybitniejszym dramatopisarzem Ameryki. — Udało jej się zamienić z nim zaledwie parę słów. — Pamiętam, że Sylvia siedziała na kwadratowym tapicerowanym podnóżku do obitego brokatem w kolorze złamanej bieli fotela, u stóp stojącego Ingego. Zadzierała do góry głowę, spierała się z nim, flirtowała i przekomarzała się — całkowicie go zmonopolizowała. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć.



Madelyn Mathers przeprowadza wywiad z Williamem Ingem dla magazynu „Mademoiselle”

Sylvia była przebojowa, zwłaszcza na przyjęciach. Mężczyznom takim jak Vance Bourjaily bardzo się podobała jej żywiołowość, energia i wrażliwość. Potrafiła jednak być męcząca, zwłaszcza dla emerytowanego Ingego, którego nieśmiałość pogłębiała się z powodu braku alkoholu. W tamtym czasie należał już do Anonimowych Alkoholików i był najprawdopodobniej jedyną osobą bez drinka. Sylvia jednak minęła się z Dylanem Thomasem, nie poznała Trumana Capote'a ani Tennessee Williamsa. Za trzy dni miała opuścić Nowy Jork — zegar tykał w jej głowie, a kartki z kalendarza prześladowały. Tak jak Camille w *Camino Real*, obawiała się tego, co czeka na nią po drugiej stronie, z ogromną determinacją próbowała więc nawiązać choć jeden znaczący kontakt. Paplała bez opamiętania do Ingego, przysiadłszy na otomanie niczym piękna delfina, pachnąc żonkilami od tych wszystkich chlorofilowych tabletek, które ostatnimi czasy zażywała. Być może dramaturgowi podobało się trajkotanie Sylwii — jej jaskrawe usta, czasem kłopotliwe, często ruchliwe, zawsze czerwone, bardzo, bardzo czerwone.

SAMOTNOŚĆ

Nedra — olśniewająca, wyniosła, która nigdy nie narobiła sobie wstydu, zawsze bez skazy — przyznała, że czuła się „dokładnie tak jak Sylvia: zgwałcona przez całe to doświadczenie”. Anne i Diane może i były beznadziejnie naiwne, ale jakoś wszystko zaakceptowały. Laurie G. podobała się za to każda minuta, tak samo jak i Janet. Laurie T. z początku przytłoczona, potem rozczarowana, wreszcie zdała sobie sprawę (nie bez poczucia winy), że nie chce pracować w Nowym Jorku, ani zresztą w żadnym innym mieście. Carol czuła rozczarowanie obowiązkami, pracą biurową i również czuła się osamotniona. To, że nie rozmawiały o swoich wątpliwościach, zakładając, iż pozostałe dziewczyny świetnie się bawią, wszystko im pasuje i cieszą się chwilą, prawdopodobnie najbardziej świadczy o toksyczności tej szczególnej, hałaśliwej samotni.

96 W 1961 roku James Blackwell IV był już rozwodnikiem, jeszcze bardziej wyprzystojniał i nie mógł się opędzić od kolejnych roczników gościnnych redaktorek.

TARGOWISKO PRÓŻNOŚCI

Czwartek dwudziestego piątego czerwca był jednym z najbardziej pracowitych dni. Rozpoczął się o godzinie jedenastej czterdzieści pięć pokazem produktów marki Warner Corset połączonym z uroczystym lunchem w salonie wystawowym „Vanity Fair” przy Madison Avenue 200. Usztywniane gąbką biustonosze z tamtych czasów miały grube fiszbiny — nie chodziło wcale o naturalność. Wszystko było stylizowane: uwodzicielskie, ale statyczne jak ruska ikona.

Tego dnia Sylvia zobaczyła coś całkowicie innego.⟨97⟩ Po raz pierwszy w historii damskiej bielizny pojawiły się śmiałe zwierzęce wzory. Staniki w cętki, gorsety w paski zebry. Przezroczyście pantalone w fioletowe motyle. Połyskliwy błękitny wzór w „syrenią łuskę”. Powiewne nowe tkaniny, takie jak shevelva, rodzaj nylonowego trykotu. Nylon, koronka i lastex opinały ciała modelek. To nie były zwykłe biustonosze czy pasy do pończoch — to była moda. Nie były na serio — były filuterne i zabawne.

Po pokazie dziewczęta zostały zaproszone za kulisy, gdzie miały okazję poprzymierzać ulubione elementy garderoby. Ann Burnside wróciła do domu z koszulą nocną, która wpadła jej w oko.

— Była długa, plisowana i elegancka, a plisy zostawały nawet po praniu, tak dobrze ją uszyto. Miała kolor nieba, jak w krystaliczny listopadowy dzień, i długość do ziemi.

— Dokładnie pamiętam, jak w salonie „Vanity Fair” Carol sznurowała na sobie gorset w stylu wesolej wdówki — powiedziała Neva Nelson. — Przechadzała się tylko w gorsecie i majtkach, a dzięki jej negocjacjom każda z nas dostała po jednym. Wciąż mam mój egzemplarz.

Sztywne białe wesole wdówki — ze ślicznymi i frywolnymi wstążkami, które tak podobały się Sylvii.

Takie chwile szczęśliwości zdarzały się jednak coraz rzadziej.

WESOŁA WDÓWKA

Wesoła wdówka — gorset bez ramiączek, za to z podwiązkami — został stworzony dla Lany Turner na potrzeby jej roli w filmie z 1952 roku pod tytułem *Wesoła wdówka*.

Warner wypuścił swoją własną wersję, na dodatek równo z premierą filmu, i publika oszalała. Wdówka Warnera ścisnęła talię sztywną taśmą, wypychała biust ku górze dzięki wbudowanemu stanikowi i podtrzymywała pończochy za pomocą

gładkich podwiązek. Nie była to jednak bielizna korygująca — wesoła wdówka to sam seks i glamour. To coś, co należało pokazywać.

97 W 1953 roku Richard Avedon współpracował z Markiem Shawem pracującym dla „Mademoiselle”. Ich nagradzana kampania reklamowa była jedną z najpopularniejszych i najdłużej emitowanych w latach pięćdziesiątych i rozpoczęła nową epokę w fotografii mody, a zwłaszcza bielizny.

TRIGÈRE

*Ubrania: Mężczyźni lubią czarną satynę,
dobrze skrojone tweedy, zwiewne tiule,
ale i tak nie zauważają, co masz na sobie.*

marghanita laski,
what every woman knows by now

Tego dnia o wpół do trzeciej Sylvia wkroczyła do sanktuarium *haute couture* — atelier Pauline Trigère przy Siódmej Alei. 98 Ołówkowe spódnice Trigère i jej posągowe suknie były kobiece, ale bardzo *comme il faut*. Madame Trigère, rosyjska emigrantka zamieszkała w Paryżu, rozwódka, prawdziwa szwaczka i artystka przysięgła nie wychodzić już powtórnie za męża, i słowa dotrzymała. Wzruszała ramionami na słowo „ukochany”, a o swoich kochankach mówiła „starzy przyjaciele”. Tworzyła pełne przepychu stroje, podkreślające społeczny porządek, olśniewające i okrutne. Jej zimne i nieobecne modelki trudno było odróżnić od plastikowych manekinów.

Sylvia zwykle podziwiała tego rodzaju drakońską geometrię. Peleryny i kaptury Trigère miały w sobie pewną złowrogość i ekstrawagancję — były jednocześnie onieśmialające i zachwycające.

o

ANN BURNSIDE: Pokaz Trigère zrobił na mnie ogromne wrażenie. W jej kreacjach było coś... nie chcę powiedzieć, że wstrząsającego, ale one były tak piękne, tak precyzyjnie uszyte, że się wyróżniały. Obserwowałam potem poczynania Trigère w czasopiśmie. Stroje, które nam wtedy pokazała, były typowo nowojorskie — dla klasy średniej.

o

LAURIE TOTTEN: Nowa jesienna kolekcja Pauline Trigère to dokładnie to, czego można się było spodziewać po projektantce mody wysokiej, choć nastawionej chyba raczej na starszą, bardziej wyrafinowaną i zasobniejszą klientelę niż studentki.

o

Modelki ubrane były w obcisłe czarne jedwabie. Przed pokazem na zapleczu uwijały się jak w ukropie. W maleńkim salonie ustawiono rozkładane krzesła —

przez puszyste dywany i kinkiety nad lustrami pomieszczenie przypominało raczej garderobę jakiejś starletki. Nedra i Eileen usiadły blisko i pospiesznie notowały. Kolekcja jesienna: suknia 101, krepa i ryps; suknia 122, klasyczna wełna; płaszcz 125, fioletowy tweed; płaszcz 129, beżowy, jak bardzo blade lody czekoladowe z Candyland.

NEVA NELSON: Modelki przechodziły tak blisko krzeseł, że klientki mogły dotknąć materiału. Wręczono nam długą listę ponumerowaną od 101 do 198 oraz złoty ołówek Trigère (mam je nadal w pamiątkowym albumie), żebyśmy mogły, tak jak zwykle klientki, zapisywać numery ubrań, które nam się podobały. Tamtego wieczora napisałam do domu list i wspomniałam w nim o „zachwycających ubraniach — wełnach, tweedach, bielach i beżach, czyli charakterystycznych dla niej materiałach i kolorach. Brakuje mi słów, by opisać beżowy aksamitny płaszcz na specjalne okazje oraz białe satynowe rękawiczki — tak były piękne”. Zanotowałam opisy niemal sześćdziesięciu kreacji, które — o dziwo — wpadły mi w oko, bo ja prawie zawsze szukałam czegoś klasycznego i powiewnego, takiego jak płowa sukienka, którą Trigère miała na sobie.



Rysunek Pauline Trigère

Po pokazie, gdy pomagałyśmy ustawiać krzesła w stopy przy ścianie, Trigère odwróciła się do mnie, podziękowała za pomoc i powiedziała, że jestem zapobiegawcza, a tego właśnie szuka u swoich asystentek. Następnie, kładąc mi dłoń na ramieniu, przy wszystkich dziewczynach zlustrowała mnie od góry do dołu i stwierdziła, że właśnie takiej modelki szuka, o sportowej sylwetce, wąskiej talii i konkretnych ramionach... Grałam wówczas w tenisa, co prawdopodobnie wpłynęło na moją sylwetkę, a kiedy jej to wyjaśniłam, tak po prostu zapytała: „Chciałabyś dla mnie pracować?”. Kończył się właśnie miesiąc, ledwie starczało mi pieniędzy na powrót do domu, więc bez specjalnego zastanowienia odparłam, że chcę ukończyć college, bo jestem dopiero na pierwszym roku i zamierzam wrócić na Stanford. Janet, która wtedy stała obok, powiedziała później, że na moim

miejscu od razu by się zgodziła, bo prawdopodobnie nigdy nie dostanę już takiej szansy, czego — musiałam się z tym zgodzić — do końca życia będę żałować. Ja jednak nie miałam wyboru. W żadnym wypadku nie byłoby mnie stać na dalszy pobyt w drogim Nowym Jorku.

Gdyby Sylvia nie była tak wycieńczona, być może bardziej skorzystałaby z krawiectwa, Pauline i francuskiej atmosfery. (Nawet Cyrilly Abels co roku zamawiała kostium od Trigère). Jednak jej idea glamouru nie szła w parze z silnie stylizowanym wizerunkiem kobiety wczesnych lat pięćdziesiątych, mimo że na czarne suknie, niebieskie kostiumy i skórkowe buty wydała niemal czterysta dolarów.

Ubrania, które naprawdę, szczerze uwielbiała nosić, nie wiązały się z miastem, lecz z morzem — beżowe sukienki i jedwabie w kolorze kwarcu. Sylvia znacznie bardziej pasowała do obcisłych syrenich sukienek Marilyn Monroe, projektowanych przez Travillę — sukienek ryzykownych, wypełnionych wolą i pragnieniem. Suknie Trigère, może i atrakcyjne, ale pozbawione przy tym zmysłowości, były całkowicie osobne i równie zachęcające jak kolczuga.

Każda z dziewcząt wyszła z atelier, dzierżąc złoty ołówek z ciemnozielonym napisem „Trigère”. Tamtego dnia zbombardowano je modą. Skosztowały jeszcze koktajli na pokazie Horwitza & Dubermana przy Siódmej Alei, a potem drobnych przekąsek i jeszcze więcej koktajli na pokazie Charlesa Jamesa w hotelu Sherry–Netherland.

Sylvia myślała o ucieczce — Cape Cod. Syrena obcięta na pazia. A o ósmej randka. Zaznaczona w kalendarzu na czerwono.

98› W 1960 roku Pauline Trigère zaprojektuje garderobę Patricii Neal do filmu *Śniadanie u Tiffany’ego*.

ILO PILL I POWRÓT TUBYLCA

Ilo Pill był Estończykiem i aspirującym artystą. Sylvia pracowała z nim latem trzy sezony wcześniej przy zbiorze truskawek na farmie o jakże adekwatnej nazwie — Lookout Farm [Farma Czaty]. Wysoki, mocno opalony i muskularny dzięki pracy fizycznej na blond włosach nosił białą chustkę. Pewnego popołudnia zwabił Sylvię do swojego ciasnego pokoju urządzonego w stodole.

— Przyjdź obejrzyć moje rysunki — kusił.

Ilo ustawił na stole pomarańcze i dzbanek mleka — artystycznie ciągnęło go do holenderskich martwych natur — ale mimo tej subtelności przyparł dziewczynę do ściany i „otoczył żelaznym uściskiem”. Zanim uciekła, na jej ustach pozostawił bolesnego sińca.

Po Arcie Fordzie, Melu, Garym i Louisie, a nawet po straszliwym wieczorze z Josém Sylvia i tak chciała pójść na jeszcze jedną randkę, najlepiej na taką, po której zostanie ciekawa historia do opowiedzenia. Na swój sposób była ryzykantką... i mistrzynią w pociąganiu za sznurki. Często ponownie wprowadzała do obiegu adoratorów z przeszłości, dzięki czemu mogła snuć intrygę i planować swój spektakl. Znała Ilo i dokładnie wiedziała, czego można się po nim spodziewać.

To, że zdecydowała się z nim spotkać, wiele mówi o poziomie rozczarowania i pospolitości, z jakim przyszło się jej mierzyć w Nowym Jorku. Sylvia odczuwała zmęczenie miejskim typem męskości. Ilo miał jej zapewnić czysty, w pewnym sensie sielankowy rodzaj męskiej agresji — był jak krewki pastuch w owczej skórze. W końcu czasami nad grządkami truskawek prostował się, a jego opalona bystra twarz marszczyła się w uśmiechu i pytał z twardym niemieckim akcentem: „Czy lubisz Frankha Sinatrę. Thaki zenthymentalny, thaki rhomanthyczny, thaki jak w księżycową noc, ja?” <99>.

99> Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., sierpień 1950, s. 16.

POŻYCZONA SPÓDNICA

Piątek, 26 czerwca

Ostatniej nocy dziewczęta urządziły prywatkę w pokoju Grace. Były jej urodziny, miały więc dużo szampana, trochę wina, kilka butelek wódki i urodzinowy tort. Sylvia odrobinę się upiła, nie ona jedna. W którymś momencie spotkanie zamieniło się w próby wieczorku poetyckiego planowanego dla redaktorek „Mademoiselle” — każda stażystka miała wyrecytować limeryk własnego autorstwa. Wszystko jednak spęzło na niczym. Dziewczyny wołały po prostu korzystać z możliwości spędzenia ze sobą jeszcze jednej nocy, wspólnych rozmów i picia.

— Położyłam się dopiero o drugiej — wspomina Neva. — Pamiętam, jak zaszokowałam wszystkie dziewczyny opowieścią z mojej pracy o ciemnowłosej kobiecie w krótkiej sukience, która pracowała w fabryce konserw. Załatwiała klientów na tylnym parkingu i znana była z tego, że podmywa się coca-colą. Starsze dziewczyny pracujące przy taśmie montażowej niedaleko automatu z napojami liczyły, ile puszek coli kupi. Bywały noce, gdy kupowała nawet po dwanaście sztuk. Wtedy to chyba Grace powiedziała, że podobno colą myje się zatłuszczone silniki, i wszystkie pękały ze śmiechu. Tak właśnie zapamiętałam ten pracowity dzień. A nasze pożegnanie było naprawdę czule.

W atmosferze pijackiej tęsknoty i przyprawiającego o zawroty głowy zmęczenia Sylvia wraz z Carol LeVarn wytaszczyła swoją walizkę na dach Barbizonu i pojedynczo rzucała każdą halkę, pończochę, suknię i spódnicę w nocne niebo. <100>

— Pojechałyśmy windą na dach — opowiada Carol, która swoich ubrań jednak nie wyrzuciła. — Stałyśmy nad pustym podświetlonym basenem. Śmiałyśmy się. Cała ta absurdalna nadęta zabawa właśnie się kończyła... Byłyśmy trochę podpite. Tego, co zrobiła Sylvia, nie postrzegałam jako odrzucenia fałszywego ja, tylko wygłup, zwykłe „do widzenia”, zakończenie pewnego etapu.

Szampan przestawał działać i nagle Sylvia zdała sobie sprawę, że nazajutrz będzie potrzebowała się jednak w coś odziać. Zapukała do drzwi Janet Wagner i poprosiła o pożyczenie ubrań.

— Pakowałam się — wspomina Janet — więc wszystkie stroje rozłożone były na łóżku. Powiedziałam, że może sobie wziąć, co się jej podoba. Wybrała zieloną marszczoną spódnicę i ludową w stylu białą ażurową bluzkę. W zamian zostawiła mi płaszcz kąpielowy w zielone pasy. Nie chciałam go wziąć, ale nalegała. Mam go do tej pory.

Włożenie bluzki czy spódnicy należącej do przyjaciółki to zaskakująco znaczący gest. Bluzka może być zmechacona i podniszczona, spódnica zbyt luźna, lecz niosą ulgę — nie trzeba już tkwić we własnej swędzącej skórze, nawet jeśli dany kolor jest niekorzystny, a materiał marnej jakości.

Jak na ironię, Sylvia wkroczyła do Nowego Jorku, wyglądając niczym rodowita mieszkanka tego miasta, a opuszczała go w chłopskiej spódnicy Janet. Miała dość obcisłych prostych spódnic z orlonu czy rayonu, miała dość noszenia pończoch w tropikalnym ukropie. Stylizowana na ludową bluzka i spódnica Janet przywoływały skojarzenia z „bukolicznymi pastwiskami intelektualnymi” Northampton. Z całej garderoby koleżanki wybrała akurat to, co nadawało jej wygląd alpejskiej pasterki.

Zbliżał się lipiec i Sylvia chciała jedynie grać w tenisa i zacząć wreszcie czytać Joyce’a do pracy dyplomowej. Chciała chodzić na plażę i pić piwo prosto z puszki. Był środek lata i brakowało jej słońca. Brakowało jej też Gordona, który miał wkrótce wyjechać do szkoły morskiej. Sylvia dojrzała do następnego etapu.

100 Wcześniej Sylvia podeszła do Nevy ze stosem sukienek z szantungu, halek i spódnic — wszystkimi ubraniami, jakie miała. Zachęcała ją, by sobie coś wybrała, ale skonsternowana i niezdolna pojąć powagi tego gestu Neva odmówiła, twierdząc, że „Sylvii te ubrania nadal mogą się przydać”.

PROM NA STATEN ISLAND

Nadchodzi czas, by ruszyć w drogę, nawet jeśli nie bardzo wiadomo dokąd.

tennessee williams, *camino real*

Sobota, 27 czerwca

Na kilka godzin przed odjazdem pociągu do Wellesley Sylvia umówiła się jeszcze na ostatnią randkę z Rayem — na promie do Staten Island. Ray był znanym i krzepiącym lekiem na brutalne piękno tego miasta. Dzięki niemu miała zwieńczenie miesięcznej opowieści o Nowym Jorku.

Minęły zaledwie dwa miesiące, odkąd wałęsała się po mieście w jego towarzystwie w pamiętny czarowny weekend — a wydawało się, jakby minęły wieki. Sylvia zawsze była bardziej wnikliwa i świadoma, poczuła więc ukłucie tęsknoty. Za czym? Za Nowym Jorkiem, miastem, które miała opuścić za trzy godziny? Za Carol, Laurie i zawieranymi w pośpiechu przyjaźniami?

Sylvia tęskniła za samą sobą — za sobą sprzed Nowego Jorku. Za tą Sylvią, która ekscytowała się weekendem z Rayem, poszła na *Czarownice z Salem* i *Camino Real*. Tęskniła za wiosną. Po kwietniowej obfitości nagród i stypendiów wszystkie późniejsze maleńkie rozczarowania bolały najbardziej. Zmarnowane z powodu deszczu weekendy, drobne cierpienia przy korekcie tekstu, skaleczenia papierem, które poszatkowały jej skórę na palcach.

W roku 1953 jej życie odzwierciedlało pory roku. Ponura zima to złamana noga i złamany związek, ale też widoki na ciekawe randki i nową pracę. Wczesna wiosna wypełniona nagrodami, pisaniem i wreszcie obietnicą Nowego Jorku. Potem czerwiec — upalny, miejski i brutalny. To, co kiedyś wydawało się interesującą wizją przyszłości, nagle przekwitło i nie było już ani ładne, ani tajemnicze.

Nowy Jork jest niesforny, zagmatwany. To miasto najpierw nęci, potem przepuszcza przez wyżymaczkę, by na samym końcu skleić na powrót w całość, tworząc nową, świeżą i olśniewającą mozaikę. Wtedy Sylvia po prostu nie była gotowa na dziką stronę Nowego Jorku — maszyny do pisania, kace, mężczyzn, pozowanie, wymioty. Owszem, wcześniej zaznaczały się już w niej pewne pęknięcia, ale teraz zaczęły się one otwierać coraz szerzej. Rozdźwięk między pozorem a rzeczywistością stał się alarmująco wyraźny i jaskrawy. Żwawa gromadka blondynek strutyh bourbonem. Tłumy na Yankee Stadium. Szeleszczące różowe kartki, pełne ornamentów duszne biura, uprzejmość Marybeth

Little, złowrogie błyski w czarnych oczach BTB.

Jakiż dziwaczny lęk wszystko to wzbudziło w Sylvii. Niepewna natura jej własnego szczęścia, niestabilność charakteru, osobowości, a nawet uczuć. Niestabilność tożsamości — to, że jesteśmy postrzegani jednowymiarowo. Cyrilly widziała w niej pokrewny typ sawantki, Laurie Glazer obytą piękną, Ann Burnside — opychającą się kawiozem dzikuską. To, że jesteśmy oceniani za atrakcyjność albo jej brak. To, że francuskie perfumy okazały się dalece bardziej istotne, niż mogła przypuszczać (a przecież nigdy nie wątpiła w ich znaczenie). To, że nawet jeśli się na chwilę zatrzymać, świat gna dalej. Że czasem mimo połyskliwych włosów i świeżo pomalowanych ust nikt nie zwróci na ciebie uwagi, że wiele twoich rówieśniczek pragnie o wiele mniej niż ty, a ty i tak im tego zazdrościsz.

Sylvia brała udział w pokazie od chwili, gdy wysiadła z taksówki na Lexington Avenue. Betsy Talbot Blackwell, Cyrilly Abels, a nawet ten fircykowaty fotograf — wszyscy zasiadali w jury, oceniając jej zdolności społeczne, intelektualne i kobiecość. Sylvia zachowała spokój, była uczesana, odprasowana, na obcasach — jak pozostałe dziewiętnaście maskotek „Mademoiselle”. Czy wiedziała, ile i je kosztuje ta ciągła samokontrola, wyczerpujące starania, by pozór wydał się drugą naturą?

MARILYN

29 czerwca 1953 roku na okładkę magazynu „People Today” trafiła Marilyn Monroe. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami w białym szydełkowym bikini. Góra od kostiumu nie miała ramiączek, a jej brzeg obszyty był małymi frędzelkami. Wyglądała blado, ale w przeciwieństwie do Sylvii Marilyn lubiła być blada. Jej karminowe usta są lekko rozchylone. Ręce trzyma na biodrach, unosi lekko podbródek, jakby rzucała wyzwanie. „Kto się wyróżnia w 3D!” — głosi nagłówek. Marilyn rzecz jasna — i to na stronach od trzydziestej do trzydziestej czwartej.

Sylvii by się to podobało — taka absurdalna seksowność, cały ten blond i ta czerwień. Ale nie było jej już w Nowym Jorku. Sylvia już wyjechała.

POŻEGNANIE

*O śmieszna księżniczko!
O jasnowłose maleństwo!*

anne sexton, *śmierć sylvii* <101>

Miesiąc w Nowym Jorku Sylvia rozpoczęła z pompą i fanfarami godnymi księżniczki. Na dworzec Grand Central dotarła w asyście dwóch żołnierzy (poznała ich w pociągu i tak się złożyło, że byli „czarujący i muskularni”). Niczym ochroniarze gwiazdy niosąc jej walizki, przeprowadzili przez tłum, zawołali taksówkę i z galanterią odwieźli do hotelu Barbizon. Wyjazd, który przypadł na dwudziestego siódmego czerwca, był całkowicie inny. Sylvia opuszczała Nowy Jork roztrzęsiona, wyeksploatowana i zupełnie sama.

Tym razem nie miała żadnego bagażu. Wszystkie jej halki, sukienki i perłowe naszyjniki pokrywała warstwa brudu gdzieś między Lexington a Sześćdziesiątą Trzecią Ulicą. Ubrana była w ludową bluzkę i wiejską marszczoną spódnicę od Janet — Janet, która w ciągu trzech tygodni przeistoczyła się z Pollyanny z warkoczami w prawdziwie nowojorską modelkę. Nigdy nie zależało jej zbytnio na ogładzie, więc teraz ona i szlafrok w paski od Sylvii mieli zacząć nowe, przyjemne życie.

Gdyby Sylvia była mocniej opalona, zdrowsza i szczęśliwsza, strój Kowbojki Pollyanny może nawet wyglądałby uroczo. Ale nikt nie zachwyci się ażurową bluzką na spoconej bladej dziewczynie z marsową miną.

Grand Central, choć wyraźnie amerykański, miał w sobie coś francuskiego — coś, co Sylvia pokocha dopiero później. Szerokie marmurowe schody wzorowano na schodach opery w Paryżu, a wielki czterostronny zegar wykonano z czystego opalu. Wszystko było majestatyczne, eleganckie i solidne — od wykładanych marmurem okien (wysokich na osiemnaście metrów) po ważące tysiąc pięćset ton rzeźby Minerwy, Merkurego i Herkulesa autorstwa Coutana. Główna hala — z sufitem malowanym w gwiazdy i żyrandolami w kształcie wielkich dyni — przytłoczyła ją. W otoczeniu tych dzieł sztuki musiała się poczuć jak mały urwis. Była już godzina piętnasta. Niczym w gotyckim kościele światło wpadało do środka gorącymi smugami, a witraże od Tiffany’ego sprawiały, że zabarwiała się ono na różowo.

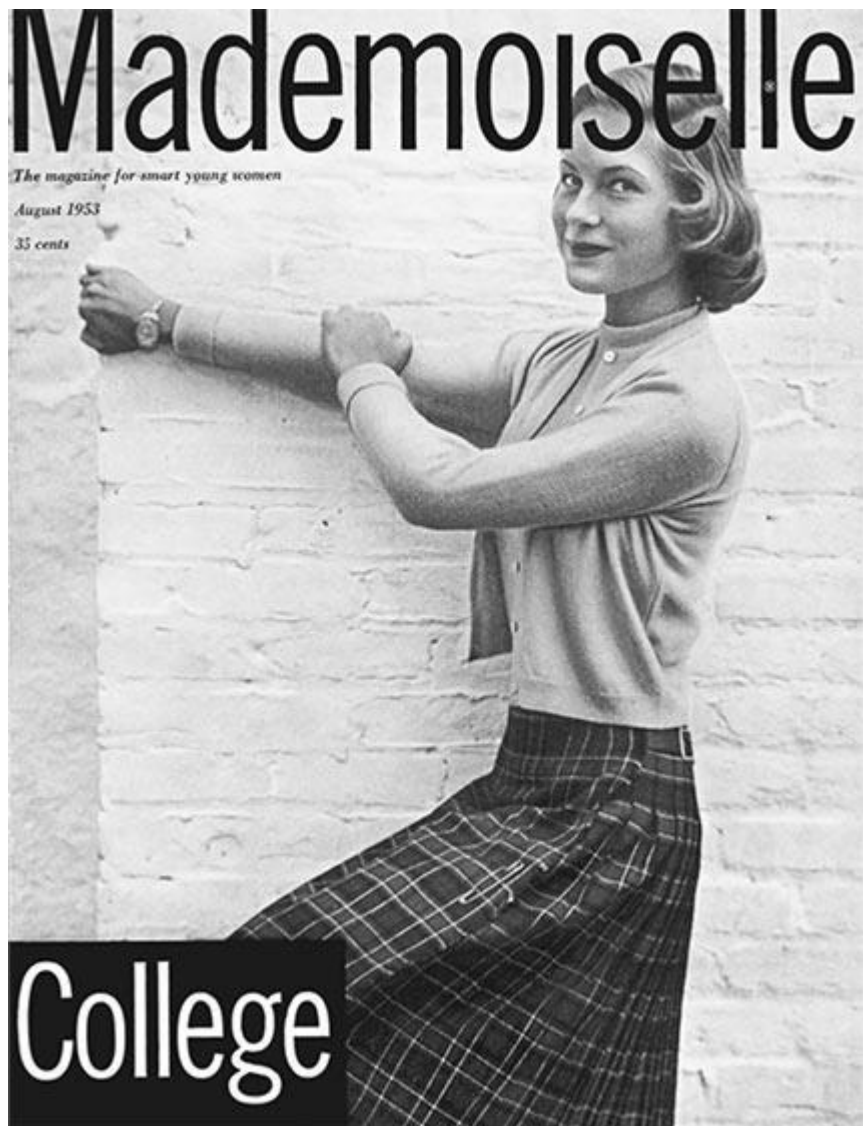
Dworzec Grand Central połączony jest z hotelem Biltmore niedużą salą zwaną Salą Pocałunków. To tu przyjeżdżał słynny pociąg 20th Century Limited z Chicago — gwiazdy filmowe i żołnierze wysiadali, by na peronie spotkać się

z ukochanymi, a następnie wybrać się do palmiarni hotelu Biltmore. Sala Pocałunków zawsze pełna była dobrze ubranych kobiet, noszących obcisłe rękawiczki z miękkiej skóry, kapelusze ozdobiane owocami i małe torebki z wbudowanymi puderniczkami. Sylvia nigdy nie przechodziła przez to niewielkie pomieszczenie, ani też nigdy nie spała w wygodnych łóżkach hotelu Biltmore. Za to o piętnastej dwadzieścia wsiadła do pociągu jadącego do Wellesley w Massachusetts. Błada jak dziecko, w zwykłych ubraniach przypominała przestraszoną sierotę. W rękę ścisnęła kurczowo błyszczący przedmiot — etui z plastikowymi okularami przeciwsłonecznymi w kształcie dwóch rozgwiazd. Okulary te były prezentem pożegnalnym od „Mademoiselle” i jedyną rzeczą, której nie wyrzuciła z dachu hotelu Barbizon. Nie zatrzymała ich sobie bynajmniej z powodu ich ujmującej kiczowatości — Sylvia nie gustowała w kiczu. Białe plastikowe etui ozdobione stworzeniami w kształcie gwiazd naprawdę ją zauroczyło. Spod morskiej wody wystawało coś twardego i miejskiego, syntetycznego i niedającego się złamać.

ROZGWIAZDA

Po dwudziestym piątym roku życia Sylvia zaczęła interesować się szkarłupniami. Zapępiała dzienniki szkicami i notatkami na temat ich nazw i zwyczajów. Ich wiecznie ruszających się otworów gębowych. Eleganckich kruchych kostek. Gwiazdki to *Asteroidea* (rozwgiazdy), te kruche to *Ophiuroidea* (wężowidła), niby pierzaste to *Crinoidea* (liliowce). *Eleutherozoa* (beznózkowce) w kształcie gwiazd „żyją z reguły z otworem gębowym do dołu, stąd rozchodzą się promieniście orzęsione bruzdy”^{<102>}. Być może „w aktywnym poszukiwaniu i trawieniu pokarmu zwierzęcego, żywego lub martwego, w dużych porcjach” ujrzała własny apetyt. To, jak „unikają światła, w dzień chowają się lub przesłaniają wodorostami”. Jak niektóre z nich „pobudzone fluoryzują rozświetlają morskie głębiny”. Ich cudowną zdolność do podziału i regeneracji, „odrzućcie kawałki samej siebie — w chwili niebezpieczeństwa lub by poradzić sobie w trudnym położeniu”. Podziwiała prędkość, z jaką nowe ramiona odrastają, pączkują w „formy w kształcie komety”.

Pośród tych notatek pojawia się informacja, że na miesiąc miodowy zabrała plastikowe okulary wraz z ozdobnym etui — prezent od „Mademoiselle” z 1953 roku.



101› W przekładzie Grzegorza Musiała.

102› Sylvia Plath, *Dzienniki 1950–1962*, dz. cyt., s. 565 i dalej.

NUMER
SIERPNIOWY

UBRANIA, MARZENIE

Sierpniowy numer magazynu „Mademoiselle” z 1953 roku miał trzysta osiemdziesiąt stron. Został wydrukowany na półmatowym papierze, o wymiarach trzynastu na dwadzieścia osiem centymetrów, ważył pół kilograma. Dziewczyną z okładki została Jan Sangdahl (absolwentka Smitha z 1955 roku, tak jak Sylvia). Włosy uczesano jej w gładkiego pazia. Miała na sobie kilt marki Korday z wełny nadającej się do prania ręcznego za siedemnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, bezrękawnik za trzy dolary dziewięćdziesiąt pięć i kardigan za pięć dziewięćdziesiąt pięć, oba projektu Helen Harper. Na jej nadgarstku widać bransoletkę z grubego łańcuszka z grawerem, firmy Moret, którą można było nabyć u Altmana za pięć dolarów. Umalowana jest czerwoną szminką Heleny Rubinstein w kolorze Lively Talk [Ożywiona Rozmowa]. Sylvia pojawia się w tym numerze cztery razy: na stronie pięćdziesiątej czwartej w srebrzystej sukience bez ramiączek i ciemnoczerwonej szmince, na stronie dwieście trzynastej jako osoba przeprowadzająca wywiad z Elizabeth Bowen, na stronie dwieście trzydziestej piątej w gwiazdnym układzie w kraciastej spódnicy oraz na stronie dwieście pięćdziesiątej drugiej ze zwisającą różą.

Najpierw ubrania: Poznaj nowy tartan „Mademoiselle”, umów się na randkę w najnowszym kusym żakieciku, a potem zrzuć go i rusz do tańca. Sweterki na spotkania z chłopcem i do biblioteki. Poznaj nowe materiały, syntetyki, takie jak rayon, orlon, dracon i nylon. Poznaj klasyczne materiały — czarne lisy, srebrne lisy, szynszyle, wełnę z lamy, złote skóry, skórę kozłą i barwioną jagnięcą, świńską. Oksfordy ze skóry łosia, torba na ramię ze skóry wołowej. Sukienka z flaneli, czyli „coś, o czym można napisać w liście do domu po pierwszym podwieczorku u dziekana albo po jesiennym popołudniu w mieście”. I coś, czego potrzebuje każda studentka college’u — kompletny zestaw rękawiczek na przyjęcia, randki, herbatki i weekendy — wliczając także rękawiczki, bez których nie chciałyby się dać przyłapać w kampusie.

Piękne blondynki. Szalejemy za skórą. Wykształcony dżersej. Sukienki na randki. Sukienki do teatru. Czerń sobotniej nocy. Kostium z czarnej popeliny. Obszerne futro z czerwonych szynszyli. Sweterki bliźniaki. Grube swetry. Słodkie sweterki. *List otwarty do mężczyzny obciętego na jeża*. Drezdeński szyk grzecznych pastelów, chłodnych spódnic i falbaniastych halek do kankana. Wydłużone brwi, ściśnięte paskiem talie. Słodkie sweterki — „małe delikatne sweterki, miękkie niczym powijaki”, w dziecięcych kolorach: błękitnym, różowym, białym. Angora, futrzane opaski i kołnierze. Bufiaste rękawy i „półokrągły dekolt wykończony drobnym ścięciem muszelkowym”. Niedorzecznie śliczne rzeczy, które można by

zjeść: owieczki, ciastka, jeszcze więcej rózu. Paski i ramiączka z różowej kozłej skóry. Białe plastikowe listki na kapeluszu Janet. (Sylvii nie było dobrze w wiązanych na wstążkę kołnierzykach, falbaniastych wykończeniach, frędzlach, różyczkach czy żabotach. Tłumiły jej wewnętrzny blask i sprawiały, że stawała się matowa).

Porządna suknia do teatru w kolorze błękitnym. Kusy zakiet. Sukienki na randki z połyskującego rayonu. Sukienki dzianinowe z prążkowanego dżerseju albo zwykły dżersej prezentowany na dziewczynach z college'u Vassara. Zakochasz się w tej elegancko odszytej koszuli. Sukienki dla platynowych blondynek, płaszcze z wielbłądziej wełny, wełna brązowa i królicze futro „na godziny wieczorne”. Długie wąskie szorty skradzione chłopcom z Princeton i noszone ze wzorzystymi apaszkami. Czerwone skórzane czapki gazeciarzy, tweedy w jodełkę zestawiane z oksfordzkim granatem, marynarka z Eton, marynarka z Norfolk, czarne sztruksowe marynarki od Brooks Brothers. Beżowe trencze z diagonalu noszone jako sukienki, skarpety w romby, spódnica z mankietem, tkaniny takie jak krawatowy jedwab, wełna na mundury, flanela. Na stronie dwieście trzydziestej szóstej jeszcze więcej tweedów dla chłopców — w artykule *Dzięki, brachu*.

Od Lexington po Madison, tablica korkowa nabita pinezkami i szpilkami do kapeluszy, redaktorki i ich osobliwe stroje. Redaktorki modowe obśmiewają faux pas, do jakiego doszło w klubie El Morocco. BTB wymachuje rękami, mówiąc do Candy, Laurie i Sylvii: „Jesteście moimi pisarkami. Oczekuję od was czegoś wspaniałego”. Intelktualistki i ślicznotki, redaktorki gościnne, asystentki, tymczasowe modelki o matowej cerze — nie wilgotnej i tłustawej jak u Sylvii.

Nedra wygląda cudownie w modnym czarnym pulowerku, równie świetne są jej szkice balerinek do rubryki o pantoflach. Candy Bolster przeprowadza wywiad z chichoczącym Dylanem Thomasem, a Sylvia wygląda promiennie i radośnie, nachylając się nad stołem do Elizabeth Bowen. Neva przytula się do Roddy'ego McDowella za kulisami w Barrymore Theatre, a Jacques d'Amboise jaśnieje w trykocie w cętki. W artykule Sylvii *Poeci kampusu* zamieszczono eleganckie portrety Richarda Wilbura, Anthony'ego Hechta, George'a Steinera i Alistaira Reida. Carol mówi, że chciałaby poślubić pisarza, Sylvia wolałaby raczej prawnika.

W biurze Margarita Smith odpala jednego papierosa od drugiego, a za nią chodzi dziewczyna, która dogasza tłące się niedopałki. Na śniadanie są ciastka od Macy's i kanapki od Horwitza & Dubermana. Wiezorami jest szampan, czasami też w ciągu dnia. Cyrilly pali papierosy i je grejpfruta, a Anne Delafield rozprawia tabletki odchudzające. Panna Tobé radzi zainteresowanym modą dziewczynom, by obserwowały szykowne kobiety. „Jeśli nie stać cię na elegancki lunch w modnej restauracji, możesz usiąść w lobby i się przyglądać”.

PRZEKAZ

*Cała nasza grupa chce połączyć
małżeństwo (i przynajmniej trójkę dzieci)
z karierą zawodową.*

neva nelson

Dla czytelniczek „Mademoiselle” umiejętność kręcenia loków na wsuwce była tak naturalna jak oddychanie. Ingeborg de Beausacq wylicza osiem produktów kosmetycznych, które „musisz mieć”, w tym: puder Shakti marki Coty, podkład Pan-Cake z lanoliną marki Max Factor, jedwabne gąbeczki za trzydzieści pięć centów, miniaturowe grzebyki marki Breck. Szampon Procter & Gamble — czy mogą być czystsze? Szampon Drene sprawia, że dzięki gęstej pianie włosy stają się jedwabiste, i jest delikatniejszy niż Castile.

Niezależnie od tego, co robisz i dokąd idziesz, poczujesz się lepiej w bieliźnie modelującej sylwetkę Perma Lift. Intuicja w przeciwieństwie do pobierania nauki jest darmowa, więc kup majtki wyszczuplające Gossarda, by od razu odzyskać figurę uczennicy. Internat. Koronka w kolorze „babcięcej koszuli nocnej”, nylonowe półhalki obszyte przezroczystą lamówką haftowaną w śnieżynki. Bielizna Kickernick do szkoły. Kamizelki w kratkę, loafersy, grube podkolanówki noszone do bermudów i mokasynów z frędzlami, pasiaste marynarskie koszule w stylu francuskim. Kolekcja kampusowa zakardowych koszul z francuskimi mankietami. „Dublerki” od Mojur, „dla dziewcząt, które wiodą prym w kampusie i dla bystrych dziewcząt pracujących zawodowo”. Halki i suknie z „marszczoną siateczką, by podkreślić twój glamour!”

New! a shampoo that
Silkens
your hair!

I love it, I love it—how my hair shines. So—so silky to touch, so silky bright. *Oh*—shampoo with the new Drene—that's every last thing I did to make it so silky.

New magic formula . . . milder than castile!

There's silkening magic in Drene's new lightning-quick lather. No other lather is so thick, yet so quick—even in hardest water!

Magic . . . this new lightning-quick lather . . . because it fluffs up like lightning, because it rinses out like lightning, because it's milder than castile! Magic? because this new formula keeps your hair bright as silk, smooth as silk, soft as silk. And so wonderfully obedient.

Just see how this luxurious new Drene silkens your hair! You have an evening experience coming!



New Lightning Lather— a magic new formula
that silkens your hair . . . **Milder than castile—**
so mild you could use Drene every day!

This is a *New* Drene!
A PRODUCT OF WOOTER & GANBLE



Pokolenie blond. Ciche pokolenie. Uśpione pokolenie. Pokolenie nie-ma-na-co-narzekać. Pokolenie biernych — „cóż, rzeczywiście dużo leżymy na kanapie”. Pokolenie beatników. Pokolenie poniedziałkowych beatników. Pokolenie tak—nie. Pokolenie przedmieść. Pokolenie uczelniane.

BEAT

„Mademoiselle” wcześniej odkryła beatników. Poeta Gregory Corso swój literacki debiut miał właśnie na jej łamach, a do połowy lat pięćdziesiątych publikowali tam William S. Burroughs i Jack Kerouac. Joyce Johnson — dziewczyna z *W drodze* Kerouaca — zobaczyła go po raz pierwszy właśnie w „Mademoiselle”.

„Jaki jest twój typ mężczyzny?”. Czy Nieugięty Absolwent Ligi

Bluszczowej? Dość na bieżąco z teatrem i ubolewa nad jakością magazynów satyrycznych. Ma garnitury od Brooks Brothers, tweedowe marynarki od Harrisa z łąkami na łokciach i spod stołu wykrzykuje: „Kto chce pić z umiarem?”. A może Zawadiacki Poeta? Richard Wilbur pozuje do tekstu Sylvii *Poeci kampusu* pod liściastym ornamentem na uniwersytecie. Dylan Thomas twierdzi, że jest jednym z „opasłych autorów cienkich tomów”. Albo Złowieszczy Brutal w typie Marlona Brando? Lub Dandys jak Jacques d’Amboise? Jest jeszcze Howard Mumford Jones, twórca subkultury beatników, który obawia się „ciemnego bezrozumnego terroru”. Vance Bourjaily, jak zwykle przystojny i promieniejący. Wszyscy też chcieli E.B. White’a, ale nikomu nie udało się go przekonać. Podrywacz taki jak José Ferrer, Ważniak, Włoski Stylista. A także Intelktualista, którego partnerka „musi lubić zagraniczne filmy, jadłodajnie i czarną kawę, musi też akceptować seks (obiektywnie) i nigdy, przenigdy nie wspominać o firmie jego ojca”.

Na stronie dwieście sześćdziesiątej czwartej w tekście zatytułowanym *Zaszufładowane pokolenie* Howard Mumford Jones podziwia współczesne studentki college’ów za to, że „mają pod kontrolą sprawy seksu i picia”. Według Johna Clellona Holmesa wszyscy świetnie bawią się „pijaństwem, rozwiązłością i pędem”. „Wśród studentek robienie kariery jest passé” — twierdzi Mumford Jones, bo tak naprawdę każda chce wyjść za mąż i zacząć rodzić dzieci. Obaj zgadzają się, że współczesne pokolenie żyje w lęku przed bombą wodorową, a John Clellon Holmes wini za taki stan rzeczy technologię. Według młodego mężczyzny palącego fajkę wszyscy powinniśmy albo popełnić samobójstwo, albo zacząć chadzać na wspaniałe przyjęcia. Tak czy inaczej, powinniśmy raczej zacząć kupować whiskey, a nie zmywarki.

W numerze są trzydzieści trzy reklamy szkół dla sekretarek, w tym znienawidzonej Katherine Gibbs, oraz dwanaście reklam kursów stenografowania. Dwie reklamy porcelany marki Oneida, jedna pierścionków zaręczynowych i trzy szamponów, po których ma się jedwabiste włosy. Palący fajkę podziwia młode kobiety za ich odwagę i chwali się swoją ukochaną, która przejechała autostopem trasę od New Haven do Los Angeles. Następnie wychodzi, by szukać dziewcząt na Times Square — tych rozdających ulotki i własnoręcznie zwijających papierosy.

Strona dwieście osiemdziesiąta ósma: pomysły Malindy na dekorację pokoju w akademiku, gustownie zilustrowane geometrycznymi rysunkami w czerwieni, czerni i beżu. Pięć stron studentek z college’u Sarah Lawrence w żakietach, krótkich spodenkach i podkolanówkach. Dziewczyna w jasnych skórzanych szortach i tweedowej kurteczce trzyma pomarańczowy lód na patyku. Dziesięć stron dalej Enrico Caruso robi Adel fryzurę w stylu *Rzymskich wakacji*, skracając jej blond loki. Reklamy — podkładu marki Max Factor, ołówków do brwi marki Maybelline, eye-linerów i tuszy do rzęs. Perfumy Guerlain — Vol de Nuit, L’Heure Bleue, Fleur de Feu, Mitsouko i Shalimar w nowoczesnej butelce

wypełnionej ambrawą, wanilią i przydymioną skórą.

Nowy, ulepszony Relaxacisor wytopi z obwodu pasa dziesięć centymetrów i to wtedy, gdy śpisz, czytasz albo szyjesz, bez żadnego masażu czy wibracji. Lord and Taylor chwali się wielką imitacją zegarka z kryształów. Jest też bizantyjska w stylu bransoleta z monet na stronie trzysta sześćdziesiątej drugiej, a sześć stron dalej kotek przebrany za stewardessę zachęca, by zapisać się do szkoły dla personelu pokładowego. Lawina sposobów na kontrolę płodności, włącznie z napojem o smaku sherry i pigułką ze skórki cytryny (trzy pigułki dziennie już przynoszą efekt, a odstawienie na czterdzieści osiem godzin efekt ten niweluje).

Na koniec „tegoroczne złotko”: Miss Rzymu, która podczas konkursu odmówiła obnażenia nóg (z szacunku dla rodziców — hrabiego i hrabiny Lovatelli).





Rysunki Adel Schmidt do tekstu Laurie Glazer *Jaki jest twój typ mężczyzny?*

*Nie chcę być mądry,
bo od tego dostaje się depresji.*

*andy warhol,
the philosophy of andy warhol*

NASTĘPSTWA

PO „MADEMOISELLE” CHOĆBY POTOP

*Choć horoskopy dotyczące naszych
najodleglejszych orbit nie są jeszcze gotowe,
my, redaktorki na stażu, liczymy na korzystną
prognozę i żegnamy „Mademoiselle” —
gwiazdę kampusu.*

sylvia plath dla „mademoiselle”,
sierpień 1953

„Cały miesiąc był niezwykle ekscytujący, burzliwie cudowny” — wspomina Laurie Glazer. — „Bardzo się nami opiekowano. Niektóre gościnne redaktorki z płaczem zorientowały się, że czerwiec dobiegł końca, ale większość z nas była zbyt zmęczona, by protestować. Rozjechałyśmy się każda w swoją stronę, by w samotności przeżywać własne rozczarowanie. Pamiętam umalowane usta Sylvii i jej pazia à la June Allyson. «Napisz do mnie» — powiedziała. Było w niej samo światło i ogień, nie miała w sobie nic z szarej myszki” <103>.

Większość funkcjonowała na adrenalinie, tak jak Gloria Kirshner, która — dzięki przyjęciu u BTB — była na najlepszej drodze do zrobienia kariery zawodowej w telewizji i miała wkrótce poznać mężczyznę, przyszłego drugiego męża i miłość jej życia.

Wyjazd Laurie Totten był mniej porywający, ale względnie dobry.

— Pod koniec miesiąca nie czułam się zmęczona ani przygnębiona. Nie mogę powiedzieć, by praca w „Mademoiselle” zmieniła mnie w jakiś istotny sposób, ale na pewno dzięki niej odkryłam, na czym mi zależy. Zdałam sobie również sprawę, że na szczycie jest bardzo mało miejsca, więc najprawdopodobniej musiałabym stać się bardziej agresywna i wprowadzić kilka innych zmian, nie do końca zgodnych z moją naturą. Nie chcę szkalować tych, którzy osiągnęli szczyt, ani tych, którzy usiłują się tam dostać, nie chcę się także samobiczować za to, że mi się nie udało. Po prostu musiałam się z tym faktem zmierzyć. Prawdopodobnie nie zrobiłabym tego bez miesiąca w „Mademoiselle”, gdzie mogłam obserwować takie życie na własne oczy. Wróciłam do pracy w Filene’s w Wellesley, w dziale bluzek. Płacili sześćdziesiąt osiem centów za godzinę. Była to najnudniejsza praca, jaką kiedykolwiek miałam.

Niektóre gościnne redaktorki, na przykład Laurie Glazer i Candy Bolster, z „Mademoiselle” pojechały prosto do Europy. (Choć dla Laurie objazd po Europie jedynie opóźnił nieuniknione załamanie — osłabiona astmą płakała

w rozgrzebanym łóżku w Iowa).

Poza Sylaia to Neva miała jak dotąd najgorzej. Każda z gościnnych redaktorek sama musiała uregulować rachunek za pokój w Barbizonie, ale ona o tym nie wiedziała. Wydawało jej się, że w Nowym Jorku zarabia się duże pieniądze, więc spotkała ją przykra niespodzianka — nie mogła przeznaczyć zarobków z „Mademoiselle” na powrót do Kalifornii.

— Wzięłam udział w konkursie, myśląc, że praca w dużym czasopiśmie w Nowym Jorku przyniesie mi furę pieniędzy — wspomina. — Zamiast tego wracałam do domu z długami za zakupione ubrania i bilet lotniczy.

Na szczęście John Appleton nadal szalał na jej punkcie i udało mu się przekonać dziadka ze Street and Smith, by załatwił Nevie pracę w Nowym Jorku. Przez kilka tygodni wyglądało to tak, że szlachetnie urodzony John poważnie myśli o Nevie, sierocie z Kalifornii. Przerażony dziadek Appleton z radością opłacił Nevie cały pobyt w Barbizonie. Neva miała teraz akurat tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na pociąg California Zephyr, i akurat tyle jedzenia, by przetrwać podróż przez cały kraj — kilka jaj na twardo, małą puszkę mielonki i kawałek sera.

103› Laurie Glazer, *Outside the Bell Jar*, „Chicago Sun Times”, 6 kwietnia 1979.

wstrząs

w tym allaphbecie! [...] czyto za świat?

james joyce, *finneganów tren*

Sylvia wracała z Nowego Jorku pociągiem w bluzce i spódnicy Kowbojki Polyanny. Nie miała bagażu, tylko papierową torbę przejrzałych awokado i tom opowiadań, który otrzymał nagrodę O. Henry’ego. Po raz pierwszy od czasów liceum czekało ją lato w Wellesley. Natychmiast przygotowała się do opalania i czytania — biała bluzka bez pleców, spodenki kąpielowe, coca-cola albo lemoniada, podkładka, czarne długopisy i, niestety, *Ulisses*. Przygotowując się do napisania pracy dyplomowej o Joysie, Sylvia przeczytała już *Dublińczyków*, *Portret artysty z czasów młodości* oraz częściowo *Finneganów tren*. Wiedziała, że Joyce jest trudny — nawet taszczący Joyce’a wszędzie ze sobą Gordon (tak naprawdę wolał lżejsze rozrywki, typu *Dublińczycy* lub *Muzyka kameralna*) podchodził z dystansem do swojego ulubionego pisarza. Ku jej przerażeniu każde zdanie roztapiało się w breję liter. Ona, która przed dwunastym rokiem życia dwukrotnie przeczytała *Burzę*, po prostu nie była w stanie czytać tej książki.

Co gorsza, nie przyjęto jej na letni kurs pisania. Odrzucenie to w połączeniu z trudnościami w odbiorze *Ulissesa* spowodowało w niej lawinę wątpliwości tak destrukcyjną, że utraciła wiarę we własną zdolność czytania i pisania. Po kilku dniach zmagania z Joyce’em Sylvia zaczęła myśleć o sobie jako analfabecie.

„Zrozumiałam wtedy, jak wielka zmiana się w niej dokonała. Cała jej dotychczasowa radość życia wyparowała” — powiedziała Aurelia Plath. — „Mama próbowała mnie pocieszyć, że to prawdopodobnie przejściowa naturalna reakcja na napięcia ubiegłego roku. Sylvia nie miała chwili wytchnienia, więc zachęciliśmy ją, by po prostu odpuściła i wypoczęła. Przygotowaliśmy jedzenie i jeździliśmy na pikniki na plaże w New Hampshire i Massachusetts. W domu zaś opalała się, zawsze z książką pod ręką, choć nigdy nie czytała. Po wielu takich dniach w końcu zaczęła ze mną rozmawiać, wylewając nieskończony potok samokrytyki i samooskarżeń. Mówiła, że nie widzi przed sobą żadnego celu. Skoro nie potrafiła już czytać ze zrozumieniem, a co dopiero pisać twórczo, co miała począć ze swoim życiem?” <104>.

Rozwijało się w niej chore i lepkie poczucie, że została „zdemaskowana”, że jest oszustką, że nie zasługuje na nagrody, miejski szyk, ani nawet na śliczne i zadbane zielone trawniki czy korty tenisowe. Usiłowała się nawet nauczyć stenografii, demonicznych znaczków, które topiły się w jej głowie. Znowu

znenawidzona Katie Gibbs.

„Próbując wziąć się w garść, Sylvia sądziła, że regularne wykonywanie jakiejś aktywności uchroni ją przed zmarnowaniem do reszty całego lata” — pisała Aurelia. — „Chciała więc, bym każdego dnia przez godzinę uczyła ją stenografii po to, aby mogła znaleźć sobie zlecenia i wesprzeć mnie finansowo. Żeby znowu mogła zacząć pisać. Przeprowadziłyśmy razem cztery lekcje, jednak jej naturalny charakter pisma nie nadawał się do zapisywania połączonych znaków w systemie Gregga. Ulżyło mi, gdy doszłyśmy do porozumienia, że akurat bez tej umiejętności jakoś przeżyje. Potem żałowałam całego tego pomysłu, bo dołożył się tylko do narastającego w niej poczucia klęski i niższości” <105>.

Na dodatek listy od Dicka Nortona — „Jak ci idzie stenografowanie?” — nie pomagały.

Sylvia jaśniała za to przy swoim chłopcu Gordonie Lameyerze. Spędzali razem całe dni, jeżdżąc do New Hampshire i na Cape, czytając na głos *Finneganów tren*. Słuchali płyt — nagrań Dylana Thomasa z wytwórni Caedmon, a czasem i Edith Sitwell. W obszernej kolekcji płyt Gordona znajdowali się też ulubieni kompozytorzy Sylvii: Beethoven, Brahms i Sibelius. Tamtego lipca przesłuchali wszystkie dziewięć symfonii Beethovena i wszystkie cztery symfonie Brahmsa. Kilkadziesiąt lat po jej śmierci Gordon będzie nadal słuchał suity *Karelia* i wspominał „jasną energetyczną stronę” <106> Sylvii.

Kiedy trzynastego lipca Gordon wyjechał na szkolenie oficerskie, była zrozpaczona i natychmiast zaczęła snuć wyobrażenia, że jej ukochany świetnie się bawi, jeżdżąc po świecie, kolekcjonując pieczątki w paszporcie i kobiety o egzotycznych imionach. Krótco po jego wyjeździe Aurelia wróciła do domu i zastała córkę z głębokimi ranami ciętymi na nogach, widocznymi nawet spod koszuli nocnej. Natychmiast zabrała ją do lekarza rodzinnego, który zapisał środki nasenne i elektrowstrząsy. Pierwszy zabieg odbył się w środę dwudziestego dziewiątego lipca. Sylvia zaznaczyła go w kalendarzu słowem „wstrząs”.

Elektrowstrząsy (obecnie znane jako terapia elektrowstrząsowa) zostały wynalezione przez włoskiego lekarza, którego zainspirowała praktyka uboju w rzeźni i przepuszczanie świniom przez skronie prądu elektrycznego. Zabieg polega na tym, że lekarze umiejscawiają na głowie chorego elektrody i przepuszczają przez nie prąd, wywołując drgawki. Do wczesnych lat pięćdziesiątych elektrowstrząsy znajdowały szerokie zastosowanie i przeprowadzano je bez użycia środków uspokajających ani znieczulających. Podczas takich zabiegów Sylvia była całkowicie przytomna i doświadczała bardzo silnych konwulsji. Po zabiegu odwożono ją do maleńkiej salki, gdzie roztrzęsiona w samotności próbowała do siebie dojść.

Jednym z objawów ubocznych była ostra bezsenność. Sylvia, mimo specyficznego bezwładu, nie mogła zasnąć przez dwadzieścia jeden nocy. Pigułki

nasenne, które przedtem do pewnego stopnia przynosiły ulgę, teraz stały się bezużyteczne. W jej dawniej zapełnionych randkami, podwieczorkami i pokazami mody terminarzach teraz widniały tylko szare ołówkowe ikсы (X oznaczał brak snu). Iksowała całe tygodnie w sierpniu, czasem dopisując ołówkiem „nie tu”.

Pięćdziesiąt osiem dni po powrocie z Nowego Jorku, gdy jej matka wyszła do kina, Sylvia próbowała się zabić. Był dwudziesty czwarty sierpnia, gorący, zgubny wieczór. Zaróżowiona od duchoty, z błyszczącymi oczami, zabrała dzbanek wody, buteleczkę Nembutalu i koc, następnie wczółgała się w ciasną szparę w piwnicy i wzięła pierwszą tabletkę. Popiła ją i przełknęła, potem popiła i przełknęła kolejną i kolejną, w końcu, gdzieś przy czterdziestej tabletkce, straciła przytomność.

104› Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 123.

105› Tamże, s. 124.

106› Gordon Lameyer, *Diana's Mirror*, dz. cyt.

„PIĘKNA STUDENTKA SMITHA Z WELLESLEY ZAGINEŁA”

*Wszyscy uważają, że ich przypadek
jest tak ważny, że wymaga pomocy psychiatry.*

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
10 stycznia 1953

LAURIE TOTTEN: Do mojej mamy zadzwoniła mama Sylvii z pytaniem, czy się z nią ostatnio kontaktowałam... bo zaginęła. Oddzwoniłam do pani Plath i powiedziałam, że bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia, gdzie może się podziewać, i że na pewno dam jej znać, jeśli się czegoś dowiem. Następnie, bez informowania jej o tym, wsiadłam na rower i pojechałam wzdłuż Weston Road, dwupasmowej ruchliwej drogi, która wiodła przez tereny leśne. W tej okolicy nie było zabudowań, a ktoś, kto jechał na rowerze albo szedł poboczem, mógł łatwo zostać potrącony i zepchnięty w gęste zarośla. Nikt się tu raczej sam nie zapuszczał z uwagi na trujący bluszcz. Na szczęście nie znalazłam tam Sylvii. Teraz to się wydaje niemądre, ale wtedy tylko to mogłam zrobić.

„Informacja o zaginięciu Sylvii, którą zgłosiłam na policję, została wyemitowana w radiu” — powiedziała Aurelia Plath. — „Potem jednak odkryłam, że ktoś wyłamał zamek do mojej metalowej skrzynki i zniknęła z niej butelka tabletek nasennych. Trzeciego dnia w południe podczas lunchu Warren jako pierwszy usłyszał jęki dochodzące z piwnicy. W mgnieniu oka zerwał się od stołu i usłyszeliśmy jego krzyk: Wezwij karetkę! Odnalazł swoją siostrę, która odyskiwała przytomność w wąskiej szczelinie tuż pod sypialnią na parterze, zwykle zawalonej drewnem do kominka. Przy Sylvii leżała na wpół opróżniona butelka leków. W ciągu kilku minut zaniecono ją do karetki i pojechaliśmy za nią do szpitala Newton–Wellesley. Powiedziałam jej, że teraz musi się skupić wyłącznie na odpoczynku, a przy dobrej opiece medycznej wkrótce wróci do zdrowia” <107>.

Odparła jedynie:

— Och, gdybym tylko mogła znów być na pierwszym roku studiów. Tak strasznie chciałam być studentką Smitha.

Sylvia Plath to było już rozpoznawalne nazwisko. Byłam sekretarką redaktora prasowego w „Mademoiselle”, gdzie zaledwie miesiąc wcześniej miała staż, i moje pierwsze zadanie polegało na wyszukaniu wszelkich informacji na temat jej próby samobójczej. „Zaginęła studentka Smitha”, donosiły gazety, a potem „Studentka Smitha odnaleziona”. Ja wycinałam te notki i wklejałam do

specjalnego albumu z wycinkami dla mojego szefa, nie wiedząc do końca, czy taki rozgłos jest dobry, czy zły dla nadchodzącego numeru uczelnianego. Patrząc z perspektywy, wydaje mi się, że było to korzystne. Tak jak analizuje się zdjęcia spadochroniarza przed śmiertelnym skokiem, tak w sierpniowym numerze „Mademoiselle” można było przyjrzeć się dokładnie dziewczynie ze Smitha, zanim połknęła tabletki nasenne i wślizgnęła się do szczeliny w piwnicy. Sama też studiowałam jej zdjęcia. — Jaka ona była, panie Graham? — zapytałam szefa. — Jak cała reszta — odparł. — Niecierpliwa.

mary cantwell, *manhattan, when i was young*

107> Sylvia Plath, *Letters Home*, dz. cyt., s. 126.

ZAMKNIĘCIE

Lekarze, którzy badali Sylvię bezpośrednio po próbie samobójczej, zamierzali ją wypuścić. Jej psychiatra nie odnalazł „żadnych śladów psychozy”, żadnej schizofrenii. Ale Sylvia odmówiła powrotu do domu, przez co wylądowała na zamkniętym oddziale psychiatrycznym w Massachusetts General Hospital w Bostonie. Wpadła w pułapkę, była teraz kompletnie odizolowana od ludzi, nie licząc innych pacjentów, bardzo poważnie chorych psychicznie. Co gorsza, poddano ją kolejnej okropnej i upokarzającej kuracji — terapii insulinowej.

Leczenie wstrząsami insulinowymi polegało na wielokrotnym podawaniu pacjentowi dużych ilości insuliny w celu wywołania śpiączki. Po takim zabiegu pacjent był zlany potem, rozedrgany i niespokojny, a wiele osób dostawało „wstrząsów następczych”, czyli pełnoobjawowych ataków.

Codziennie śpiączki i ataki. Przyrost wagi. Sylvia już musiała się tolerować z grubą brązową blizną pod jednym okiem, a teraz na dodatek jej ładna twarz stała się napuchnięta i pokryta sińcami. Nie pasowały na nią ubrania. Nie była w stanie patrzeć na siebie w lustrze, więc przestała czesać i myć włosy. Zrezygnowała z makijażu, nawet z charakterystycznej dla niej czerwonej szminki. Była w oplakany stanie.

W październiku przeniesiono ją do szpitala McLean w Belmont w stanie Massachusetts. <108> Arystokracja z Bostonu dyskretnie zaludniała tam zielone tereny i rezydencje w stylu Tudorów (z prywatnymi pokojami) już od 1917 roku. Przez wypielęgnowane trawniki przebiegały lisy, a członkowie Audubon Society przyjeżdżali na obserwacje ptactwa. Dyrektor szpitala Franklin Wood był wzruszająco dumny ze „swojego” ośrodka i chlubił się jego pięknem i podobieństwem do kampusów uniwersytetów z Ligi Bluszczowej. Nieco szaleni pacjenci ubierali się ze smakiem, a ich nazwiska pochodziły z czasów „Mayflower”. Pewna elegancka matrona przechadzała się w błękitnej barokowej sukni, skopiowanej z portretu Thomasa Gainsborougha.

W McLean Sylvia mogła wypożyczyć książki z obszernej biblioteki i czytać je w kawiarni. Mogła pójść na kręgle, zagrać w tenisa, spacerować albo uczestniczyć w terapii zajęciowej. Mogła skorzystać z terapii wodnej w jednej z podłużnych francuskich wanien — siadało się w takiej wannie i dostawało lodowate bicze wodne z chromowanego węża. Było jak w *Czarodziejskiej górze* — na przykład pomyśl, że smaczne jedzenie i spacer na świeżym powietrzu mogą złagodzić cierpienia umysłowe. Dla Sylvii szpital McLean był idealnym antidotum na Nowy Jork, w dodatku skutecznym.

Do „absolwentów” szpitala dołączą później Robert Lowell i Anne Sexton.

Ale to Sylvia Plath była pierwszą sławną pacjentką. Przydzielono jej doktor Ruth Tiffany (z tych nowojorskich Tiffanych) Beuscher — atrakcyjną młodą kobietę w kocich okularach, która nosiła rozkloszowane spódnice, białe bluzki i szerokie skórzane paski. (Kilka miesięcy później Sylvia będzie kopiować ten styl). Ruth paliła papierosy Nat Shermans i zachęcała ją do założenia sobie krążka macicznego, co ta zresztą bezzwłocznie uczyniła.

Tuż przed opuszczeniem McLean Sylvia dostała paczkę od „Mademoiselle”. Był to oprawiony w twarde okładki sierpniowy numer magazynu, nad którym pracowała, z wytłoczonym na okładce złotym napisem „Sylvia”. Wewnątrz ktoś napisał: „Mamy nadzieję, że teraz, w grudniu, lubisz nas tak samo jak wtedy, w czerwcu”. Podpisano: BTB.

Nastał grudzień. Sylvia czuła się gotowa, by wrócić do domu.



Sylvia w 1954 roku po powrocie do zdrowia — ubrana w inspirowane doktor

Ruth spódnicę i pasek

108› Jej donatorka, Olive Higgins Prouty, miała na tyle determinacji oraz pieniędzy, by ją tam umieścić. Olive Prouty przed laty sama cierpiała na załamania nerwowe i szczerze kochała Sylwię.

DOM JEST TAM, GDZIE ROZWIESZASZ NYLONY

Właśnie, trawiąca mnie chęć wmieszania się w towarzystwo kolejarzy, marynarzy, żołnierzy lub pijaków — by być częścią grupy, anonimowo, słuchając, zapamiętując — wszystko to jest niemożliwe przez fakt, że jestem dziewczyną, kobietą, zawsze narażoną na natręctwo i gwałt. Moje nieodparte zainteresowanie mężczyznami i ich życiem często bywa źle rozumiane jako chęć uwiedzenia ich, jako zaproszenie do flirtu. A ja, na Boga, chcę z każdym rozmawiać.

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
18 lipca 1951 roku

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego (poza zrzuceniem insulinowej wagi), było utlenienie włosów. Zrobiły się szare, ale przede wszystkim długa blond grzywka odwracała uwagę od białej blizny na lewym policzku. Zamiast więc pojawić się w Smith ukradkiem, okryta hańbą, Sylvia wparowała tam jako promienna i rozgadana blondynka. Jej naturalna żywiołowość powróciła — w dodatku miała tę ciepłą poświatę ekskluzywności, którą się ma zwykle po tygodniu w spa albo na jachcie. Profesor ze Smith College Robert Davis zapamiętał, że Sylvia wyglądała i zachowywała się, jakby właśnie wróciła z nart w Vermont albo z wakacji na Bermudach.

Próba samobójcza i pobyt w McLean przyczyniły się raczej do umocnienia jej splendoru podczas ostatniego roku w Smith. „Próbowała się zabić. Kto z naszych znajomych kiedykolwiek próbował to zrobić? Niedobrze jest stracić semestr, ale stracić go z powodu próby samobójczej?!” — chętnie przyjęła tę wersję. Młodsze dziewczęta ją uwielbiały — w kampusie stała się żywą legendą. Na piknikach albo na przyjęciach, owinięta w koc lub ręcznik, zawsze otoczona była wianuszkiem dziewcząt. Jej pokój działał jak magnes — ściągały tu wszystkie dziewczyny na długie popołudniowe plotkowanie. Godzinami wiodła tam prym, opowiadając szalone historie randek i mężczyzn albo prowadząc szczere dyskusje o depresji — stawiała czoło i temu. I jak zawsze błyszczała wiedzą.

Jednak osiągnięcia naukowe nie były teraz dla Sylvii priorytetem. Rok 1954 stał pod znakiem chłopców. Przed Nowym Jorkiem umawiała się z mężczyznami, którzy potrafili w najlepszym razie cytować Dylana Thomasa podczas atletycznych wyczynów, a w najgorszym zabierali ją na wykłady z chorób krwi. Pobyt na Manhattanie pozostawił w niej fascynację półświatkiem. Wszystko miało teraz ulec zmianie.

W kwietniu 1954 roku poznała Richarda Sassoona (bratanka brytyjskiego

poety Siegfrieda Sassoona). Richard urodził się w Paryżu, kształcił w Londynie, był młody, niski, ciemnowłosy i chorowity. Przypominał Kafkę, pisał jak markiz de Sade, a zdrowie miał słabsze niż Proust. Nie dało się wykonać bardziej dramatycznego zwrotu niż ten od Gordona do Richarda. Gordona bardzo zdumiało takie zastępstwo i nazwał Sassoona „dziwnym małym typkiem” <109>. Richard nie należał do wysokich, a w dziennikach Sylvii kilkakrotnie występuje jako „brązowy robak”. Brak postury rekompensował z nawiązką napastliwym zepsuciem. Oстрыm charakterem pisma pisywał szalone pijackie listy, przechodząc bezwiednie z angielskiego na francuski, i z powrotem. Dawał Sylvii klapsy, o czym radośnie opowiadała zmartwionym przyjaciółkom. Uwielbiała go. Dzięki niemu czuła się pewna siebie, na tyle pewna, by ponownie stanąć twarzą w twarz z Nowym Jorkiem. Spędzali tam weekendy, chodząc do kina, teatru i na długie spacery po mieście. Czasami u Steubena godzinami oddawali się jedzeniu — ostrygi, ślimaki, śledzie w śmietanie, francuska zupa cebulowa, steki, jagnięcina, truskawki i wino, wiele butelek francuskiego wina.

Richard nie był jedynym mężczyzną, z którym spotykała się w Nowym Jorku. Dziesięć miesięcy po „Mademoiselle” poleciała z Bostonu do Nowego Jorku na spotkanie z Ilo Pillem, wtedy już trzydziestopięcioletnim kreślarem. Ilo wyszedł po nią na lotnisko LaGuardia i zaproponował, by zamieszkała u niego w mieszkaniu dzielnym z matką Hildą we wschodnim Harlemie — wówczas zamieszkałym przez Estończyków, Litwinów i Rosjan.

Ciotki i wujowie Ilo zebrali się, by poznać Sylwię, a Hilda urządziła na jej cześć przyjęcie. Tłumy wcale jej nie spłoszyły, wręcz przeciwnie, świetnie się bawiła i w pewnym momencie zaczęła nawet mimowolnie mówić łamaną angielszczyzną (miała bowiem taką przypadłość, że od razu przejmowała cechy otoczenia). Egzotyka obco brzmiącego języka bardzo jej odpowiadała, zapewniała więc Ilo, Hildę i całą resztę, że bezzwłocznie zacznie się go uczyć.

Następnego ranka po otwarciu oczu zobaczyła pulchną opaloną twarz Ilo. Postanowił nie pójść tego dnia do pracy, by spędzić z nią cały dzień. Sylvia natychmiast powiedziała mu, że jest zaręczona.

Spędziła dzień sama, robiąc to, co lubiła najbardziej — spacerując. Chodziła całymi godzinami: przez centrum Harlemu, wzdłuż Morningside Heights i Columbia, w dół Broadwayem, aż za Pięćdziesiątą Ulicę, gdzie spotkała się z Cyrilly Abels i poszły na lunch do Ivy Room w hotelu Drake. Lunch był długi i przyjemny. Jadły sałatkę z homarem, gruszkami i — ulubionym owocem Sylvii — awokado. Rozmawiały o Dylanie Thomasie — Cyrilly była z nim na obiedzie na tydzień przed jego śmiercią — i o tym, że przeważnie pił na pusty żołądek.

We wtorek wieczór Sylvia wystroiła się na „czarno i aksamitnie”. W swoje blond włosy wpięła czerwoną różę.<110> (Ilo podarował jej pół tuzina róż w ramach przeprosin oraz na pożegnanie). Poszła na kolację ze swoim

przyjacielem Bishem do Asti w Village. Zjedli tam sałatkę szefa i jagnięcinę, a kelnerzy śpiewali arie. Potem popłynęli w wietrzny rejs promem na Staten Island (kolejna ulubiona rzecz, która w dodatku kojarzyła się jej z ostatnim dniem w Nowym Jorku i randką z Rayem). Na pokładzie byli sami i pili gorącą czekoladę. Wszyscy inni pasażerowie pozostali wewnątrz „w cieple, bez przeobrażeń”. Sylvia przypomniała sobie wiersz Edny St. Vincent Millay pod tytułem *Recuerdo*: „Byliśmy tacy zmęczeni i tak nas bawiło ogromnie,/ Że spędzamy noc na tym kursującym wahadłowo promie” <111>.

Nazajutrz obwieściła Ilowi, że wraca do domu (choć tak nie było), szybko wsiadła w taksówkę i pojechała do Union Seminary, obudziła Bisha, zjadła z nim śniadanie oraz poszła na wykłady Paula Tilicha i Reinholda Niebuhra. Zjedli lunch. Wkradli się do pustej sali muzycznej, gdzie Bish śpiewał arie operowe (tenorem), a Sylvia akompaniowała mu na fortepianie. Prosto stamtąd poszła na spotkanie z Janem w Greenwich Village. Ojciec Jana był artystą, „grubym, śmiertelnie poważnym Niemcem”. Otworzył jej drzwi w ich studio zawalonym książkami i obrazami, mieszczącym się na dziewiątym piętrze.

Matka Jana tylko raz na nią spojrzała i zawyrokowała: „Kochanie, musisz się zdrzemnąć”, wskazując na sypialnię, gdzie Sylvia przespała następnie dwie godziny. Potem był obiad, sherry i *Sokół maltański* z Janem w Greenwich Theatre. Sylvia z przyjemnością oglądała Petera Lorre’a i „dopiero co zmarłego kolosa” Sydneya Greenstreeta. Zobaczyli też *Cień wątpliwości* z Josephem Cottenem w roli „przystojnego duszącego wuja”. Odprężali się potem, popijając daiquiri — ulubiony koktajl Sylvii — w pobliskim hotelowym barze.

Nie minął nawet rok, odkąd stuknęła na maszynie w Celi, a teraz siedziała przy obiedzie z Cyrilly Abels, jej niegdyś budzącą respekt szefową. Coś się zmieniło — Nowy Jork wyleczył Sylvie z wściekłego perfekcjonizmu, z którego była znana. Zdała sobie sprawę, że w Nowym Jorku reputację tworzy się nie na perfekcji, ale szczerzej, oszlifowanej niczym brylant błyskotliwej osobowości. Coś się teraz w Nowym Jorku otwarło, z wnętrza wypełzły cienie i tańczyły, rozdeptując naiwność Sylvii. Teraz nawet pomyłki, postrzępione halki i upadki przepełnione były możliwościami.

109> Gordon Lameyer, *Diana's Mirror*, dz. cyt.

110> Opis z niepublikowanego listu Sylvii Plath do Gordona Lameyera.

111> Fragment wiersza w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

PLATYNA

Och... a więc jesteś jedną z tych...

roger o. thornhill
w północ, północny zachód

O lecie 1954 roku — roku po Nowym Jorku — wszyscy mówili Platynowe Lato Sylvii. Choć jej włosy były raczej utlenione na żółto. Zdjęcia zrobione w tamtym okresie ukazują uśmiechniętą blondynkę na plaży. Mocno się opaliła i żeby to podkreślić, zakładała białe kostiumy kąpielowe. Wyglądała jak opalona wersja Marilyn Monroe. Wprost zachwycająco.

Sylvia była w szczytowej formie. To najpiękniejsze i najwspanialsze lato jej krótkiego życia.

WŁOSY

Po Platynowym Lecie Sylvia wróciła do sobolowego brązu, by wyglądać poważniej. Do czasu zamążpójścia w 1956 roku porzuciła charakterystycznego pazia i zapuściła naturalne fale, okiełznując je tylko czarno-czerwonymi opaskami, jak Brigitte Bardot. U schyłku życia nosiła długie aż za ramiona włosy w kolorze średniego brązu.

Chude modelki takie jak Suzy Parker czy blondwłosa Sunny Harnett były tego roku wyjątkowo popularne, a Sylvia przypominała je obie. Promieniała pewnością siebie, lecz ta poświata miała ciemniejszy i metaliczny odcień. Sylvia zrobiła się nawet trochę harda — wraz z trzema innymi dziewczynami wynajmowała dom w Cambridge i paradowała po nim jak pani na włościach. Wszystkie pieniądze przeznaczone na jedzenie wydawała na luksusy, takie jak kapary czy orzechy włoskie, i odmawiała kupowania banalnych, choć koniecznych rzeczy, na przykład papierowych ręczników.

Richard Sassoon spędzał lato w Europie, więc Sylvia zaangażowała się w związek z pewnym profesorem fizyki, który poderwał ją na schodach biblioteki Widener. (Po Nowym Jorku zdecydowanie bardziej ciągnęło ją do profesorskiego typu mężczyzn). Edwin był patykowaty i nosił grube, brązowe okulary. Oczarowywał dziewczyny, robiąc im steki, a potem wyskakując z ubrań. Takie wieczory często kończyły się gonitwą wokół kanapy w salonie. To on sprawił, że Sylvia dwukrotnie po seksie dostała krwotoku — jakże się różnił od Dicka Nortona. Skutkami „randki” z Edwinem były dwie wizyty na ostrymdyżurze,

doraźna pomoc współlokatek, tuziny zakrwawionych ręczników oraz łazienka, która po wszystkim przypominała masarnię. Sylvia się tym zupełnie nie przejęła i wkrótce wchodziła i wychodziła z mieszkania Edwina za pomocą własnego klucza. Trudno sobie wyobrazić, żeby dziewczyna podpisująca własne buteleczki lakieru do paznokci była aż tak zblazowana. Dziewczyna, która jeszcze niedawno nie mogła otrząsnąć się z szoku po ostrym zatruciu pokarmowym, teraz bez problemu leżała na okrytym ceratą stole, chlustając dokoła krwią i bez mrugnięcia okiem poddawała się prowizorycznym zabiegom ginekologicznym.



Platynowa Sylvia

Nigdy nie była cnotką, ale dzięki pobytowi w Nowym Jorku znacznie mniej przejmowała się, co pomyślą jej matka, profesorowie, a nawet przyjaciele. Przestała tak ciężko pracować. Zaczęła umawiać się z żonatymi mężczyznami.

Umawiała się z Richardem — małym, rozdającym klapsy sadystą. Przeżyła także okropne doświadczenie, gdy myślała, że jest w ciąży z Gordonem. Ten rycersko (oraz szczerze) zaproponował jej małżeństwo, ale kiedy ryzyko minęło, Sylvia zdała sobie sprawę, że tego nie chce.

W czerwcu 1954 roku przejawiała spryt, chłód i wyrafinowanie, które bez wątpienia poznała z bliska i zachwyciła się na tyle, by je przejąć jeszcze w Nowym Jorku. Podczas Platynowego Lata powstaje wiele fotografii. Podobnie jak Marilyn, Sylvia pozuje z przyjemnością. Na jednej z nich siedzi na piasku niczym sfinks w białym bikini. Jej postawa jest królewska, pewna siebie. Mogłaby uchodzić za cesarżową albo polityczkę. Mogłaby nosić diadem księżnej. Fotografia ukazuje kobietę zrealizowaną, kobietę o pozornie bezbrzeżnej odporności, stalowej dyscyplinie i optymistycznej naturze. Wydaje się wyglądać ze zdjęcia i mówić: „To ta część mnie, która przetrwała — przetrwała i rozkwitła”. Zupełnie nie przypomina Sylvii z podpuchniętymi oczami z portretu Landshoffa dla „Mademoiselle”.

Zaczynała akceptować — a nawet lubić — sprzeczność między czystym ja a nieprzyzwoitym ja (zakrwawione ręczniki i tym podobne). Cały ten zamęt, który rozpoczął się w Nowym Jorku, będzie się pojawiać jako temat przewodni w jej życiu i twórczości. Widać to w wierszach — gorączki, gips, zbyt jaskrawe tulipany. Optymistyczny i skomplikowany prawdziwy świat, który wciąż mimo wszystko kochała.

*Sylvia Plath nie była ucieleśnieniem
szalonej, opętanej poetki. Sylvia była
złotą dziewczyną, która wiedziała
o życiu więcej niż inne.*

elinor klein (przyjaciółka z college'u)
„glamour”, listopad 1966

EPILOG

LA BELLE ET LA BÊTE

*Kim jest ta blondynka, to suka, to biała bogini.
(Graves). Niech mówi głosem swojego pokolenia.
Do którego należysz.*

sylvia plath, *dzienniki 1950–1962*,
20 lipca 1957

Sylvia Plath napisała *Szklany klosz* na różowym firmowym papierze college'u Smith. <112> Od czerwca w Nowym Jorku minęło osiem lat. Dwudziestoosmiolatka swobodnie mogła uchodzić za szesnastolatkę. Mocna opalenizna już zbladła, włosy były teraz ciemnozłote i spadały na plecy, jak u hiszpańskiej infantki. Nadal nosiła opaski, ale od dwóch lat nie opalała się ani nie grała w tenisa. Prowadziła wykłady w Smith i pisała wiersze w Yaddo. Upijała się szaleńczo z Anne Sexton, która podczas zajęć z poezji z Robertem Lowellem lubiła strzepywać popiół z papierosa do białego buta na obcasie. Podróżowała daleko poza Nową Anglię i Nowy Jork, do Londynu, Paryża, Marsylii, Wenecji i Benidormu w Hiszpanii. Urządzała przyjęcia dla Stephena Spendera i mieszkała tysiące kilometrów od Wellesley, w Londynie. Dzieliła ciasne mieszkanie na Chalcot Square z trzymiesięczną córeczką i mężem, za którego wyszła pięć lat wcześniej — przyszłym Poetą Laureatem Anglii Tedem Hughesem. Panowała okrutna zima, Sylvia była blada i osłabiona porodem, opieką nad noworodkiem, wcześniejszym poronieniem, wycięciem wyrostka i chronicznym zapaleniem zatok.

Ale pisała. Pisała o najgorętszym lecie swojego życia. Pisała o Madison Avenue, czasopiśmie i modelkach. O alkoholu, kawiorze i zatruciu. O samotnym zasypianiu w różowo-zielonym pokoju bez mężczyzny ani dziecka. Pisała o dziewczętach — uczesanych w kucyki, z pomalowanymi paznokciami, śmiejących się gardłowo, o dziewczętach, które wyglądały jak koty. Pisała o metrze. O Ethel i Juliusie Rosenbergach. O tym, że rzuca czarną halkę z dachu i patrzy, jak spada w ciemność nocy, niczym kometa albo latawiec. Nie napisała historii swojego życia — spisała historię jednego miesiąca w Nowym Jorku.

Doświadczenia z tamtego okresu jeszcze wyostrzyły i tak już ostry zmysł obserwacji. *Szklany klosz* jarzy się bezlitosnym światłem, obnażającym wszystkie wady, jak oświetlenie w przymierzalni, gdy mierzy się kostium kąpielowy. To jaskrawe światło może jednak dawać efekt świeżości, może być perwersyjnie korzystne na swój szczery, wręcz obsceniczny sposób. Niczym na prześwietlonym zdjęciu, na którym skóra jest zbyt biała, a cienie są zbyt ciemne i każdy wygląda

jak jeleni tuż przed potrąceniem albo ktoś złapany na gorącym uczynku. Poczucie humoru i ironia Sylvii wymieszały się z całym tym naturalizmem — jej postacie są gwałtowne i szybkie. Wychodzi z nich gorączka, z całego *Szklanego klosza*, niczym para unosząc się nad stronami.

Minęło osiem lat, od kiedy napisała tekst o modzie, upiła się w Village, spędziła noc na podłodze w hotelu Chelsea i kupiła szpilki u Bloomingdale'sa, które opakowano w matowy brązowy papier. Był rok 1961. Prezydentem został Kennedy, a Bloomingdale's miał wprowadzić nowe torby zakupowe, zaprojektowane na wzór średniowiecznych francuskich kart do tarota. W ulubionych kolorach Sylvii — czarnym, białym i czerwonym.

DOREEN

Proszę mi uwierzyć, nigdy nie miałam przezroczystej koszuli nocnej.

carol levarn

Szklany klosz przyniósł ból i wątpliwości przynajmniej jednej kobiecie. Po pierwszej lekturze Carol LeVarn poczuła się chora.

— Nie mogłam się doczekać, żeby przeczytać tę książkę. Prosiłam nawet gazetę, czy mogłabym ją zrecenzować — wspomina Carol, która w czasie premiery książki pracowała jako dziennikarka w gazecie na Rhode Island. — Gdy zaczęłam czytać, serce mi zamarło. Pamiętam, jak siedziałam w moim mieszkaniu w Kingston i strasznie płakałam. Linia między fikcją a faktami była szokująco niewyraźna. Oto byłam ja — Doreen. Oczywiście, że chodziło o mnie. To ja miałam włosy jasnobłond, w dodatku wyjątkowo napuszone przez źle zrobioną trwałą. To ja miałam pokrowce na torebkę — sama je zrobiłam, bo posiadałam tylko jedną torebkę i nie było mnie stać na więcej. Uszyłam więc takie materiałowe, które pasowały do moich strojów.

Sweetbriar, w przeciwieństwie do tego, co pisze Sylvia, nie było college'em dla elity. Przez całe studia dostawałam stypendium i pracowałam jako kelnerka. Nie mogłam pozwolić sobie na jego utratę, jeśli chciałam zostać w Sweetbriar. Bardzo przestrzegałam nieprzekraczalnych terminów w „Mademoiselle”. W ogóle nie pamiętam, żebyśmy się nabijały z Cyrilly Abels. Wszystkie naprawdę ją podziwialiśmy. A mój ojciec zmarł na rozedmę płuc, więc ja nigdy w życiu nie paliłam papierosów.

Jedną z najbardziej fascynujących scen w *Szklanym kloszu* jest zwykła przejażdżka taksówką — ale wyróżnia się w niej sukienka Doreen. Wykonana

z cudownej białej koronki, uwypuklała biust — z pewnością pochodziła z kolekcji Diora zwanej Linią H. Niemożliwe, by latem 1953 roku Carol albo ktokolwiek inny miał na sobie taką sukienkę. Z prostego powodu — jeszcze jej nie wymyślono. Sylvia jako krągła i atletyczna kobieta lubiła obcisłe białe sukienki. Tak więc tu Doreen to sama Sylvia.

Rzadko ją widać bez papierosa, drinka czy pilnika do paznokci. Nawet gdy przechadza się po Amazonce, w morzu pruderyjnych sztywnych koszul nocnych i pikowanych szlafroków z bawełny, wyróżnia się przezroczystym nylonowym negligem. Wionął od niej „interesujący zapach potu”, który kojarzył się Esther z piżmem i paprociami. Prawdopodobnie pachniała też Youth Dew, mocnymi perfumami od Estée Lauder, które wypuszczono w 1953 roku. W tamtych czasach niewiele kobiet miało odwagę kupować sobie perfumy, więc zazwyczaj to mężczyzna wybierał zapach i dawał go kobiecie. Pomysłowa Estée Lauder „przypadkowo” rozbiła flakon Youth Dew na dywanie w domu handlowym Saks, by zwrócić na niego uwagę purytańskich klientów.

Nic więc dziwnego, że z powodów estetycznych Sylvia musiała sprowadzić Carol do półświatka. Stworzyła Doreen jako doskonalszą wersję Sylvi; jako kobietę, którą sama chciała być wtedy w Nowym Jorku.

— Zdradziła mnie — powiedziała Carol LeVarn. — Byłam wstrząśnięta, zupełnie na coś takiego nieprzygotowana. Uważałam ją za kogoś bliskiego, a okazało się, że przez cały czas śmiała się ze mnie. Nie wiedziałam już, kto jest po mojej stronie. Ten ból utrzymywał się bardzo długo. Nie tylko ja, my wszyscy zostaliśmy okrutnie potraktowani. Ona wzięła coś pozytywnego i to przekreśliła. To nie była Sylvia, jaką znałam.

112› Szkice wierszy do tomu *Ariel* pisała zaś na maszynie na odwrocie tych kartek.

RÓŻE

*Szklany klosz to literatura.
Odnajduje swoją publiczność
i już jej nie puszcza.*

robert scholes, „new york times”,
11 kwietnia 1971

W chwili gdy Sylvia składała *Szklany klosz* do druku, była już samotną matką z dwójką dzieci, z którymi mieszkała w starym mieszkaniu W.B. Yeatsa na Fitzroy Road w Londynie. Dla własnego bezpieczeństwa, przewidując reakcje na to, jak przedstawiła w powieści matkę i tamten niszczycielski etap osobistej historii, opublikowała książkę jedynie w Anglii, w dodatku pod pseudonimem Victoria Lucas — po ulubionej kuzynce męża z Yorkshire Victorii (Vicky) Farrar i przyjacielu męża z Cambridge Lucasia Myersie.

LAURIE TOTTEN: Sylvia niezbyt lubiła ludzi, co odkryłam dopiero po przeczytaniu *Szklanego klosza*. Nie potraktowała życzliwie ani jednej postaci z książki. Wzgardziła nawet doktor Nolan, początkowo sportretowaną jako sympatyczna osoba, za to, że nie ostrzega bohaterki o zbliżającej się terapii wstrząsowej. Na ironię zakrawa wybór tytułu — szklany klosz miał być symbolem dokładnych medycznych analiz, którym została poddana, ale jestem przekonana, że to właśnie ona była wnikliwą obserwatorką innych ludzi, a ci, co oczywiste, nie spełniali jej oczekiwań.

Kiedy 14 stycznia 1963 roku powieść wyszła w Zjednoczonym Królestwie, otrzymała wspaniałe recenzje (choć „Spectator” radził czytelnikom, by „jeśli chodzi o nieprzyjemne, sprawne i zabawne pisarki, pozostali raczej przy tych «rodzimej produkcji»”). Brytyjska krytyka wychwalała ją jako „pierwszą kobiecą powieść w stylu Salingera”. Jednak amerykańscy redaktorzy zżymali się na drastyczny realizm *Szklanego klosza*. Wydawnictwo Harper and Row odrzuciło książkę — czy to opis przypadku, czy powieść? Judith Jones z Knopfa namawiała Plath do ukrycia książki przed wrażliwymi czytelnikami z Ameryki. Co więcej, krytykowała klimat prozy: napisała, że cynicznemu głosowi studentki college’u stworzonej przez Sylvię brakuje powagi właściwej chorobom

psychicznym i próbom samobójczym. I tak *Szklany klosz* stał się głosem pewnego pokolenia kobiet.

Każda z pozostałych dziewiętnastu gościnnych redaktorek mogła opowiedzieć o bolesnych przemianach społecznych, które w tamtych czasach objęły cały kraj... Większość zgodziłaby się, że Sylvia adekwatnie oddała odczuwane przez nas coraz mocniej bolączki. Z wprawą świetnego reportera odnotowywała wszystko w najmniejszych szczegółach, nie kłopotząc się o pozory.

neva nelson

Pomyślałam kiedyś o Sylvii... Pracowałam jako dziennikarka, ghostwriterka w rubryce poświęconej problemom kobiet. Miałam na sobie długą lśniącą perukę, którą uwielbiałam i w której czułam się wyjątkowa — wtedy wszyscy nosili peruki. Robiłam akurat wywiad z pewną kobietą, lekarką — w tamtych czasach było to coś nietypowego. Nowy Jork, druga połowa lat sześćdziesiątych, trwały zamieszki w Columbi... Jakaś studentka zatrzymała mnie i poprosiła o pomoc. Zdałam sobie sprawę, że miała za zadanie dostarczyć kawę i przekąski swojemu protestującemu chłopcu i jego kolegom. Spieszyłam się do samochodu, żeby zawieźć syna do ortodonta, ale całą drogę do domu wyłam ze śmiechu. Myślałam: „Sylvii by się to strasznie spodobało!”.

laurie glazer

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych wydano podobną do *Szklanego klosza* książkę. W 1963 roku wyszła powieść Mary McCarthy *Grupa*, przedstawiająca życie ośmiu absolwentek college'u Vassara. Tak jak i Plath, McCarthy nie cofała się przed nieprzyzwoitością i bez ogródek pisała o seksie, karmieniu piersią i antykoncepcji. Norman Mailer brawurowo popisując się mizoginią, narzekał nawet, że *Grupa* wydziela „zapach, który jest mieszanką perfum Ma Griffe i żelu plemnikobójczego”¹¹³. Lekceważąco pisał o McCarthy jako o „trywialnej autorce dla pań”. Także jej dobra przyjaciółka Elizabeth Gardwick zaatakowała *Grupę* w gorzkiej recenzji ociekającej *schadenfreude*. Podobnie do *Szklanego klosza*, *Grupa* także była autobiograficzna, a przyjaciółki McCarthy z college'u również poczuły się zniesławione. (Aurelia Plath, Olive Higgins Prouty i Dick Norton zareagowali na *Szklany klosz* z taką samą odrazą). Poprzez szczere i odważne pisanie o upokarzającej banalności życia codziennego Plath i McCarthy stawiały czoło czemuś, co Betty Friedan parę miesięcy później określi jako „problem, który nie ma nazwy”¹¹⁴. Szczegółowo opisując zakładanie krążka macicznego głównej bohaterce, obydwie pisarki odzyskiwały własne życie.

Gdy nadszedł rok 1971, Sylvia Plath stała się już postacią kultową, a *Szklany klosz* wydano w Stanach pod jej prawdziwym nazwiskiem. Powieść natychmiast znalazła się na liście bestsellerów „New York Timesa” i pozostawała tam przez pół roku. Kiedy wydawnictwo Bantam w 1972 roku wypuściło książkę w miękkiej oprawie, pierwszy nakład wynoszący 375 tysięcy egzemplarzy sprzedał się na pniu, pociągając za sobą dwa kolejne dodruki jeszcze tego samego miesiąca.

Szklany klosz wznawiany jest do dziś.

113› Norman Mailer, *The Mary McCarthy Case*, „New York Review of Books”, 17 października 1963.

114› *Mistyka kobiecości* Betty Friedan została opublikowana w Stanach Zjednoczonych 25 lutego 1963 roku, czternaście dni po śmierci Sylvii.

WSPOMNIENIA O SYLVII

Wszystkie byłyśmy niedojrzałymi nastolatkami — wytworem połowy lat pięćdziesiątych, czasów sprzed pigułki, sprzed *Mistyki kobiecości* — po których spodziewano się czegoś nadzwyczajnego, a które — podkreślając znaczenie domu i rodziny — zamieszały nam w głowie w związku z rolą kobiety. W naszej grupowej biografii same nawet napisałyśmy, że „chcemy zarówno pracy zawodowej, jak i małżeństwa i co najmniej trójki dzieci”. Prawie nam się to udało, bo w sumie tych naszych dzieci jest pięćdziesięcioro sześcioro, ale łączenie kariery z dużą rodziną i małżeństwem nie było łatwe. Niektóre gościnne redaktorki przyznały się do podobnych przeżyć, gdy dzięki analizie „gniewu obróconemu przeciw sobie” u Sylvii zrozumiały własne zmagania. Zrozumieć Sywlię to zrozumieć samą siebie.

neva nelson

ANNE SHAWBER: Sylvia Plath była geniuszką, poetką o niewiarygodnym talencie, wręcz niepowtarzalnym. Odczuwała swoją odmienność, ale jej nie rozumiała, dlatego myślała, że to z nią jest coś nie w porządku. Jej starania o bycie jak inne dziewczęta przynosiły opłakane skutki. Nikt w jej otoczeniu nie był na tyle bystry, by to pojąć, więc stale próbowano ją wcisnąć do świata, który do niej nie pasował. Sądzę, że w dzisiejszych czasach lepiej traktujemy geniuszy — obu płci, ale zwłaszcza kobiety.

DIANE JOHNSON: Ależ byłyśmy irytujące dla wielkiej i poważnej Sylvii, już wtedy sprawnej pisarki o niezwykłym darze i świadomości swojego przeznaczenia. Raczej z trudem tolerowała to, że istnieją takie dziewczyny jak my — które nie wiedzą, kim zostaną, gdy dorosną, i które traktują poważnie swoje absurdalne rodzinne miasteczka gdzieś w Utah albo Illinois. Byłyśmy ujmą dla Sylvii. Ona zaś zachowywała się jak wielka aktorka zmuszona do grania w amatorskim teatrzyku, choć znosiła to z wdziękiem. Nie zdawałyśmy sobie sprawy z jej wewnętrznych udręk.

ANNE SHAWBER: Dwa lub trzy lata później, gdy po raz pierwszy usłyszałam o jej próbie samobójczej od Marybeth Little — kiedy ukrywała się w piwnicy przez trzy dni — zasmuciło mnie to, ale nie zaskoczyło. Pracowałam

wówczas jako reporterka w dużej gazecie, pisałam o wielu sprawach, także o samobójstwach, a poza tym magisterium zrobiłam z nauk społecznych ze specjalnością z psychologii, więc spodziewałam się tego, że pewnego dnia Sylvia Plath się zabije. Żadna z nas nie rozumiała katuszy jej osobistego życia, chociaż redaktorki przypuszczalnie coś wiedziały, bo podchodziły do niej z ostrożnością, jakby była namaszczona do odniesienia sukcesu.

LAURIE TOTTEN: Zaprosiłam Sylwię na moje wesele, ale otrzymałam tylko miły list z odmową. Akurat na tę samą sobotę miała wyznaczony egzamin końcowy i nie była w stanie przyjechać. Zachowałam ten list do dziś.

LAURIE GLAZER: Na sam koniec zasiedliśmy do kartek świątecznych. Byłam zaszokowana, gdy dowiedziałam się, co zrobiła.

CANDY BOLSTER: Przykro mi, że nie zaczęłam z nią korespondować, bo być może tamtej okropnej zimy taki gest podniósłby ją na duchu.

LAURIE TOTTEN: Bardzo mnie smuca pseudointelektualne analizy jej osobowości, życia, twórczości. Znałam Sylwię i publikowane o niej kłamstwa uważam za denerwujące i smutne.

CANDY BOLSTER: Niewiarygodne, w jaki sposób ona nadal żyje. Wydaje mi się, że dla młodych kobiet musi być kimś takim jak Holden Caulfield dla mężczyzn.

CAROL LEVARN: Myślę, że tak jak każdy inny miała swoje słabości i wady. Pięknie się uśmiechała.

JANET WAGNER: Ciągnęło nas ku sobie i byliśmy podczas tamtego miesiąca w Nowym Jorku bardzo sobie bliskie. Naprawdę ją lubiłam.

ANNE SHAWBER: Myślę o Sylvii, o jej zbyt żywiołowym śmiechu i ciągle uśmiechniętej twarzy.

LAURIE GLAZER: Widziałam tylko tę pyszną blond fryzurę na pазia. Gdyby tylko któraś redaktorka mogła machnąć różdżką i sprawić, żebym wyglądała jak Sylvia!

PODZIĘKOWANIA

Ta książka powstała dzięki wspaniałomyślności redaktorek gościnnych „Mademoiselle”: Nevy Nelson Sachar, Ruth Abramson Spear, Candy Bolster Bobbit, Janet Wagner Rafferty, Margaret Affleck Clark, Marybeth Weston-Lobdell, Glorii Kirshner, Laurie Totten Woolschlager, Laurie Glazer Levy, Carol LeVarn McCabe, Adel Schmidt Donati, Diane Johnson, Ann Burnside Love, Janet Burroway i Gael Greene. Ich szczerość, dowcip i czar bardzo mnie inspirowały, a ich świadectwo stanowi trzon tej książki.

Jestem także wdzięczna Rebecce Cape i Davidowi Frazierowi z The Lilly Library za ich wielką pomoc i gościnność. Chcę też podziękować Pat Lindgren i Joanne Peters za udzielenie mi wywiadu i za ich uwagi na temat realiów lat pięćdziesiątych. Dziękuję Peterowi K. Steinbergowi za uważną lekturę i encyklopedyczną wiedzę o Sylvii Plath.

Z wielką radością dziękuję mojemu wspaniałemu agentowi Davidowi Kuhnowi, a także Billy’emu Kingslandowi, Jessiemu Borkanowi, Nicole Tourtelot, Jessi Cimafonte i Molly Schulman. Jestem dozgonnie wdzięczna Jonathanowi Aretakisowi oraz Nancy Walker za niesłabnącą cierpliwość i zrzeczność w przygotowaniu przypisów końcowych. Chcę podziękować mojej redaktorce Gail Winston, bez której wskazówek, wizji i zimnej krwi nie dałabym rady, a także Mayi Ziv za energię i kompetencję. Wielkie dzięki dla Johnatana Burnhama za wsparcie — i za zaszczyt pracy dla HarperCollins.

Specjalne podziękowania dla Sama Kashnera i Rakesha Satyala, którzy od początku wierzyli w ten projekt. Wreszcie dziękuję mojej rodzinie za konsekwentne i życzliwe poparcie.

BIBLIOGRAFIA

KSIĄŻKI:

Paul Alexander, *Ariel Ascending: Writings About Sylvia Plath*, Harper & Row, 1975.

Paul Alexander, *Rough Magic: A Biography of Sylvia Plath*, Viking, 1991.

Janet Burroway, *I Didn't Know Sylvia Plath, w: Embalming Mom: Essays in Life*, University of Iowa Press, 2002.

Mary Cantwell, *Manhattan, When I Was Young*, Houghton Mifflin, 1995.

James Joyce, *Finneganów tren*, przeł. Krzysztof Bartnicki, Kraków 2012.

Karen V. Kukil (opr.), *Sylvia Plath. Dzienniki 1950–1962*, przeł. Joanna Urban i Paweł Stachura, Warszawa 2000.

Stephen Pascal (opr.), *The Grand Surprise: The Journals of Leo Lerman*, Alfred A. Knopf, 2007.

Sylvia Plath, *Szklany klosz*, przeł. Mira Michałowska, Warszawa 1989.

Aurelia Schober Plath (opr.), *Letters Home: Correspondence 1950–1962*, New York 1975.

Sylvia Plath, *Listy do domu*, przeł. Ewa Krasińska, Warszawa 1983.

Nancy Hunter Steiner, *A Closer Look at Ariel: A Memory of Sylvia Plath*, Harper's Magazine Press, 1973.

ARTYKUŁY:

Maeve Brennan, *New York Is Up to You*, „Junior Bazaar”, wrzesień 1947.

Ann Burnside, *The Scent of Roses*, „Washington Post”, 29 kwietnia 1979.

Laurie Glazer, *Outside the Bell Jar*, „Chicago Sun Times”, 6 kwietnia 1979.

Marghanita Laski, *What Every Woman Knows by Now*, „Atlantic”, maj 1950.

„Mademoiselle” — numer uczelniany, sierpień 1952.

Norman Mailer, *The Mary McCarthy Case*, „New York Review of Books”, 17 października 1963.

Polly Weaver, *What's Wrong with Ambition?*, „Mademoiselle”, wrzesień 1956.

Alex Witchell, *After The Bell Jar, Life Went On*, „New York Times”, dział Styl, 22 czerwca 2003.

INNE ŹRÓDŁA

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty pochodzą z wywiadów autorki lub jej korespondencji z:

Candy Bolster Bobbit

Janet Burroway

Margaret Affleck Clark

Adel Schmidt Donati

Gael Greene

Diane Johnson

Glorią Kirshner

Laurie Glazer Levy

Ann Burnside Love

Carol LeVarn McCabe

Janet Wagner Rafferty

Nevą Nelson Sachar

Ruth Abramson Spear

Marybeth Weston-Lobdell

Laurie Totten Woolschlager

SPIS ZDJĘĆ I ILUSTRACJI

Serdeczne podziękowania za udzielenie zgody na przedruk następujących zdjęć i ilustracji:

Sylvia Plath podczas wywiadu z Elizabeth Bowen w domu May Sarton. (Schorr / Mademoiselle, © Condé Nast).

Sylvia Plath z różą. (Landshoff / Mademoiselle, © Condé Nast).

Janet Wagner w salonie Richarda Hudnuta. (Grossman / Mademoiselle, © Condé Nast).

Zdjęcie dziewcząt ustawionych w gwiazdę. (Landshoff / Mademoiselle, © Condé Nast).

Sylvia Plath, 1954. (Copyright by the Estate of Aurelia S. Plath, dzięki uprzejmości Mortimer Rare Book Room w Smith College).

Głowa w pianie. (Mavi / Mademoiselle, © Condé Nast).

Reklama kremu do demakijażu z „Mademoiselle”. (Dzięki uprzejmości DuBarry USA).

Rysunek butów autorstwa Sylwii Plath. (Przedruk za książką *Letters Home: Correspondence 1950–1963*, © Aurelia Schober Plath, 1975).

Candy Bolster przeprowadza wywiad z Dylanem Thomasem dla magazynu „Mademoiselle”. (Schorr / Mademoiselle, © Condé Nast).

Madelyn Mathers przeprowadza wywiad z Williamem Inge dla magazynu „Mademoiselle”. (Schorr / Mademoiselle, © Condé Nast).

Rysunek Pauline Trigère. (Dzięki uprzejmości McCall Pattern Company, New York).

Okładka magazynu „Mademoiselle” z sierpnia 1953. (Landshoff / Mademoiselle, © Condé Nast).

Szampon Drene. (Mademoiselle, © Condé Nast).

Rysunki Adel Schmidt do tekstu Laurie Glazer *Jaki jest twój typ mężczyzny?*
(© Condé Nast).

Sylvia Plath z maszyną do pisania. (Copyright by the Estate of Aurelia S. Plath, dzięki uprzejmości Mortimer Rare Book Room w Smith College).

Sylvia Plath w kostiumie kąpielowym. (Dzięki uprzejmości Elizabeth Lameyer Gilmore).

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Pain, Parties, Work: Sylvia Plath in New York, Summer 1953*

PRZEKŁAD: Magdalena Zielińska

REDAKTOR PROWADZĄCY: Adam Pluszka

REDAKCJA: Karolina Witt

KOREKTA: Małgorzata Kuśnierz, Adam Pluszka

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH: Anna Pol

OPRACOWANIE GRAFICZNE I TYPOGRAFICZNE, SKŁAD
I ŁAMANIE: to/studio

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © Dzięki uprzejmości The Lilly Library, Indiana University, Bloomington, Indiana

ISBN 978-83-64700-59-0

WYDAWNICTWO MARGINESY SP. Z O.O.

ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa

tel. (+48) 22-839-91-27

redakcja@marginesy.com.pl

www.marginesy.com.pl

WARSZAWA 2015

WYDANIE PIERWSZE

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ: pan@drewnianyrower.com

